

MIELONKA POD SIELANKĄ
Andrzej Stankiewicz
o nowym rozdaniu w polityce

MEDALE ŚW. JERZEGO
Barbara Engelking
i ks. Tomáš Halík

BRZYDKIE SŁOWA
Dlaczego przeklinamy,
kniemy i złorzeczymy

BIESZCZADY
Co nam zostało
z legendy

Kraków 24 listopada 2019 nr 47 (3672)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

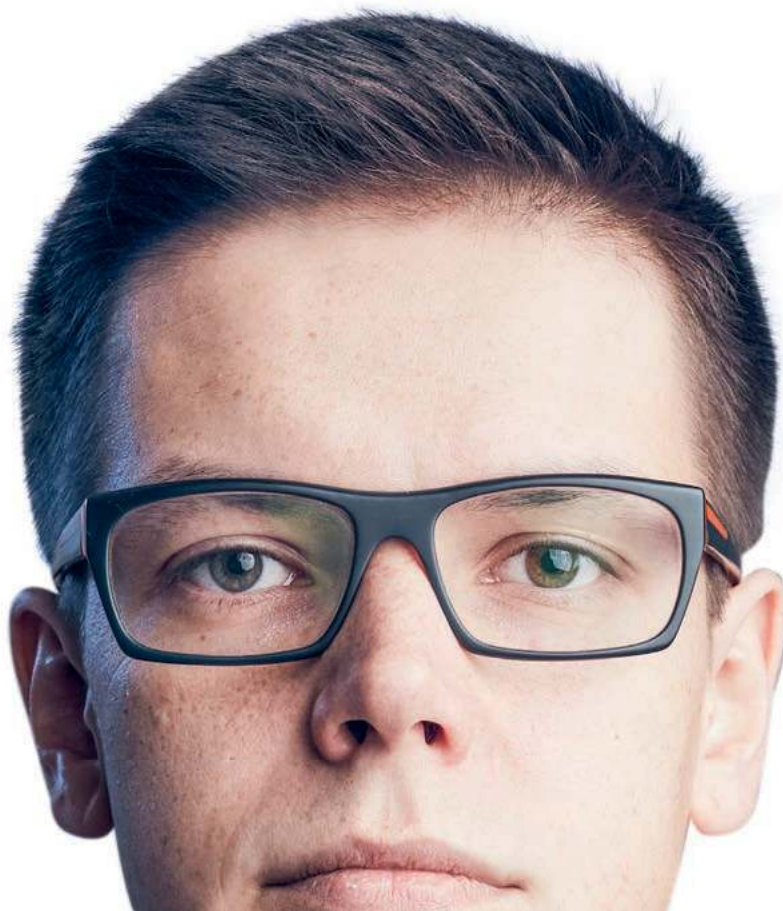
TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

**Leki
na polskie
lęki**

**Recepty
doktora Marcina
Napiórkowskiego**



ISSN 0041-4808 NPI INDEKSU 379425



SUV. NAJSPRYTNIEJSZY WYNAŁAZEK 1974 ROKU.

*DRUGI
TO KOSTKA RUBIKA.*



**JEEP® RENEGADE OD 69 900 ZŁ BRUTTO.
OSTATNIA SZANSA NA NOWEGO JEEPA W TAKIEJ OFERCIE.**

Sprawdź na wyprzedaz.jeep.pl

W 1974 r. Jeep skonstruował i wypuścił na rynek pierwszego w historii SUV-a. Dzisiaj, z Jeepem Renegade, wciąż pozostaje liderem pod względem wydajności, innowacyjności i designu.

JEEP® RENEGADE. LEGENDY NIE RODZĄ SIĘ, LECZ SĄ TWORZONE.

Oferta dotyczy modelu Jeep, Renegade w wersji Sport, rok produkcji 2018 i 2019. Liczba samochodów w promocji ograniczona. Prezentowany materiał ma charakter wyłącznie informacyjny i nie stanowi oferty w rozumieniu przepisów Kodeksu cywilnego. Prezentacja produktu na zdjęciu ma charakter wyłącznie poglądowy. Niektóre opcje wyposażenia prezentowane na zdjęciach nie stanowią wyposażenia podstawowego i są dostępne wyłącznie za dopłatą. Jeep, jest zastrzeżonym znakiem handlowym firmy FCA US LLC. Jeep, Renegade – emisja CO₂ w cyklu mieszanym od 127 do 173 g/km, a zużycie paliwa w cyklu mieszanym od 4,8 do 7,4 l/100 km. Szczegółowe informacje o odzysku i recyklingu pojazdów, postępie dokonanym w tej dziedzinie, konstrukcji pojazdów zgodnej z przepisami o recyklingu i lista punktów zbierania pojazdów wycofanych z eksploatacji znajdują się na stronie <http://jeep.mopar.eu/jeep/pl/pl/recycling>.

FCA BANK
Polska

Jeep®
THERE'S ONLY ONE

KS. ADAM

Boniecki: Nie lękajcie się

ZWYKLE NAWET NIE ZDAJEMY SOBIE SPRAWY z tego, jak dalece strach, poczucie zagrożenia ze strony ludzi, sytuacji czy zdarzeń, wpływa na nasze myślenie i postępowanie. Strach może skutkować paralizem woli, może też motywować do działania. Manipulowanie strachem poddanych zawsze było ulubionym narzędziem władców.

Pierwszą rzeczą, którą po przeczytaniu artykułu Marcina Napiórkowskiego „Władcy strachu” zrobiłem, było sporządzenie katalogu własnych strachów. Wydało mi się, że warto sobie zdać sprawę z własnych strachów, bo oczywiście jak u każdego normalnego człowieka tych strachów mam sporo. Jeśli ta lista moich lęków, jak najbardziej szczerą, nie jest kompletna, to i tak dostarcza mnóstwo materiału do przepracowania ich w duchu wskazanym przez autora.

Tak więc boję się utraty samokontroli (np. po wypiciu alkoholu), utraty przytomności (nie dotyczy narkozy). Boję się udaru mózgu, starczej demencji itp., publicznej kompromitacji, napisania czegoś, co bez mojego zamiaru wywoła awanturę, zrobienia czegoś, czego potem będę żałował. Boję się uszkodzenia protezy (endemicznej) w nodze i fizycznego unieruchomienia. Boję się ludzi, którzy mnie nienawidzą, ludzi agresywnych z zakłóconą świadomością, ludzi grożących mi bronią, agresywnych kierowców na drodze, sympatycznych, uwodzicielskich oszustów, ludzi owładniętych obsesją władzy, fanatyków, tak zwanych „powszechnych przekonań”, które uważam za błędne. Boję się religijnych formalistów, inteligentnej propagandy, krzyczących kaznodziejów, tłumy ogarniętego wspólną emocją (pozytywną lub negatywną). Boję się wojny, trzęsienia ziemi, powodzi, ale także odgłosu majstrowania przy zamku drzwi do mojego mieszkania. Boję się zwierząt w stanie agresywnym, katastrofy klimatycznej zapowiedzianej przez Międzynarodowy Panel Klimatyczny przy ONZ, amatorskich reform Kościoła, pomysłów tak, jakby Kościół był pozarządową organiza-



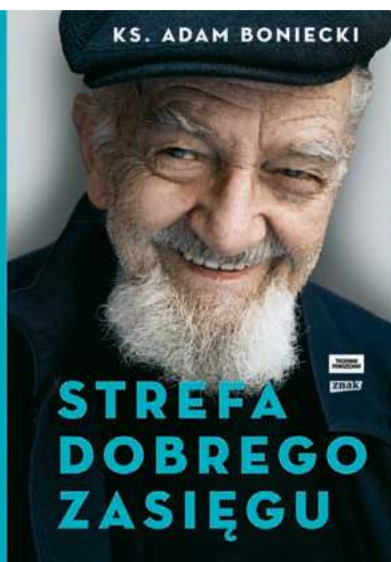
cją humanitarną. Tych przynajmniej lęków jestem świadom.

Napiórkowski pisze, że twórcy nowoczesnej kultury strachu mogą wykorzystać dowolne zagrożenie. Uprawianą w ten sposób politykę nazywano „sekuokracja”. Zastanawiam się, czy w naszym kościelnym nauczaniu nie bywaliśmy „siewcami strachu”, sekuokratami, którzy rozbudzania lęku przed grzechem i wiecznym potępieniem używali do umocnienia własnej władzy administratorów łaski Boskiego miłosierdzia (opowiada o tym Michał Bilewicz w rozmowie „Hierarchia lęków”). Ten lęk miał niewiele wspólnego z „bojaźnią Bożą”, bo ta wypływa z tego, co się określa jako *timor reventialis* – lęk odczuwany wobec kogoś, kto budzi szacunek albo miłość. Jest to lęk, że mogę nie sprostać darowi spotkania z tym, kogo szanuję, albo kocham, że mogę go zranić. Nie jest to strach, bo kochać znaczy ufać (dlatego najbardziej boli zawód ze strony tego, kogo się kocha, zawiedzione zaufanie). W bojaźni Bożej jest lęk przed sprawieniem zawodu Temu, z którym łączy mnie miłość, który mnie kocha i mi ufa.

W Kościele – jak zresztą wszędzie – pokusa manipulacji strachem może się zjawiać w postaci nieuzasadnionego lęku przed tym, co nowe. Człowiek czuje się bezpiecznie w tym, co mu znane, a na Kościół patrzy czasem jak na muzeum figur woskowych. Wtedy nawet zapowiedź zmiany, przejaw życia, może budzić panikę. Czy nie tak było w latach Soboru Watykańskiego II? Czy nie tak niektórzy ludzie Kościoła reagują na papieża Franciszka? Czy tego właśnie lęku przed zmianami, zatroskani o swój status, do którego przywykli, nie wykorzystują przeciw papieżowi? Tymczasem Bóg powtarza: „Oto czynię wszystko nowe” (Ap 21, 5). Jezus nauczył Apostołów, że nie powiedział im wszystkiego („Mam wam jeszcze wiele do powiedzenia, ale teraz znieść nie możecie”, J 16, 12), i zapewnił ich, że Duch Święty, kiedy będzie trzeba, dopowie to, co będzie trzeba dopowiedzieć.

©P

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Spotkanie z ks. Adamem Bonieckim
towarzyszące premierze książki

„STREFA DOBREGO ZASIĘGU”

prowadzenie: Anna Wacławik-Orpik

środa, 20 listopada, godz. 18

Muzeum POLIN, ul. Anielewicza 6 w Warszawie

Bezpłatne wejściówki dostępne będą na dwie godziny przed spotkaniem w kasach muzeum.

ZAPRASZAJĄ:

TYGODNIK
POWSZECHNY

TP
Klub Tygodnika

POLIN
Muzeum
Historii
Żydów
Polski

60
Znak

MEDAL ŚW. JERZEGO A.D. 2019

**61 Poza słowami**

MICHAŁ OKOŃSKI
Barbarze Engelking nie chodzi o nasze samopoczucie. Chodzi o empatię wobec tych, którzy zginęli.

**58 Czyni zczyn**

TOMASZ MAĆKOWIAK
Ks. Tomasz Halił, funkcjonujący od zawsze w Kościele mniejszościowym, uważa, że to jest sytuacja naturalna.

**22 Mielonka pod sielanką**

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Uśmiechnięte twarze polityków nie są zwiastunem żadnej trwałej zmiany. Polityczna wojna wróci, jest tuż za progiem.

**32 Kościoła, w którym dorastałem, już nie ma**

Z O. JÓZEFEM PUCIŁOWSKIM ROZMAWIA ARTUR SPORNIAK:
W Kościele polskim trzeba otworzyć drzwi. Pytanie tylko, kto zdoła to uczynić.

**42 Droga kołymska**

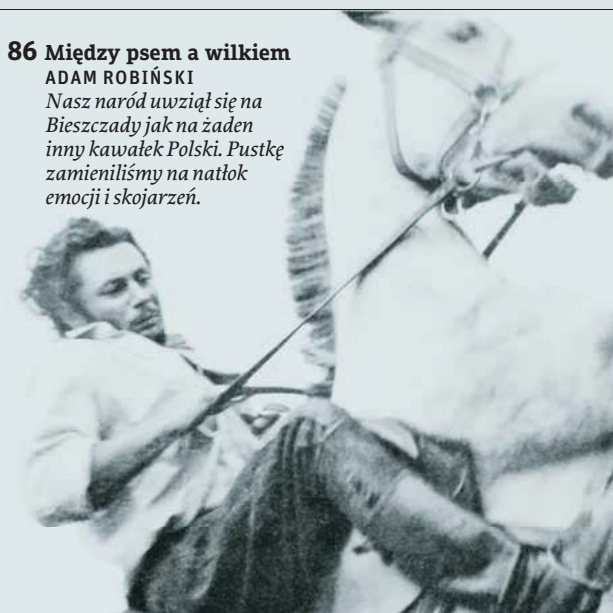
KAROL FRYTA

Na tej trasie żaden kierowca nie zgasi zimą silnika. Zresztą śmierć i droga to tutaj nieodłączne towarzyski.

86 Między psem a wilkiem

ADAM ROBIŃSKI

Nasz naród wziął się na Bieszczady jak na żaden inny kawałek Polski. Pustkę zamieniliśmy na natłok emocji i skojarzeń.



6 Powyborcze paradoksy
PAWEŁ BRAVO

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Mielonka pod sielanką
ANDRZEJ STANKIEWICZ

26 Macie wszystko umieć
MARIUSZ SEPIOŁO: *Jak kształci
się studentów stomatologii
w Szczecinie*

29 Nie czuję się przegrany
ROZMOWA ZE SŁAWOMIREM
BRONIAKEM, PREZEMEM ZNP

■ ■ WIARA

**32 Kościoła, w którym
dorastałem, już nie ma**
ROZMOWA Z O. JÓZEFEM
PUCIŁOWSKIM

36 Aż do granic EDWARD
AUGUSTYN: *Wyjście „za próg”
to konieczność – mówi Franciszek
w najnowszym wywiadzie rzece*

**38 Kapłanki wczesnego
Kościoła** KATARZYNA
MARTYNUSKA: *Czy w początkach
chrześcijaństwa kobiety
sprawowały liturgię
na równi z mężczyznami?*

**40 Jak katolicka wiara zmieniła
nasze mózgi** ŁUKASZ KWIATEK

■ ■ ŚWIAT

42 Droga kołymska KAROL FRYTA

48 Niebo nad Izraelem
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET:
*13 listopada nikt nie przewidział
nadlatujących rakiet*

TEMAT TYGODNIKA



MACIEJ STANIK / REPORTER

12 Władcy strachu

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Lęk sprawia, że łączymy się we wspólnotę
polityczną. To fatalna wiadomość dla
zwolenników „polityki miłości”.

17 Hierarchia lęków

ROZMOWA Z MICHAŁEM BILEWICZEM,
PSYCHOLOGIEM SPOŁECZNYM

Najpierw kreowano lęk wobec „ideologii gender”.
Dziś podsyca się lęk przed „ideologią LGBT”, bo
to bardziej odpowiada faktycznym emocjom
społeczeństwa.

■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER 41 SZYMON HOŁOWNIA

53 WOJCIECH BONOWICZ 84 JAN KLATA

85 PAWEŁ BRAVO 90 STANISŁAW MANCEWICZ

90 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Fot. MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP” // STOCK.ADOBE.COM // MONTAŻ „TP”

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

49 Chwila chwały

MARTA ZDZIEBORSKA:
*11 listopada Amerykanie
świętują Dzień Weterana*

■ ■ HISTORIA

54 Ręka pani Röntgen

ULA IDZIKOWSKA: *Wynalazca na
początku traktował swoje odkrycie
z rezerwą. Do testu zaprosił żonę*

■ ■ MEDAL ŚW. JERZEGO

58 Czynn zaczyn

TOMASZ MAĆKOWIAK

61 Poza słowami

MICHAŁ OKOŃSKI

■ ■ NAUKA

66 Najsilniej wibrujące „r”

ZUZANNA ŁAMŻA: *Dlaczego
przeklinamy i złorzeczymy*

■ ■ KULTURA

70 Obywatel czytelnik

ROZMOWA Z RYSZARDEM
KOZIOŁKIEM: *Literatura pociąga
nas nie tylko w dobrą stronę*

74 Teatr na drugim brzegu

DARIUSZ KOSIŃSKI: *Komuna
Warszawa to centrum prężnego
i zróżnicowanego środowiska*

78 Wśród mrocznej ciszy

DOROTA KOZIŃSKA o Centrum
Arvo Pärta

80 Teren zabezpieczony

ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Supernova” Bartosza Kruhlaka

84 Katechizm cynika LEKTOR

o książce „Diabli dykcionarz”
Ambrose’a Bierce’a

■ ■ ZMYŚŁY

86 Między psem a wilkiem

ADAM ROBIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Strona świata: Neil Young kontra prezydenci

Weteran i jedna z legend rocka postanowił na stare lata zostać
Amerykaninem. – **WOJCIECH JAGIELSKI** wyjaśnia, że zrobił to
po to, by w przyszłorocznych wyborach mógł zagłosować
przeciwko Trumpowi tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ Ostatni z „Hindenburga”

Zmarł ostatni ocalały z katastrofy najstraszniejszego ze sterowców, która
przedwcześnie położyła kres ich epoce. – **WOJCIECH BRZEZIŃSKI**
przypomina tę historię i pisze, że 80 lat później te podniebne
maszyny przeżywają niewielki renesans powszech.net/sterowiec



WOŚ
SIĘ JEŻY wolność równość ekonomia

Co czwartek na TygodnikPowszechny.pl



/TygodnikPowszechny



/Tygodnik



/Tygodnik



/TygodnikPowszechny

POWYBORCZE PARADOKSY

Mimo optymistycznej konkluzji, że po 13 października polityka wróciła do polskiego parlamentu, wiele spraw trudnych i ważnych może zostać odłożonych na czas po wyborach prezydenckich.

PAWEŁ BRAVO

POWRÓT POLITYKI NA WIEJSKĄ: TAKI KOMENTARZ, wypowiedziany z nadzieją, często słyszeliśmy w ostatnim miesiącu. PiS rządzi, ale nic już nie miało być takie proste. Skład rządu, odmienny od poprzedniego tylko w niuansach, mógł łatwo uśpić czujność obserwatora, podobnie jak skłonność premiera Morawieckiego do technokratycznych wylizanek w patriotyczno-patetycznym sosie. „Skarbiec jest w dobrym stanie” – zapewniał, podając swój poprzedni rząd do dymisji. Kilka godzin później okazało się, że problem z niedopinającym się budżetem zapewni nam pierwszą polityczną rozrywkę tej kadencji.

Nagle wrzucona – jako projekt rzekomo „poselski”, zgodnie z tradycją ekspresu ustawodawczego – propozycja zniesienia limitu (tzw. trzydziestokrotności), powyżej które-

go zatrudniony na umowę o pracę przestaje płacić składki emerytalne, tworzy sytuację krzyżujących się, nieoczywistych wyborów. Demokratyczna polityka to system naczyń połączonych, a zatem odetkanie naczyńia po lewej stronie wpływa na fluktuację w prawej części całego systemu.

Nie upłynął nawet tydzień kadencji nowego Sejmu, gdy okazało się, że pojawienie się reprezentacji lewicy to katalizator rys na pozornym monolicie Zjednoczonej Prawicy. Jarosław Gowin może nie jest aż takim gospodarczym liberałem, za jakiego chce uchodzić, ale rozumie, że musi wyraźniej określać swą tożsamość – co będzie mu potrzebne wkrótce, gdy zacznie się wojna o sukcesję po Jarosławie Kaczyńskim i być może także duża rekonfiguracja całej polskiej prawicy.

*Pierwsze posiedzenie
Sejmu nowej
kadencji, Warszawa,
12 listopada 2019 r.*

Z drugiej strony, prezesowi Kaczyńskiemu obecność posłów SLD daje nagle nowe narzędzie rozgrywania „liberałów” od Gowina. Tyle że sama lewica staje przed istotnym dylematem, do jakiego stopnia może wejść w tę grę – choćby tylko warunkowo deklarując wsparcie dla inicjatywy raczej zgodnej z socjaldemokratyczną logiką spłaszczania nierówności dochodowych. Decyzja w tej sprawie będzie deklaracją, ile jest lewicy w tej konkretnej Lewicy. Ale też, jakiego rodzaju anty-PiS-em chce ona być – tak by zarazem bić we władzę i zachować odrębność wobec Platformy. Ta z kolei zagrała z odrochną arogancją: Małgorzata Kidawa-Błońska w sposób mało godny przyszłej kandydatki na urząd prezydencki orzekła, że jeśli posłowie frakcji Lewicy poprą ustawę PiS, „to znaczy, że są nic niewarci”. Tylko czekać, aż z kolei Lewica złoży projekt np. związków partnerskich, przy którym okaże się, że to Platforma jest tak samo „nic niewarta”, bo zgłosuje jak PiS.

Robi się ciekawie. Szkoda, że w ferworze tych kombinacji nikt nie ma interesu, by postawić sprawę, iż nie chodzi tu tylko o parę miliardów na gwałt potrzebnych do budżetu na rok 2020, lecz o strategiczną decyzję co do charakteru naszych zobowiązań wobec państwa. Wbrew pozorom, Polska jest wciąż krajem faktycznej regresji podatkowej: wyżej zarabiający płacą proporcjonalnie mniej na wspólne potrzeby. Nie jest to zgodne z poglądami większości obywateli i jakaś zmiana w tej materii jest od dawna konieczna. Trudno jednak oczekiwać, by obecna przepychanka zastąpiła nam debatę.

Wiele istotnych decyzji zostaje odłożonych na czas po wyborach prezydenckich, bo obecna władza musi stępić swój radykalizm, by nie zaszkodzić reelekcji Andrzeja Dudy. Opozycja też wydaje się skupiona na tym, żeby wewnętrzne rozliczenia sprzęgnąć z procesem wyboru skądinąd oczywistej i jedynej sensownej kandydatki.

Tymczasem prezydent Francji ogłasza „śmierć mózgową” NATO i podważa sens istnienia głównego zachodniego sojuszu w jego obecnej postaci. Prezydentura Donalda Trumpa nie wydaje się aż tak oczywistą i pewną alternatywą, gdy idzie o szukanie gwarancji bezpieczeństwa. Swoją kryzys tożsamości przejawia też Unia, przechodząca trudny sprawdzian zarządzania w sytuacji większego rozproszenia władzy.

Tuż za drzwiami jest więc wiele trudnych tematów związanych z niełatwymi decyzjami. One nie będą czekać, aż się wszyscy nacieszymy, że polityka wróciła na Wiejską. ©

O politycznych wydarzeniach ostatniego tygodnia pisze także Andrzej Stankiewicz na str. 22.

Psychiatria dziecięca pod ścianą



MACIEJ MÜLLER

DZISIAJ PAN WYCHODZI”. „WYZDROWIAŁEM?”. „Nie, zamykamy”. Ten kiepski dowcip dobrze streszcza problem zamykanych w całej Polsce szpitalnych oddziałów deficytowych bądź takich, w których dyrekcje nie są w stanie zapewnić obsady lekarskiej. W zeszłym tygodniu wypowiedzenia złożyli psychiatrzy dziecięcy z wojewódzkiego szpitalu w Gdańsku. 35-łóżkowy oddział od dawna musiał wielu potrzebujących odsyłać z kwitkiem – także tych w stanach zagrożenia życia. Ten eufemizm oznacza na ogół nastolatków po próbie samobójczej.

Samorząd województwa alarmował ministerstwo: uzyskał tylko zapewnienia, że trwają prace nad lepszą wyceną świadczeń. Jeśli oddział padnie, pozostanie jeździć do najbliższego o podobnej randze – do Warszawy (też zagrożonego, od kilku miesięcy nieprzyjmującego przypadków nagłych). Bo o miejscu

w 16-osobowym oddziale w Starogardzie nie ma co marzyć. NFZ, szukając rozwiązań tymczasowych, zgodził się wiosną na umieszczanie młodych pacjentów psychiatrycznych na oddziałach dla dorosłych. Skutki były straszne: w czerwcu w gdańskim szpitalu 25-letni pacjent zgwałcił przywiezioną tam 15-latkę. Do prokuratury trafiły zgłoszenia jeszcze o dwóch podobnych zdarzeniach.

Rządzący dobrze wiedzą, że psychiatria dziecięca znalazła się pod ścianą. W styczniu konsultant krajowy prof. Barbara Remberk punktowała w Sejmie: „Brak miejsc w szpitalach, brak zaplecza ambulatoryjnego, kilka ośrodków zagrożonych zamknięciem. Mamy problem z kadrą, a warunki pracy są nie do zniesienia”. Niestety, problemy pacjentów psychiatrycznych nie trafiają w Polsce do wyobraźni posłów, także tych przywiązanych do hasła o obronie godności ludzkiego życia. ©

O gazie niezbędnym do walki z gazami



MAREK RABI

POLSKA, JAKO JEDYNE PAŃSTWO W UE, może nie spełnić wszystkich celów pakietu energetyczno-klimatycznego w 2020 r. Chodzi o założenia związane m.in. z odnawialną energią, ale też o efektywność energetyczną i emisję gazów cieplarnianych – wynika z najnowszych szacunków Europejskiej Agencji Środowiska.

Do tego typu wiadomości już niestety zdążyliśmy przywyknąć. Zaskoczeniem może być natomiast decyzja Europejskiego Banku Inwestycyjnego, który już od 2022 r. chce się wycofać z finansowania inwestycji w infrastrukturę gazową. W polskim miksie energetycznym, tak się składa, najszybciej rośnie obecnie właśnie udział gazu (tylko w ub. roku o ponad dwa punkty procentowe). Decyzję unijnych bankierów łatwo odczytać więc jako sypnięcie piachu w tryby polskiej transfor-

macji energetycznej, którą wymusza sama Unia.

W rzeczywistości, jak mówią eksperci obeznani z europejską polityką energetyczną, za decyzją EBI stoi wyłącznie chłodna kalkulacja. Gaz ziemny nie jest bowiem paliwem gwarantującym Europie energetyczną suwerenność. W trakcie spalania emituje też około 350 g CO₂ w przeliczeniu na kilowatogodzinę, czyli około 50 proc. dawki powstającej przy produkcji podobnej porcji energii z węgla. Niebieskie paliwo nie może być więc celem w polityce energetycznej (do czego zdaje się skłaniać właśnie Polska), lecz najwyżej rozwiązaniem zastępczym. A z finansowania projektów, które mogą tymczasowo zmniejszyć poziom emisji CO₂ do momentu uruchomienia inwestycji np. w OZE lub energię jądrową, EBI nie zamierza się wycofywać. ©

KRAJ W SKRÓCIE

NA CZARNO

Z okazji zniesienia wiz do USA „Wiadomości” TVP obszernie relacjonowały podróż za ocean „pierwszego Polaka bez wizy” – problem w tym, że jako pracownik telewizji jegomość ów pojechał do Ameryki pracować i w związku z tym powinien jednak o wizę się ubiegać.



MAREK PODMOKŁY / AGENCJA GAZETA

NA FULL

W Polsce TVP nie idzie lepiej: w Zakopanem odbył się protest przeciwko planom organizacji przez nią koncertu sylwestrowego pod Wielką Krokwią, w bezpośredniej bliskości parku narodowego. Protestujący alarmują, że wielogodzinny hałas będzie miał tragiczne skutki dla tatrzańskich zwierząt.

NA RYMPAŁ

Wyczyn „Wiadomości” błędnie przy operacji PiS z kandydaturami na sędziów Trybunału Konstytucyjnego. I nie chodzi o to, że na liście zgłoszonych pozostali najbardziej krytykowani Krystyna Pawłowicz i Stanisław Piotrowicz (Elżbietę Chojnę-Duch zastąpił Robert Jastrzębski), ale o to, że nie spełniają oni wymagań, gdyż przekroczyli 67. rok życia, a przepisy nakazują sędziom TK przejście w stan spoczynku w wieku 65 lat. „Groteskowość sytuacji jest tym większa, że autorami przepisów są sami kandydaci” – zauważyło nagłaśniające sprawę radio RMF.

NA ODCINKU SPORTU

Jak to dobrze, że na tzw. innych odcinkach forma dopisuje: były trener pingpongowy Mateusza Morawieckiego ujawnił Wirtualnej Polsce, że ów zdolny przed laty junior „niczego nie zapomniał”, a nawet „świetnie zapiernicza forhandem”. Szef rządu objął tymczasowo tekę ministra sportu.

Smutna rocznica dziecięcej Konwencji



ANNA GOLUS

KAŻDE DZIECKO POWINNO WYCHOWYWAĆ SIĘ „w atmosferze szczęścia, miłości i zrozumienia” oraz „w duchu pokoju, godności, tolerancji, wolności, równości i solidarności” – głosi preambuła Konwencji o prawach dziecka. W tę środę, 20 listopada, mija trzydzieści lat od uchwalenia tego dokumentu, ratyfikowanego przez prawie wszystkie kraje na świecie (jedynym wyjątkiem są Stany Zjednoczone, które podpisały Konwencję, ale jej nie ratyfikowały).

To bardzo smutna rocznica. Ponad 500 mln dzieci, czyli prawie co czwarte dziecko na świecie, żyje w kraju ogarniętym konfliktem lub katastrofą naturalną; 28 mln musiało opuścić dom z powodu wojny; dziesiątki tysięcy zrekrutowano do grup zbrojnych, gdzie mogą pełnić funkcję nie tylko posłańców czy tragarzy, ale też żołnierzy. Zamiast wychowywać się w duchu pokoju i w atmosferze szczęścia, żyją w mroku wojny, strachu i śmierci. 262 mln dzieci nie ma dostępu do edukacji, a 75 mln przerwało ją

z powodu konfliktu zbrojnego albo klęski żywiołowej.

Ponad 150 mln dzieci powyżej piątego roku życia pracuje, nierzadko w warunkach, które stanowią zagrożenie dla ich zdrowia, rozwoju i życia, a prawie 150 mln dzieci poniżej piątego roku życia jest niedożywionych. 12 mln dziewczynek rocznie jest zmuszanych do małżeństwa. Co najmniej 200 mln współczesnych kobiet i dziewcząt, w tym 44 mln dziewczynek poniżej 15. roku życia, doświadczyło okaleczenia narządów płciowych (wycięcia ich części, np. lechtaczki, lub całości i niekiedy zaszycia wejścia do pochwy). Okaleczanie narządów płciowych chłopców, zwane obrzezaniem, jest znacznie częstsze.

Jak częste jest okaleczanie dziecięcych dusz, nikt jeszcze nie bada, ale UNICEF zwraca uwagę, że obecnie jednym z największych problemów młodych ludzi – obok wymienionych powyżej i wielu innych (m.in. kryzysu klimatycznego) – są zaburzenia psychiczne, w tym depresja dzieci i młodzieży. ©

Syryjskie dzieci z Hamodeh

NAD GRANICĄ JORDAŃSKO-SYRYJSKĄ czuć już zimą. Choć świeci słońce, to wieje chłodny wiatr i Hamid kręci się między namiotami w lekkim kożuchu. Tu, w nieoficjalnym obozie uchodźców położonym przy farmie Hamodeh – w północnej Jordanii, 5 km od granicy z Syrią – mieszka 25 rodzin. Po stronie syryjskiej jest pustynia, natomiast po jordańskiej sporo upraw. Hamid dopiero co skończył pomagać przy zbiorach pomidorów. Wkrótce, zimą, czeka go kilka miesięcy beczynności. Gotowanie i posiłki – tylko to będzie przerywać monotonię jego dnia.

Jak co roku o tej porze wiele syryjskich rodzin z takich nieformalnych obozów przenosi się teraz na zachód, do doliny Jordanu, gdzie cieplejszy klimat pozwala na pracę także zimą. Lecz Hamid nie wróci tam z rodziną – nie po tym, gdy w 2015 r., właśnie nad Jordanem, Nadżi, jego trzyletni wtedy syn, przestał na chwilę oddychać podczas snu. Potem podobne objawy zaczęła mieć Nermin (na zdjęciu obok), starsza siostra Nadżiego. Niedawno rodzice znów znaleźli ją na ziemi, ciężko dyszącą, z pianą na ustach. Epilepsja – zawyrokował lekarz i ostrzegł, że Nermin może umrzeć w każdej chwili. Od tej pory nie puszczają dziesięciolatki do szkoły; do wsi jest kilometr, a oni boją się, że nikt nie zauważy, gdy upada.



GRAŻYNA MAKARA DLA PM

Dziś do obozu przyjechali inni lekarze. Mówią, że to nie musi być epilepsja i że rodzeństwu trzeba zrobić rezonans magnetyczny. Rodzina nie ma na to pieniędzy, ale są organizacje, które mogą pomóc. Hamid kręci się więc po obozie, czekając na decyzję. Może nawet myśli o tym, co by było, gdyby 6 lat temu, gdy jego wieś pod Hamą w zachodniej Syrii znalazła się na linii frontu, on i jego rodzina uciekli jednak do Libanu, gdzie była już jego matka? Czy gdyby zdążyli przed zamknięciem granicy, tam byłoby lepiej? Hamid wie, że to niedobre myślenie, ale czasem, żeby nie myśleć o złym, można przecież uciec w uludę.

© (P) MARCIN ŻYŁA Z HAMODEH (JORDANIA)



MANUEL BALCE CENETA / AP / EAST NEWS

Nowy etap impeachmentu

PUBLICZNE PRZESŁUCHANIA w sprawie impeachmentu prezydenta Donalda Trumpa zaczęły się w minionym tygodniu w amerykańskim Kongresie. Dotyczą tzw. *quid pro quo*, czyli wstrzymania przez Trumpa pomocy wojskowej dla Ukrainy, by wymusić na władzach w Kijowie rozpoczęcie śledztw, które mogłyby mu pomóc w wyborach w 2020 r. – chodziło zwłaszcza o śledztwo przeciw synowi Joego Bidena, który ma szansę stać się rywalem Trumpa w wyścigu do Białego Domu z ramienia Partii Demokratycznej.

Republikanie, stojący murem za prezydentem, krytykowali dotychczasowe przesłuchania za to, że odbywały się za zamkniętymi drzwiami. Teraz wszystko dzieje się w świetle kamer. Jako pierwsi zeznawali dyplomaci – i ich zeznania stawiają prezydenta w kiepskim świetle. Ambasador USA na Ukrainie William Taylor powiedział, że Trumpa bardziej interesowały śledztwa niż poprawne relacje z Ukrainą. Gdy przesłuchiwana była Marie Yovanovitch (była ambasadorka w Kijowie, odwołana przez Trumpa, na zdjęciu powyżej), prezydent zaatakował ją na Twitterze, co skrytykowała nawet lojalna wobec niego stacja Fox News. Przesłuchiwa-

ni uznali działania Trumpa za sprzeczne z interesem narodowym USA.

W środę 27 listopada zeznawać ma być może kluczowy świadek: Gordon Sondland, ambasador przy Unii Europejskiej z nominacji Trumpa. Podczas wcześniejszego tajnego przesłuchania Sondland stwierdził, że działania Trumpa wobec Ukrainy były „podstępne”, ale zaprzeczył, by słyszał o *quid pro quo*. Tymczasem kilkanaście dni temu zrewidował zeznania, twierdząc, że sam przekazał władzom w Kijowie warunki, jakie miały być spełnione w zamian za pomoc wojskową.

Do tej pory to głównie Republikanie starali się wykorzystać śledztwa wobec Trumpa do polaryzowania elektoratu. Teraz, po rozpoczęciu publicznych przesłuchań, liderka Demokratów Nancy Pelosi nazwała działania Trumpa „przekupstwem” – to, obok „zdrady”, jedyne wymienione wprost w Konstytucji USA przestępstwo, za które prezydent może zostać usunięty z urzędu. Badania wskazują, że to określenie robi na wyborcach największe wrażenie. Najwyraźniej także Demokraci uznali, że w obecnej sytuacji polaryzacja i koncentracja uwagi na sensacjach wokół impeachmentu bardziej się opłacają im oraz – przede wszystkim – Bidenowi, ulubionemu kandydatowi na prezydenta establishmentu Partii Demokratycznej. © JAN SMOLEŃSKI

Bangladesz: skala zagrożenia

SZESNAŚCIE OSÓB UMIERA każdego dnia w Bangladeszu od ukąszeń jadowitych węży – podało lokalne biuro Światowej Organizacji Zdrowia (WHO).

Po sezonie monsunowym, który w tym roku był w tej części Azji wyjątkowo deszczowy, liczba ukąszeń rośnie w niespotykanym wcześniej tempie. Poszkodowani mieszkają zwykle na terenach wiejskich, gdzie dotarcie

do lekarza zajmuje kilka godzin, ale większość placówek medycznych i tak nie dysponuje surowicą przeciwko jadowi trzech najczęściej spotykanych gatunków bangladeskich węży: kobry, niemrawca indyjskiego oraz żmii zielonej. Zapewne dlatego – jak konkludują autorzy raportu WHO – poszkodowani próbują ratować się najczęściej na własną rękę. Jedynie 3 proc. ukąszonych trafia od razu do lekarza lub szpitala.

Z raportu WHO wynika, że co roku na całym świecie od jadu węży umiera ok. 150 tys. osób. © (P) MAREK RABIJ

Mołdawski papierek lakmusowy



PIOTR OLEKSY

MOŁDAWIA MA NOWY RZĄD, który jest podporządkowany prorosyjskiemu prezydentowi Igorowi Dodonowi. Od czerwca br. krajem tym rządziła koalicja proeuropejskiego bloku Acum i zorientowanej na Moskwę Partii Socjalistów. Do jej powstania doprowadziły wspólnie Rosja, UE i USA – celem było pozbycie się Władysława Plahotniuca, oligarchy, który zbudował w Mołdawii system autokratyczny w oparciu o retoryczną orientację na Zachód. Teraz koalicja rozpadła się z powodu sporu o reformę wymiaru sprawiedliwości. Premier Maia Sandu z Acum chciała doprowadzić do wyboru na prokuratora generalnego człowieka, którego sama uzna za godnego zaufania. Prezydent Dodon, realny lider socjalistów, postrzegając to jako zagrożenie ze względu na liczne interesy, które łączyły go z oligarchią. Zaproponował rząd „technokratyczny”, złożony ze swoich współpracowników, który poparli socjaliści i plahotniucowska Partia Demokratyczna.

Dodon zawdzięcza swą pozycję polityczną wsparciu Kremla. Nie należy spodziewać się jednak gwałtownego zwrotu w polityce zagranicznej. Prezydent, tak jak Moskwa, potrzebuje unijnych pieniędzy do umocnienia władzy Dodona, dlatego będzie prawdopodobnie prowadzić dialog z Brukselą i tworzyć wrażenie reform. Mołdawska elita ma znakomitą zdolność wyuczania międzynarodowych trendów. Bezpośrednio po rosyjskiej agresji na Ukrainę tamtejsza władza oparła się na strategicznym znaczeniu tego kraju dla Zachodu. Obecnie, gdy Moskwa wchodzi w nowy etap relacji z Unią i USA, tworzy się system władzy zależnej od Kremla, lecz chętnie korzystającej na współpracy z Zachodem. Trendy się zmieniają, lokalne struktury pozostają silne. ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

RAPORT

Polacy wykazują negatywne postawy wobec muzułmanów (44 proc. badanych) i świadków Jehowy (40 proc.) – wynika z raportu „Wolność religijna w Polsce”, opracowanego m.in. przez Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego. Wynika z niego, że największą przestępcą z nienawiści w latach 2015-18 było wymierzonych przeciwko muzułmanom (521), drugą pod względem liczbeności grupę stanowili katolicy (90).

EKOLOGIA

„Myślimy o tym, by wprowadzić do Katechizmu Kościoła Katolickiego grzech ekologiczny, grzech przeciwko wspólnemu domowi” – mówił Franciszek podczas audiencji dla uczestników Kongresu Międzynarodowego Stowarzyszenia Prawa Karnego.

POCHÓWEK

Zmarł Juliusz Paetz, arcybiskup senior poznański. W 2002 r., po interwencji Wandy Póttawskiej, Jan Paweł II przystał komisję mającą zbadać oskarżenia hierarchy o molestowanie kleryków. Paetz nie przyznał się do winy, ale złożył dymisję. Wbrew wcześniejszemu komunikatowi kurii arcybiskupa nie pochowano w katedrze; 18 listopada po nabożeństwie trumnę przewieziono na cmentarz na Starołęce. „Jestem przekonany, że sytuacja, w której znaleźliśmy się dzisiaj, posłuży do oczyszczenia Kościoła poznańskiego” – oświadczył abp Stanisław Gądecki.

LICZBA TYGODNIA

1,1

procent

Tyle wynosi słuchalność Radia Maryja. To spadek o 0,4 pkt proc. względem 2018 r. i najniższy wskaźnik w historii rozgłośni.

Deklerykalizacja Watykanu

JACEK PRUSAK SJ



FINANSE WATYKANU TO TEMAT DRAŻLIWY, BO uwikłany w skandale mające związek z Bankiem Watykańskim. Nie dziwi więc, że reforma Kurii Rzymskiej w znacznej mierze zależy od pomyślnego „wyczyszczenia” watykańskiej bankowości i reformy administracji. Miał tego dokonać kard. George Pell mianowany przez Franciszka prefektem nowego Sekretariatu Ekonomicznego Watykanu. Trafił on jednak do więzienia, oskarżony o molestowanie nieletnich. Ku zaskoczeniu wszystkich i wbrew ustalonym przez samego papieża warunkom, wymagającym, aby prefektem Sekretariatu był kardynał, nowym jego szefem będzie hiszpański jezuita o. Juan Antonio Guerrero Alves.

Zaskoczenie jest podwójne. Po pierwsze, jezuita nie brano pod uwagę, gdyż jest spoza układów. Z kolei sam Franciszek „musiał” spełnić prośbę generała jezuitów, aby nowy nominat – zgodnie ze składanymi przez jezuitów ślubami – nie został podniesiony do rangi kardynała i po zakończeniu swojego pięcioletniego urzędowania dalej funkcjonował jako „zwykły” zakonnik. Papież przystał na te warunki.

O. Alves ma bogate CV w zakresie ekonomii i zarządzania. Jego nominacja pokazuje, że stanowiska w Watykanie nie muszą być traktowane jako „robienie kariery”. A papieżowi tą decyzją udało się zrealizować dwa hasła swojej reformy: transparentność i deklerykalizację. ©



POWIEDZIAŁEM PAPIEŻOWI, że biedni mieszkają w lepszym pałacu niż on. Bo on w hotelu św. Marty, a oni w Palazzo Migliori – tak kard. Konrad Krajewski, jałmużnik papieski, skomentował dla „Tygodnika” otwarcie Centrum Pobytu Bezdomnych przy Watykanie. Ośrodek mieści się w 4-piętrowej kamienicy, podarowanej Stolicy Apostolskiej w 1930 r. przez rodzinę Migliorich. Dwie górne kondygnacje przeznaczono na noclegownię dla 50 kobiet i mężczyzn. Dwie dolne służą do pobytu dziennego – to kaplica, stołówka, kuchnia, sale rekreacyjne i komputerowe. Otwarcie ośrodka rozpoczęło obchody III Światowego Dnia Ubogich, zakończone niedzielny obiadem, na który papież Franciszek zaprosił 1500 osób biednych i bezdomnych. © EA

Biskup, który pozostał sobą

NIE MARZYŁ O „WYNIESIENIU DO GODNOŚCI”. Ksiądz Bronisław Dembowski i tak był instytucją, zanim w 1992 r. został biskupem (dopiero w 65. roku życia).

Przeszedł drogę swego pokolenia: strata najbliższych, zamordowanych w niemieckim obozie, udział w AK. Potem już własne wybory: studia filozoficzne, praca w Zakładzie dla Niewidomych w Laskach, seminarium. Księdzem został w 1953 r. i przez lata pracował naukowo. Ale ważniejsze jest, że był rektorem kościoła św. Marcina w Warszawie przy ul. Piwnej, asystentem kościelnym warszawskiego KIK-u, kapłanem siostr z Lasek i współorganizatorem duszpasterstwa niewidomych. Był też osobą

ważną dla opozycji: dyskretnie patronował słynnej głodówce w 1977 r., inspirował powstanie (na Piwnej właśnie) Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności, odwiedzał uwięzionych. W 1989 r. brał udział w obradach Okrągłego Stołu.

Myślę, że dla niego osobiście najważniejszym wydarzeniem było spotkanie (w 1957 r. w Chicago, gdzie był naukowo) z Ruchem Odnowy

w Duchu Świętym. Powtarzał, że tam nauczył się prawdziwej modlitwy. Uważany jest za tego, który ów Ruch przeschodził do Polski; przez lata był jego krajowym duszpasterzem.

Pozostał człowiekiem wolnym i bliskim ludziom. Zmarł 17 listopada. © KS. ADAM BONIECKI

Więcej na stronie: powszech.net/dembowski



Co ma wspólnego zespół Downa z alzheimerem?

ZESPÓŁ DOWNA to obecność dodatkowego chromosomu numer 21, która prowadzi do szeregu zaburzeń, m.in. intelektualnych. Jednym z objawów są deficyty pamięciowe, wynikające głównie z nieprawidłowego funkcjonowania hipokampu – struktury mózgu odpowiedzialnej m.in. za konsolidację śladów pamięciowych, tj. po prostu trwale zapamiętywanie. Ogłoszone w zeszłym tygodniu badanie prowadzone na mysim modelu zespołu Downa pokazało, że jedną z przyczyn tych deficytów jest „niepotrzebna” aktywacja w komórkach hipokampu tzw. zintegrowanej odpowiedzi na stres. U badanych gryzoni, ale również u ludzi z zespołem Downa, za reakcję tę odpowiadał podwyższony poziom białka o nazwie eIF2. Obniżenie jego poziomu u myszek spowodowało polepszenie pamięci długotrwałej, co daje nadzieję na podobną metodę terapeutyczną u ludzi. Co istotne, ten sam mechanizm może odpowiadać za inne przypadki deficytu pamięci, na przykład u osób cierpiących na chorobę Alzheimera.

© MICHAŁ ŚWIĄTEK

Wybory i symulacje

32 ZABITYCH, 200 rannych i stan wyjątkowy w dużym mieście: takim wynikiem skończyła się „gra wojenna”, sprawdzająca przygotowanie służb USA do walki z manipulacją wynikami wyborów przez wrogich hakerów. Po stronie „niebieskich” w symulacji brali udział funkcjonariusze Secret Service, FBI, Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego i policji. Po stronie „czerwonych” – hakerzy, w tym były oficer Mossadu.

Napastnicy nie mogli bezpośrednio włamywać się do maszyn do głosowania. Zamiast tego dyskredytowali proces wyborczy, rozsiewając fake newsy, jakoby... system do głosowania został spenetrowany przez hakerów. Wykorzystali też sfingowane nagrania wideo kompromitujące kandydatów i władze oraz przejęli zdalnie kontrolę nad autonomicznymi pojazdami, które wykorzystali do terrorystycznych ataków na lokale wyborcze. W efekcie władze były zmuszone przerwać wybory i zarządzić stan wyjątkowy... To symulacja, ale USA uważają zagrożenie powtórką z hakerskich incydentów z 2016 r. za bardzo realne. Amerykanie wydali już 250 mln dolarów na zabezpieczenie przyszłorocznych wyborów.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

KULTURA W SKRÓCIE

PAN TADEUSZ

Amerykańskie Stowarzyszenie Tłumaczy Literackich wybrało laureata National Translation Award w dziedzinie poezji. Otrzymał ją Bill Johnston za przekład „Pana Tadeusza” (książka ukazała się pt. „Pan Tadeusz: The Last Foray in Lithuania”). W finale nagrody w kategorii prozatorskiej znalazła się Madeline G. Levine, tłumaczka Brunona Schulza.



MATERIAŁY PRASOWE

PAN BIELENIA

Aktor Bartosz Bielenia (na zdjęciu) otrzymał nagrodę za najlepszą rolę męską na 30. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Sztokholmie. Doceniono jego grę w filmie „Boże Ciało”. „Oczarował jury swoim blaskiem i energią. Udało mu się pokazać przejście między słabością a siłą, szaleństwem a świętością. Wszystko to ze spojrzeniem, które trudno zapomnieć” – czytamy w uzasadnieniu. Rola Daniela w filmie Jana Komasy przyniosła już Bieleni m.in. nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Chicago.

PAN DYREKTOR

Wiadomo, jaki program realizować będzie Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski. Nowy dyrektor Piotr Bernatowicz w dokumencie opublikowanym na stronie MKiDN podał nazwiska artystów, których zaprosi do współpracy: m.in. Jerzego Kalinę (autora pomnika Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010 roku) i Ewę Stankiewicz (autorkę filmu „Solidarni 2010”, zrealizowanego po katastrofie w Smoleńsku).

Oskarżony Roman Polański



MONIKA OCHEŁDOWSKA

KIEDY NASTAJE KLIMAKTERIUM, UPOJNE CHWILE ze znanym reżyserem stają się gwałtem, „oskarżanie znanych i bogatych jest modne”, „ta kobieta chce na moment zabłysnąć” – to tylko kilka komentarzy towarzyszących wyznaniu Valentine Monnier. Francuska aktorka i fotografka opowiedziała dziennikowi „Le Parisien”, że jako młoda dziewczyna została zgwałcona przez Romana Polańskiego. Adwokat reżysera zbył sprawę, dziwiąc się, dlaczego Monnier przez ponad 40 lat nie zawiadomiła policji.

Otóż dlatego że ofiara gwałtu jest często zbyt przerażona, aby to zrobić. Trudno jej uwierzyć w to, co się stało, zwłaszcza jeśli sprawca jest osobą znaną, lubianą i wpływową. Podobnemu mechanizmowi wyparcia ulega zresztą nie tylko poszkodowana czy anonimowi komentatorzy – także były minister kultury Frédéric Mitterrand stwierdził stanowczo, że „nie wierzy Monnier”.

Zmaganie z lękiem, poczuciem wstydu i powrót do równowagi mogą trwać latami. Artystka zdecydowała się opowiedzieć o incydencie po tym, jak wybuchła sprawa Harveya Weinsteina. Zgłosiła sprawę policji, napisała też do francuskiej pierwszej damy Brigitte Macron.

Publikacja w „Le Parisien” zbiegła się w czasie z przedpremierowymi pokazami nowego filmu Polańskiego (jego francuski tytuł to „J'accuse”, czyli „Oskarżam”; polski – „Oficer i szpieg”), które zostały już zbojkotowane, także przez ekipę filmową. Aktorzy odwołali wszystkie umówione wywiady. ©



DARIUSZ ŻAROD / EAST NEWS

„DROGIE PANIE, DRODZY PANOWIE! Dryń, dryń! Dojeżdżamy na pętlę. Po ponad 20 latach grania i wielu niezapomnianych chwilach spędzonych razem z Wami zawieszamy działalność” – ogłosili członkowie Lao Che. Powstały w 1999 r. zespół wydał 7 albumów studyjnych (pięć zyskało status platynowej bądź złotej płyty). Ostatnia trasa koncertowa startuje w lutym 2020 r.

© P MOC



TEMAT
TYGODNIKA

WŁADCY STRACHU

Boimy się plemiennie, kochamy jako jednostki.
Lęk sprawia, że łączymy się we wspólnotę polityczną.
To fatalna wiadomość
dla zwolenników „polityki miłości”.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

ZOGLUSZAJĄCYM ZGRZYTEM POCIĄG ZA-
trzyma się na jednej z podwar-
szawskich stacji. Pani Katarzyna cierpli-
wie przepuszcza wysiadających i już ma
wsiaść do wagonu, gdy jej uwagę przy-
kuwa dwójka pasażerów o śniadej kar-
nacji. Dziewczyna w chuście rozgląda
się nerwowo. Towarzyszący jej brodaty
mężczyzna mówi coś przyciszonym gło-
sem w obcym, niepokojąco brzmiącym
języku. W ostatniej chwili nasza boha-
terka wybiera samochód. Lepiej nie ry-
zykować.

Dokładnie w tym samym momen-
cie pan Jakub z przerażeniem zamyka
przeglądarkę. Na stronę stowarzysze-
nia skierował go post udostępniony na

Facebooku przez koleżankę. Spędziwszy
cały ranek na czytaniu o niepożądanych
odczynach poszczepiennych, jest już
pewny. Nie pozwoli wbić igły swojej ma-
łej córeczce. Niebezpieczeństwo jest – do-
wiedział się właśnie – zbyt duże.

Mirek i Janka robią zakupy w osiedlo-
wym sklepie. Są już duzi, można im za-
ufać. Podążając za wskazówkami mamy
starannie wybierają te produkty, na
których widnieje znaczek „bez GMO”.
W miarę możliwości unikają też glutenu,
konserwantów i czerwonego barwnika.
Może pogłoski o ich szkodliwości są prze-
sadzane, ale lepiej uważać. Cukier nie
znajduje się na liście zakazanych przez
rodziców substancji, więc w koszyku łą-

dują przekąski i napoje zawierające go
łącznie dwie i pół szklanki. Dzieci zjedzą
to w ciągu najbliższych 48 godzin.

Prestidigitatorzy

Co łączy te historie? Ich bohaterowie
podjęli złe decyzje. Wybrali większe ry-
zyko zamiast mniejszego (lub żadnego).
W Polsce śmiertelny wypadek samocho-
dowy jest nieporównywalnie bardziej
prawdopodobny niż padnięcie ofiarą za-
machu terrorystycznego. W dodatku wy-
bierając samochód przyczyniamy się do
ocieplenia klimatu. Jeżeli uwzględniamy
zarówno śmiertelność, jak i prawdopo-
dobieństwo wystąpienia, to choroby,
przed którymi chronią szczepienia, są



Warszawa, 29 kwietnia 2017 r.

znacznie groźniejsze niż powikłania poszczepienne. Badania nie potwierdzają, żeby dieta bezglutenowa miała działanie prozdrowotne dla osób niecierpiących na celiakię. Nie ma dowodów na szkodliwość pokarmów wytworzonych z roślin modyfikowanych genetycznie. Tymczasem swojski cukier, dodawany niemal do wszystkiego, to główny winowajca epidemii otyłości i wielu innych problemów.

Zarówno nasz mózg, jak i nasza kultura zbudowane są jednak tak, żeby skutecznie działać tylko wobec określonych typów zagrożeń, fatalnie natomiast radzą sobie z innymi. Mamy tendencję do tego, by przeceniać zagrożenia bliskie i bez-

pośrednie, ignorując długofalowe konsekwencje naszych wyborów. Nasycone emocjami anegdoty wpływają na nas znacznie mocniej niż statystyki. Działanie nas przeraża, a o skutkach zaniechań chętnie zapominamy. Ale najgorsze jest to, że sianie strachu się opłaca: wszystkie te mechanizmy mistrzowsko wykorzystują ci, którzy z naszego przerażenia korzystają, by zdobyć władzę lub pieniądze. Albo i jedno, i drugie.

To trochę jak popis prestidigitatora, który jedną ręką wykonuje teatralne gesty różdżką, podczas gdy druga niepostrzeżenie chowa monetę do kieszeni. Zarządzanie strachem kieruje reflektor naszej uwagi w pewne miejsca, inne po-

zostawiając w cieniu. Politycy straszą terroryzmem, zamiast wprowadzać niepopularne rozwiązania, które poprawiłyby bezpieczeństwo na drogach. Historie o powikłaniach poszczepiennych sprzedają się znacznie lepiej niż opowieści o tym, jak to było, kiedy powszechnie chorowało się na ospę czy odrę. Naklejki „bez GMO” i „bez glutenu” zwiększają sprzedaż, podobnie jak dodawany do produktów cukier, który jest substancją uzależniającą. Producenci straszą „kukurydzą mutantem”, sypiąc jednocześnie do każdego kubeczka „zdrowego”, „eko” jogurtu po trzy łyżeczki cukru. Cóż może być w tym groźnego, skoro to „naturalny cukier”?

→ Zyskują na tym nieliczni, a cenę za błędne diagnozy i skierowane w niewłaściwą stronę wysiłki płacimy wszyscy. Pora uświadomić sobie wyraźnie, że nie każdy, kto ostrzega nas przed niebezpieczeństwem, jest naszym przyjacielem.

Siewcy

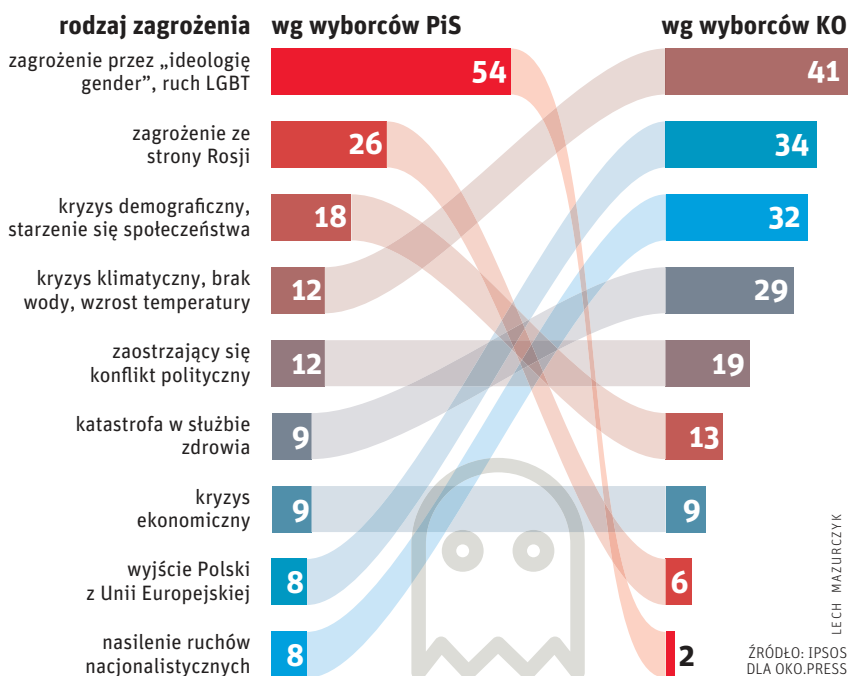
W języku polskim nie mamy na nich dobrego określenia. Popularny angielski termin *fearmongers* najlepiej oddać jako „siewcy strachu”. Takim siewcą może się okazać polityk, PR-owiec pracujący dla korporacji, ale też przedstawiciel oddolnych ruchów społecznych. Niektórzy są profesjonalistami, inni – zdolnymi amatorami. Łączy ich to, że zarządzają społecznymi emocjami. Siewcy strachu sprawiają, że obawiamy się tego, co niegroźne, albo że nie boimy się tego, co powinno nas przerażeniem. Najczęściej robią obydwie rzeczy naraz, bo zbiorowa wyobraźnia działa trochę jak system naczyń połączonych.

Klasycznym już przykładem takiego zarządzania strachem jest „wojna z terroryzmem”, którą administracja George’a W. Busha ogłosiła po zamachach z 11 września. W jej ramach można było napaść na inny kraj, wprowadzać obostrzenia i kontrole bezpieczeństwa, wstrzymywać przyjmowanie uchodźców i inwigilować obywateli. Na każdy zarzut zwolennicy wojny z terrorem (nie tylko w USA, nie brak ich również w Polsce) mieli gotową odpowiedź: bezpieczeństwo. Tych, którzy sprzeciwiają się straszeniu, oskarża się o lekceważenie zagrożeń, określa mianem geopolitycznych ignorantów, wyśmiewa jako naiwniaków...

Zbigniew Brzeziński – zmarły dwa lata temu ekspert od strategii, który doradzał prezydentom USA – w 2007 r. pisał, że wojna z terrorem zaprowadziła w całej Ameryce kulturę strachu. I zwracał uwagę na kluczowy problem: w rzeczywistości najaktywniejsi zwolennicy wojny z terroryzmem walczą po stronie terrorystów. „Sianie strachu (*fear-mongering*), wzmocnione przez przedsiębiorców zajmujących się bezpieczeństwem, media i przemysł rozrywkowy, tworzy własną dynamikę. Przedsiębiorcy terroru, przedstawiani zwykle jako eksperci od terroryzmu, uwikłani są w rywalizację, by usprawiedliwić własne istnienie. Muszą przekonać publiczność, że zagrażają jej wciąż nowe niebezpieczeństwa”.

KTÓRE Z PONIŻSZYCH ZJAWISK SĄ NAJPOWAŻNIEJSZYMI ZAGROŻENIAMI DLA POLSKI W OBECNYM STULECIU?

(MOŻNA BYŁO WSKAZAĆ NAJWIĘCEJ 2 ZAGROŻENIA, ODPOWIEDZI W PROC.)



Przecież dokładnie w ten sposób działają terroryści! Są oni – jak zresztą wskazuje sama nazwa – przede wszystkim siewcami strachu. Zabijanie niewinnych cywilów nie jest ich celem, lecz środkiem do zastraszenia całej populacji. Wojna z terrorem oparta na straszeniu wszechobecnym wrogiem jest dokładnie tym, o czym terroryści marzą. Diagnozę Brzezińskiego wymownie potwierdza m.in. Abu Bakr Naji, autor najważniejszej chyba współczesnej teorii działania dla terrorystów – manifestu „Zarządzanie barbarzyństwem” (*Idārat at-Tawahhūṣ*). Chaos i przerażenie to kluczowe narzędzia walki z Zachodem – pisał Naji – odbieranie pewności, wprowadzanie paranoi i podważanie zaufania to najpotężniejsza broń w walce słabych przeciw silnym.

Czy to oznacza, że terroryzm nie jest poważnym problemem? Ależ jest! Tyle że problem ten (i skuteczne środki zaradcze) przedstawia się zupełnie inaczej niż w mediach i wystąpieniach polityków. Tłumy próbujących się przedostać do Europy migrantów to nie tysiące terrorystów, lecz rzesze ich ofiar. W wyniku m.in. „wojny z terrorem” na Bliskim Wschodzie zapanował chaos. W ostatnich latach liczba zamachów terrorystycznych naprawdę wystrzeliła w górę

(zgodnie z tym, o czym przekonują media i politycy), jednak ich ofiarami nie padają wcale Europejczycy i Amerykanie, lecz mieszkańcy Syrii czy Iraku. Przerażają nas Nowy Jork, Paryż czy Londyn, podczas gdy Bagdad i Damaszek są dla nas niewidzialne. Trudno o wymowniejszy przykład „gestu prestidigitatora”.

Ale terroryzm jest tu tylko przykładem. Twórcy nowoczesnej kultury strachu mogą wykorzystać dowolne inne zagrożenie. Badacze mają już nawet nazwę na uprawianą w ten sposób politykę – to sekurokracja. Sekurokraci sprawnie wykorzystują wspomniane już mechanizmy psychologiczne i kulturowe prowadzące do błędów poznawczych w ocenie ryzyka. Najważniejszym jest zapewne tendencja do nieuzasadnionego lęku przed nowym i ignorowania zagrożeń związanych z tym, co stare, znane, oswojone.

Lęk przed nieznanym

Wyobraź sobie, że odziedziczyłeś znaczną sumę pieniędzy. Zainwestujesz je w obligacje gwarantujące niewielki, ale bezpieczny zysk, czy w bardziej ryzykowne fundusze, kuszące wizją większych zarobków? Nie potrafisz odgadnąć, którego wyboru dokonasz, ale wiem, że jeżeli pieniądze byłyby zrazu zainwesto-

wane w bezpieczne obligacje, to szanse, że przeniesiesz je do innych funduszy, drastycznie maleją. Potwierdza to seria klasycznych już eksperymentów przeprowadzonych pod koniec lat 80. XX w. przez Williama Samuelsona i Richarda Zeckhausera. Podobnym tropem poszedł m.in. Richard Thaler – laureat Nagrody Nobla z 2017 r. Ich badania pokazują, że przeceniamy ryzyko związane z nowymi możliwościami, bagatelizując zarazem to zastane. Innymi słowy – nie lubimy zmian. Chyba że przeprowadzi się je w aurze przywracania *status quo*.

Dlatego właśnie zarządzanie strachem jest siłą, która może zarówno umocnić rządy, jak i je obalić. Sekurokracja w wersji populistycznej sprowadza się do żądania: „czy możecie nam zagwarantować, że będzie stuprocentowo bezpiecznie?”. Oczywiście nikt nie może udzielić takiej gwarancji, populistyczni sekurokraci są więc w stanie zaatakować dowolnego przeciwnika, i to nie tylko w polityce. Bo czy jesteśmy w stanie zagwarantować stuprocentowe bezpieczeństwo leków? Szczepionek? Elektrowni? Każde nowe rozwiązanie może okazać się niebezpieczne.

Na tym nie kończy się polityczny potencjał strachu. Być może najważniejszy z punktu widzenia mobilizacji elektoratu jest jeszcze inny efekt psychologiczny. Otóż strach, jak pokazują badania, czyni nas bardziej politycznymi w najbardziej źródłowym znaczeniu tego słowa. Sprawia, że szukamy oparcia we wspólnotie.

Plemienne strachy

Sala kinowa. Mrok. Trawiony obłędem Jack Nicholson goni swe ofiary z siekierą. Publiczność ma rozszerzone źrenice, przyspieszone bicie serca, niektórzy zaciskają dłonie na poręczach foteli. Chwilę później na ekranie pojawia się reklama nieistniejącego muzeum. A właściwie różne reklamy, bo to nie zwykły seans kinowy, tylko eksperyment. Grupa naukowców pod kierownictwem Władasa Griskeviciusa chciała stwierdzić, czy istnieje zależność pomiędzy straszeniem odbiorców a podatnością na określone typy perswazji. Okazało się, że porządnie nastraszeni widzowie byli znacznie bardziej podatni na te formy manipulacji, które odwoływały się do solidarności grupowej (tzw. społeczny dowód słuszności).

I ciekawostka: ci uczestnicy eksperymentu, którzy zamiast horroru oglądali komedię romantyczną, byli bardziej po-

datni na argumenty odwołujące się do wyjątkowości i wyróżniania z tłumu.

Psychologowie i socjolożki dość powszechnie uznają za prawdziwą teorię, wedle której – zgodnie z modelem zaczerpniętym z psychologii ewolucyjnej – kiedy jesteśmy przestraszeni, szukamy schronienia w grupie i wykazujemy większą tendencję, by robić to, co robią inni. Z kolei romantyczne pobudzenie sprawia, że instynktownie szukamy sposobu przyciągnięcia atrakcyjnych partnerów. Nieco upraszczając można powiedzieć, że boimy się plemiennie, kochamy zaś jako jednostki.

Dla siewców strachu to kluczowa zasada. Lęk sprawia, że łączymy się we wspólnotę polityczną. To fatalna wiadomość dla zwolenników „polityki miłości”. Doskonale podsumował to znany z politycznego cynizmu Richard Nixon: „Ludzie reagują na strach, nie na miłość. Nie uczą tego w szkółce niedzielnej, ale to prawda”.

Strach, podsycając plemienną, dzieli nas na wrogie grupy. Dlatego jest kluczowym narzędziem polaryzacji politycznej. Wielu badaczy zwraca uwagę, że wyborcy poszczególnych partii nie tylko różnią się wyznawanymi wartościami, lecz – przede wszystkim – boją się odmiennych rzeczy. W USA, słynących z binarnego podziału sceny politycznej, to zjawisko znane i doskonale zbadane. Niedawny sondaż IP-SOS dla OKO.Press sugeruje, że podobny efekt występuje też w Polsce [patrz: towarzysząca tekstowi infografika – red.]. Wyborcy PiS za najpoważniejsze zagrożenie uznają ideologię gender i LGBT (54 proc.), podczas gdy tylko 12 proc. z nich jako realne niebezpieczeństwo wskazuje kryzys klimatyczny. Globalnego ocieplenia boją się natomiast wyborcy KO (41 proc.), których przeraża też wyjście Polski z UE (34 proc.) czy nasilenie ruchów nacjonalistycznych (32 proc.).

Respondentów nie pytano o migrantów ani terroryzm, ale przeprowadzony w podobnym czasie sondaż Kantar dla „Gazety Wyborczej” sugeruje, że jest to jedno z częściej wymienianych zagrożeń (18 proc. w całej populacji, aż 37 proc. wśród wyborców PiS).

Boimy się różnych rzeczy, więc odmiennie interpretujemy te same wiadomości. Dla Demokratów w USA wzmianka o broni będzie źródłem lęku przed kolejną strzelaniną. Dla Republikanina – przed ograniczeniem konstytucyjnej

wolności przez wprowadzenie regulacji. U nas jedni obawiać się będą o bezpieczeństwo uczestników Marszu Równości, drudzy – lękać demoralizacji; jedni będą ubolewać nad wojną w Syrii i cierpieniem ludności cywilnej, drudzy – podkreślać zagrożenie terroryzmem, przemocą czy nawet chorobami, jakie miałyby nieść za sobą migracja; i wreszcie tam, gdzie jedni dostrzegą zagrożenie dla przetrwania naszego gatunku, drudzy zauważą spisek ekologów.

Czy zatem jesteśmy skazani na pogłębiające się podziały? Zdani na łaskę i niełaskę siewców strachu? Niekoniecznie. Jest dla nas nadzieja. A niosą ją piewcy ryzyka.

Piewcy ryzyka

Dawida Zaruka poznałem w dość osobliwych okolicznościach. Następnego dnia mieliśmy mieć bezpośrednio po sobie wykłady podczas otwarcia dużej konferencji i chciałem się jeszcze naradzić co do szczegółów. Mam w życiu ten problem, że nie wyglądam szczególnie poważnie i naukowo nawet w krawacie, więc początkowo nie skojarzył, kim jestem i czego właściwie od niego chcę. Przywitał się uprzejmie, po czym oświadczył, że musi jeszcze pobiegać, żeby wyrobić dzienny limit kilometrów, i nim zdążyłem wytłumaczyć, o co chodzi, zniknął w swoim pokoju, żeby się przebrać. Oczami wyobraźni widziałem już kosztowny scenariusz truchotania za nim i ustalania treści wykładów w biegu (nie jestem, niestety, typem sportowca), ale na szczęście po chwili moje nazwisko najwyraźniej przypomniawszy Zarukowi. Złapał mnie w hotelowym lobby. I tak sobie siedzieliśmy i naradzaliśmy się chyba ze dwie godziny. Ja w marynarce, krawacie i z otwartym laptopem, Zaruk w szortach i koszulce do biegania, z wielogachnym bidonem w dłoni. Ale i tak wyglądał poważniej ode mnie.

Jego wykład był genialny. Nie miał, jak inni prelegenci, prezentacji w Power Poincie. Zamiast tego nagle, w środku zdania, wyciągnął z plecaka parasol. „Parasol to rozsądne urządzenie dla rozsądnych ludzi – tłumaczył. – Ktoś, kto cały czas chodziłby po ulicy z rozłożonym parasolem, pewnie uniknąłby zmknięcia w przypadku nieoczekiwanego ulewego deszczu. Ale czy to rozsądna strategia?”.

Zaruk zawodowo zajmuje się komunikacją ryzyka. Sam o sobie mówi →

→ „*risk-monger*”, czyli – przez analogię do siewców strachu – „piewca ryzyka”. Jest znaną postacią w Brukseli, gdzie dosadny język przysporzył mu sporo wrogów, m.in. wśród aktywistów ekologicznych postulujących często zasadę „dmuchania na zimne”. Tamtego dnia Zaruk opowiadał właśnie o „pokusie całkowitego bezpieczeństwa” i o tym, że jest to postulat niemożliwy do spełnienia. Zamiast tego proponował podejmowanie decyzji w oparciu o rachunek prawdopodobieństwa i wybór mniejszego ryzyka.

Barry’ego Glassnera dotąd nie poznałem. On także jest świetnym mówcą. Współprowadzi komediowy podcast „Fear not” (Nie lękajcie się), wyśmiewający przesadzone lęki. Jest też prestidigitatorem-hobbystą, przez wiele lat był nawet przewodniczącym Magical Youths International – międzynarodowego stowarzyszenia młodych magików. To doświadczenie z pewnością przydaje mu się w demaskowaniu sztuczek siewców strachu. Bo poza licznymi pobocznymi zainteresowaniami Glassner jest przede wszystkim profesorem socjologii i autorem słynnej książki „The Culture of Fear. Why Americans Are Afraid of the Wrong Things” (Kultura strachu. Dlaczego Amerykanie boją się nie tego, co trzeba). Można śmiało powiedzieć, że to pogromca amerykańskich strachów. Od 20 lat analizuje, czym straszą jego rodaków politycy, media oraz internetowe plotki. Pomaga odsiewać ziarna od plew. Ostatnio słyszałem, jak komentował panikę, która wybuchła w związku z rzekomym roznoszeniem się epidemii podczas zdmuchiwania świeczek na dziecięcych tortach, a także ujawnioną nieoczekiwanie zabójczą naturę Wielkiego Kanionu (część mediów

OFIARY TERRORU W ROKU 2017

26 445

Tyłu ludzi zginęło na świecie
w wyniku aktów terroru, 95% z nich
na Bliskim Wschodzie,
w Afryce i południowej Azji

83

osoby zginęły
w Europie Zachodniej, a w Polsce:

0

ŹRÓDŁO: OURWORLDINDATA.ORG

zażądała wprowadzenia nowych procedur bezpieczeństwa po tym, jak w parku zginęła osoba robiąca *selfie*).

Częściej jednak zajmuje się sprawami śmiertelnie poważnymi: dostępem do broni, terroryzmem czy ryzykiem związanym z procedurami medycznymi (lub ich zaniechaniem).

Kwantyfikowanie tygrysa

Glassnera i Zaruka, poza sceniczną błyskotliwością, łączy konsekwencja, z jaką nalegają na zmianę w dyskursie publicznym niebezpieczeństwa na ryzyko. Niebezpieczeństwo to nieprecyzyjna kategoria, ściśle związana z poczuciem lęku. Co jest straszniejsze: tygrys czy hipopotam? To kwestia indywidualnych preferencji (wolisz być zjedzony czy stratowany?), dobrej opowieści, sugestywnego zdjęcia.

Ryzyko to zupełnie inna sprawa. Opiera się na obliczaniu prawdopodo-

bieństw. Wzór jest prosty. Mnożymy przez siebie dwie liczby. Jaka jest szansa, że spotkasz tygrysa? Jaka jest szansa, że napotkany tygrys cię pożre?

Kiedy obliczymy ryzyko, możemy dokonywać wyborów. Dysponując ograniczonymi zasobami, musimy gospodarować nimi rozsądnie. Chronienie wyborców przed tygrysami brzmi jak dobry pomysł (tygrys to straszna rzecz), dopóki nie uświadomimy sobie, że walcząc z jednym zagrożeniem zawsze zużywamy środki, które można było przeznaczyć na walkę z innym. Może tygrysy nie są wcale tym, czym powinniśmy się w tym momencie zajmować? Bezpieczeństwo nie jest kwestią bezwzględną, lecz właśnie sprawą rozsądnego wyboru.

Politycy i media próbują nam wmówić, że to kwestia pryncypiów. Że tam, gdzie mowa o bezpieczeństwie, nie ma miejsca na uzgodnienia czy ustępstwa, bo przecież nie będziemy handlować ludzkim życiem. Otóż nie. Jak pokazują Zaruk, Glasner i wielu innych specjalistów od komunikacji ryzyka, sprawa jest w gruncie rzeczy bardziej matematyczna niż metafizyczna.

Tam, gdzie mamy dane, powinniśmy kierować się nimi w podejmowaniu decyzji. Tam, gdzie danych brakuje, warto skierować środki na badania. Tropienie „białych plam” w nauce jest ważną częścią „kwantyfikowania niepewności”, a więc zamiany niebezpieczeństwa na wyrażone liczbami ryzyko.

To postulaty polityczne, które mieszczą się poza lewicą i prawicą, i mogłyby z powodzeniem znaleźć poparcie rozsądnych ludzi w każdej partii. Może porównywanie ryzyka brzmi mniej atrakcyjnie niż chronienie wyborców przed niebezpieczeństwami, ale jest znacznie skuteczniejsze. Marzy mi się polityka uprawiana w oparciu o dane i fakty. Polityka ryzyka zamiast polityki lęku. Polityka, w której można się rozsądnie dogadać, ale też znokautować przeciwnika argumentami (a nie inwektywami). Polityka oparta na nauce, której naczelną zasadą byłaby transparentna komunikacja. Wyborcy mają prawo znać nie tylko decyzje, ale także dane, które za nimi stoją. Nie mamy danych? Może zamiast podejmować chaotyczne decyzje, powinniśmy uzupełnić naszą wiedzę?

Skwantyfikujmy nasze tygrysy. Nie warto się bać matematyki!

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Z żalem zawiadamiamy,
że 16 listopada 2019 r. zmarł po długiej chorobie

ś.†p.

Marian Siewiera

Agnieszce, Marcie, Jarkowi i Wojtkowi
wyraży głębokiego współczucia

składają

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Hierarchia lęków

MICHAŁ BILEWICZ, PSYCHOLOG SPOŁECZNY:

**Przez kilka lat kreowano lęk wobec „ideologii gender”.
Dziś podsycą się lęk przed „ideologią LGBT”, bo to bardziej
odpowiada faktycznym emocjom polskiego społeczeństwa.**

MACIEJ MÜLLER: W lutym prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski podpisał „Kartę LGBT+”. Biskupi szybko przyłączyli się do głosu polityków obozu rządzącego przestrzegających przed „ideologią LGBT” – i trwa to do dziś. Czy to jest przejaw opisywanego przez socjologów zjawiska paniki moralnej?

MICHAŁ BILEWICZ: Panika moralna odnosi się do funkcjonowania w społeczeństwie jakiegoś mitu – wybucha, rozprzestrzenia się i niknie, po czym jest zastępowana przez inną. Doszło do niej np. w przypadku pogromu kieleckiego w 1946 r.: rozeszła się wieść, że Żydzi porwali dziecko, po czym mieszkańcy miasta ruszyli na żydowską kamienicę. Paniki moralne pojawiają się w sytuacji kryzysu wartości w społeczeństwie, stanu anomii. Doskonale opisywał to już pod koniec XIX w. twórca współczesnej socjologii Émile Durkheim. Obserwował proces Dreyfusa, francuskiego oficera żydowskiego pochodzenia osądzonego o zdradę na rzecz Niemiec. Sprawa stanowiła upust dla antysemickich uczuć w ówczesnej Francji. Choć pojęcie paniki moralnej jeszcze nie istniało, to proces, w którym całe społeczeństwa integrują się wobec wspólnego wroga oskarżanego o niemoralność, był już łatwo dostrzegalny.

W przypadku narracji na temat „ideologii LGBT” trudno jednak zastosować pojęcie paniki moralnej, bo mamy do czynienia z czymś zdecydowanie bardziej stabilnym. Mówiłbym raczej o kategorii trwałych społecznych lęków: odwołanie się do nich wywołuje silne emocje i buduje poczucie zagrożenia. To np. lęk o dzieci. W historii bardzo różne grupy były obwiniane o to, że im zagrażają. Niedawno we Francji napadnięto na Romów posądzanych o porwanie dzieci – kilka lat temu również u nas pojawiły

się absurdalne pogłoski, jakoby Romowie mieli porywać dzieci z samochodów na autostradzie. Po wojnie to właśnie lęk o dzieci prowadził do pogromów antyżydowskich, przed wojną też był powiązany z antysemityzmem. Wystarczy wspomnieć postulat z lat 30., by Żydom odebrać prawo nauczania w szkołach, bo rzekomo demoralizują dzieci.

Dzisiaj łatwiej straszyć homoseksualizmem?

Nasze badania w ramach Polskiego Sondażu Uprzedzeń z 2017 r. wykazały, że większość Polaków wołałaby, żeby osoby homoseksualne nie mogły pracować z dziećmi. Istnieje więc rozpowszechniony lęk, że taka osoba może je skrzywdzić. Tak, Żyda zastąpił homoseksualista.

I ten stereotyp ożywa właśnie, kiedy pojawia się projekt szkolnych warsztatów antydyskryminacyjnych zgodnych z zaleceniami WHO. Sprzeciw wobec „Karty LGBT+” nie wynikał przecież z zapisanych w niej gwarancji bezpieczeństwa osób nieheteroseksualnych czy monitorowania przestępstw, lecz z obietnicy wprowadzenia rzetelnej edukacji antydyskryminacyjnej do warszawskich szkół. Ten lęk był pobudzany także podczas ostatnich kampanii wyborczych.

Nasza koleżanka Paulina Górka prowadziła badania podczas kampanii do Parlamentu Europejskiego. W jej trakcie w Polsce nasiliły się uprzedzenia homofobiczne i ewidentnie wynikało to z obecności tego tematu w ideologii jednej z partii. Do nasilenia tych tendencji przyczyniają się też wypowiedzi kościelnych hierarchów.

Są echem polityków?

Plyną z prądem wytworzonym przez polityków, wpisują się w wytworzoną przez nich narrację. W przypadku „Karty LGBT+” to było sprzężenie zwrotne,

trudno rozstrzygnąć, kto kogo napędzał. Nie ulega wątpliwości, że duchowni wiedzą o powszechnym w Polsce lęku o dzieci związanym z rzekomym zagrożeniem ze strony osób homoseksualnych – i to wykorzystują.

W maju Polska oglądała film braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu” – a wkrótce potem byliśmy świadkami kolejnej erupcji lęku skupiającego się wokół osób LGBT+.

Nie sądzę, by była to wypracowana strategia, mówiłbym raczej o automatycznej reakcji oskarżonej grupy (księży), polegającej na przeniesieniu odpowiedzialności na inną grupę (LGBT), o której skądinąd wiadomo, że jest w społeczeństwie stygmatyzowana. Skoro większość Polaków postrzega osoby homoseksualne jako zagrożenie dla dzieci, to odwołanie się do tego lęku pozwoliło przekierować społeczną niechęć.

Nie przypadkiem Sekielscy na początku filmu opowiadają historię dziewczynki.

Nie miało to znaczenia. Polski Kościół konsekwentnie od lat wiąże orientację homoseksualną z pedofilią – mimo że wszystkie poważne badania publikowane w recenzowanych czasopismach naukowych wykazują, że nie ma związku pomiędzy orientacją homoseksualną a popędem seksualnym wobec osób nieletnich.

Jaka jest korzyść z podsycania lęku?

Władza, kiedy opiera się na lękach, jest potężniejsza. A taka, która ich trafnie nie rozpoznaje, traci kontakt ze społeczeństwem. W 1968 r. władze komunistyczne próbowały zdobyć legitymację, rozgrzewając emocje antysemickie i antyinteligentne. Emocje te nie były przecież częścią ideologii komunistycznej – władza ludowa odpowiedziała po prostu na potrzeby społeczeństwa, które cechowało się wysokim poziomem antysemityzmu.

Kilka lat temu kreowano lęk wobec „ideologii gender”, dziś podsycą się ten przed „ideologią LGBT”. Bo to bardziej odpowiada faktycznym emocjom społeczeństwa. I je wzmacnia – bo konsekwentne przypomnianie o lękach czyni je bardziej dostępnymi poznawczo, innymi słowy: ludzie częściej o nich myślą.

Przekłada się to na sytuację konkretnych osób. Badanie naszego Centrum →

→ i Kampanii Przeciw Homofobii pokazało, że 70 proc. młodzieży LGBT miewa myśli samobójcze, a ponad 60 proc. spotkało się w szkole z obraźliwymi wypowiedziami na swój temat. Pamiętamy historię samobójstw Dominika z Bieżunia i Kacpra z Gorczyzna czy transseksualnej Milo, która skoczyła do Wisły. Te tragiczne historie pokazują, że podsycanie lęków ma swoje konsekwencje.

Biskupi, którzy o tym mówią, zastrzegają przecież, że nie krytykują osób, tylko ideologie.

W walce z ideologią ofiarami są konkretni ludzie. W 1968 r. władza walczyła z „ideologią syjonizmu”, a cierpieli zwykli Żydzi, którzy nagle się o sobie dowiedzieli, że są syjonistami. Krążył wówczas dowcip o chłopcu, który pytał ojca: „Tato, jak się pisze syjonista?”, na co ten odparł: „Nie wiem, ale przed wojną się pisało przez duże Ż”. Podobnie dzisiaj homoseksualiści dowiadują się, że są krzewicielami „ideologii LGBT”.

Katechizm nakazuje zachowanie wobec homoseksualistów szacunku i delikatności. Tego zupełnie nie słychać w wypowiedziach wielu polskich duchownych. Nazwanie kogoś zarazą albo otwarte namawianie do tzw. terapii konwersyjnej w żaden sposób nie mieści się w nauczaniu samego Kościoła. Polscy duchowni wyglądają tu jak grupa odstępców. Papież Franciszek przeprosił za lata dyskryminacji osób LGBT+, tymczasem u nas ta dyskryminacja narasta. Droga polskiego Kościoła rozchodzi się z Rzymem.

Obawy są takie: damy im dłoń, a oni wezmą całą rękę – będą chcieli adoptować dzieci.

To efekt tzw. *trending norms*. Ludzi łatwo przekonać do myślenia o czymś na

Skupiając się na seksualności, Kościół odpowiada na znamioną dla naszych czasów ludzką potrzebę mówienia o seksie.

Mówiąc tak dużo na te tematy, sam ulega seksualizacji.

sposób, który nam odpowiada, uświadamiając im, że zachodzi pewien dynamiczny proces. Tylko że w przypadku praw osób LGBT+ w Polsce to nie jest prawda – pod tym względem nie ma żadnej zmiany od wielu lat. Polska jest w ogniu Europy pod względem jakiegokolwiek uznania praw osób nieheteronormatywnych.

Efekt *trending norms* wywołuje się więc na podstawie tego, co się dzieje w Europie Zachodniej. Kościół widzi, że kraje katolickie, takie jak Hiszpania i Irlandia, wprowadziły regulacje sankcjonujące związki partnerskie, a nawet małżeństwa osób tej samej płci. Boi się, że to tendencja ogólna, która może dotknąć Polskę, i ten lęk zaszczepia.

I w przypadku gender, i LGBT+ zastoso-
wano termin „ideologia”. O mur
niezrozumienia rozbijały się tłuma-
czenia, że gender to kategoria opisu
antropologicznego i socjologicznego,
a nie żadna ideologia. Druga strona
sporu epatuje też ekstremami:
np. zdjęciami z wizyty drag queen
w amerykańskim przedszkolu czy

filmami z berlińskich parad gejowskich.

Analogicznie można by sceny z karnawału w Rio pokazywać jako charakterystyczne dla orientacji heteroseksualnej albo zachowania sadomasochistyczne przedstawiać jako powszechne w małżeństwach. Liczba stereotypów stosowanych w wypowiedziach wielu ludzi Kościoła jest przerażająca. Podobnie jak słowa poparcia dla przemocy: kiedy dochodziło do brutalnych kontrmanifestacji przeciwko Paradam Równości, słychać było głosy duchownych, którzy je uzasadniali.

„Ideologię LGBT” porównano już do nazizmu i bolszewizmu.

W Polsce, kraju doświadczonym historycznie, takie metafory bywają nośne. Ale to absurdalne, bo przecież homoseksualiści byli ofiarami III Rzeszy. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi trafiło do więzień i obozów koncentracyjnych z powodu swojej tożsamości psychoseksualnej. Widać słabość edukacji w Polsce: ludzie najwyraźniej nie wiedzą, że różowe trójkąty oznaczały jedną z kategorii ofiar nazizmu.

Dziś wśród lęków wierzących dominuje tematyka cielesności i seksualności człowieka. Widać to w sprawach gender, LGBT+, aborcji i antykoncepcji. Tematy związane z seksualnością stały się niezwykle ważne dla Kościoła, choć w jego własnym nauczaniu i refleksji teologicznej stanowią raczej margines.

Franciszek we wrześniu podczas
spotkania z jezuitami w Kameru-
nie mówił o „moralnej fiksacji na
szóstym przykazaniu”, która jest
„jednym z wymiarów klerykalizmu”.
W polskich relacjach z Afryki pomi-
nięto ten wątek.

Tematyka pracy, nierówności, godności ludzkiej – tematy, które wydawały się

TP

Kluby „TP” zapraszają na spotkania

LUBLIN

▪ **piątek, 22 listopada,**
godz. 18.00

„Co z tym Lutrem?”. Gośćmi będą: Halina Radacz, ks. prof. Alfred Wierzbicki. Miejsce: kościół ewangelicko-augsburski (ul. Ewangelicka 1).

OLSZTYN

▪ **piątek, 22 listopada,**
godz. 17.00

Dyskusja po filmie „Boże Ciało” Jana Komasy. Gościem będzie: Łukasz Adamski. Miejsce: Dom Mendelsohna (ul. Zyndrama z Maszkowic 2).

WARSZAWA

▪ **czwartek, 21 listopada,**
godz. 19.00

„Fizyka, filozofia, film”. Gościem będzie: Krzysztof Zanussi. Miejsce: sala KIK (ul. Freta 20/24A).

▪ **piątek, 22 listopada,**
godz. 18.00

„Buddyzm a chrześcijaństwo. Rola religii w rozwiązywaniu egzystencjalnych problemów współczesnego człowieka”. Gośćmi będą: Manuela Gretkowska, Stanisław Obirek, Adam Szostkiewicz. Miejsce: kościół ewangelicko-reformowany (al. Solidarności 74).

zasadnicze dla nauczania Kościoła od czasów Soboru, a nawet wcześniej, schodzą na margines. Skupiając się na seksualności, Kościół odpowiada na zmienną dla naszych czasów ludzką potrzebę mówienia o seksie. A mówiąc tak dużo na te tematy, sam ulega seksualizacji. Gdy popatrzymy na treść papieskich encyklik czy adhortacji z ostatniego stulecia, to tematy seksualności są w nich dość marginalne. Gdy zaś wsłuchamy się w głos polskich hierarchów – to zdają się to najważniejsze elementy katolickiej nauki społecznej. Ktoś musi tu się mylić, nieprawdaż?

Chciałbym, żeby klerycy uczyli się w seminariach, jak faktycznie wygląda nauczanie Kościoła na temat osób LGBT+, żeby potem jako księża nie szli z duchem polskiej opinii publicznej. Z tym że zapis katechizmowy jest niejednoznaczny, bo wspominając o szacunku, mówi też o „wezwanie do czystości” – więc każdy może stąd wyciągnąć, co chce. Warto, żeby powstała encyklika na temat homoseksualności, albo szerzej: seksualności człowieka, przynosząca jednoznaczną interpretację nauczania Kościoła.

Jeszcze raz: Kościół jest instytucją liczną i potężną ekonomicznie. Po co miałby budować mury?

Czymś innym jest potęga materialna, a czymś innym rząd dusz, potęga związana ze sferą emocji. W Polsce maleje liczba wiernych uczęszczających na msze, kraj powoli się sekularyzuje. To musi napędzać lęki w Kościele. Zaspokaja on najbardziej atawistyczne potrzeby ludzi związane z seksualnością, najprost-



MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „JP”

DR HAB. MICHAŁ BILEWICZ jest psychologiem społecznym, profesorem na Wydziale Psychologii UW, gdzie kieruje Centrum Badań nad Uprzedzeniami.

szymi popędami, bo chce dostosować się do emocji rozpowszechnionych w społeczeństwie – i w ten sposób mobilizować wiernych do większego uczestnictwa w praktykach. Widocznie taki ma pomysł na trwanie.

Da się to odkręcić?

Dla mnie jako psychologa najbardziej dramatyczne są konsekwencje psychiczne tej narracji: skala depresji, myśli i prób samobójczych wśród osób LGBT+.

Z badań wynika, że to efekt mowy nienawiści, z którą się stykają. Co zrobić,

żeby je przed tym ochronić? Nasze badania wskazały na kluczową rolę wsparcia najbliższych osób. Uznanie ze strony rodziny i przyjaciół zapewnia większą odporność na hejt.

Pewnym kierunkiem jest więc może tworzenie przyjaznych enklaw dla osób LGBT+. I to się dzieje. Słyszałem określenie „homosłoi” na osoby LGBT+, które wyjeżdżają ze swoich miejscowości do Warszawy czy do Wrocławia, a więc do miejsc o wysokim poziomie tolerancji, gdzie działają kluby gejowskie czy kawiarnie gay-friendly. Tylko że to zjawisko dodatkowo zwiększa polaryzację społeczną.

Dlatego to tak ważne, żeby miejscem wolnym od homofobii była szkoła. Ale ona podlega ministerstwu i kuratoriom, a wiele nienawistnych wypowiedzi, jakie słyszeliśmy w ostatnim roku, padło z ust ministra edukacji. To małopolska kurator oświaty nazwała „Kartę LGBT+”, „promowaniem pedofilii” i „krzywdzeniem dzieci”. To sygnał, że osoby homoseksualne nie są w szkole mile widziane.

Efekty widać na przykładzie Tęczowych Piątków: w coraz większej liczbie szkół nauczyciele próbujący włączyć się w tę inicjatywę spotykają się z repriandą ze strony dyrektorów. Wydaje mi się, że to efekt drugiej kadencji PiS-u. Powstało wrażenie, że skoro ta partia znów zwyciężyła, to trzeba się przystosować do dominujących poglądów – i nie poruszać w szkole tematów kontrowersyjnych. A takim tematem stała się w Polsce walka z dyskryminacją.

© © Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
 Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabiń, Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiatkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Sylwia Frolow, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Marketing i Projekty Specjalne:
 Maja Kuczmieńska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziwili-Meller, Szymon Hołownia, Jan Kłata, Stanisław Manciewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłowska, Ryszard Koziołek, Stanisław Lubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocui, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Świątek, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmieńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad/graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: *Marność nad marnościami*



SŁOWA „A WSZYSTKO MARNOŚĆ NAD MARNOŚCIAMI” są fundamentem poematu Koheleta. Wyznaczają granice ludzkich wysiłków, przyjemności i zaszczytów. Wyznaczają rozumienie czasu, tak odmienne i swoiste w biblijnej literaturze. Te słowa

są jak pełen wojny krzyk. Mają w sobie zarazem czułość i rozpacz. Czułość, która należy się przegranym, znużonym, śmiertelnym, i rozpacz, którą każdy musi w życiu choć raz dotknąć. Te słowa powtarzamy nie znając Biblii. Z nimi się rodzimy i z nimi odchodzimy mówiąc sobie, czy to już wszystko. Te słowa są jak refren pieśni żałobnej i pieśni starego mędrca.

Bywają różnie tłumaczone. Czasem jako „daremność” lub „absurd”. Hebrajskie słowo *hevel* (marność) jest związane z oddechem, który staje się widoczny w chłodne dni zimą i chwilę później zanika. Czym innym jest dech życia, *ruach*, który tchnął w nas Bóg. *Hevel* jest ulotny. Ma w sobie coś z efemerydy, braku substancji. Marność nie jest abstrakcją, jak by sugerowały przekłady Księgi. Nie jest filozoficznym konceptem. Ma fizyczne miejsce w każdym żywym organizmie. Jest czymś powtarzalnym, póki dusza czy *ruach* nas nie opuści. Kojarzy się z ruchem. Pierwsze miejsce w Księdze zajmuje wydech, *hevel*. Nie Bóg. Nie od wezwania Świętego Jedyne go zaczyna się Księga. Ale nawet Bóg tej księgi występuje pod imieniem Elohim (nigdy jud hej waw hej) i zdaje się ma niewiele wspólnego z Bóstwem znanym z Tory. W Księdze Rodzaju Elohim kolejnymi powiedzeniami kreuje wszechświat. Ma moc działania i wyznaczania przyrodzonego porządku. Ma siłę i wolność w stanowieniu przyrody, dnia i nocy, oddzielania światła od ciemności. To On ofiarował nam wielki cel, nakazał być sprawiedliwym. W tej Księdze Bóg jest bardziej świadkiem naszego zła, kimś, kto już stworzył ład czy absurd w świecie. „I włożyłem całe swoje serce w badanie i dociekanie wszystkiego, co stworzone pod niebem; tę rzecz złą dał Pan ludziom na udękę. Widziałem wszystko, co się działo pod słońcem, a oto wszystko marność i nicność” (Koh 1, 13-14).

Bóg z Tory bywa kapryśny, gniewliwy, ale pcha ku doskonałości i nakazuje oczekiwać z niepokojem kresu czasu. Bóg Koheleta jest pogodzony z ludzką słabością. Ma osądzić człowieka, choć nie wiemy, kiedy i jak. Z pewnością nie stanie się to w przyszłym życiu. Kohelet taką perspektywę wyklucza. Jego Bóg przypomina bardziej tyche – los znany z greckiej filozofii lub jakąś kosmiczną siłę, poza naszą wyobraźnią i kontrolą. Kohelet przywołuje Jego obecność, by jeszcze raz przypomnieć, że wszystko jest teatrem, w którym żywimy się niespełnieniem, iluzjami, frustracją. Bo nad nakazami Boga wszystkim rządzi jedna zasada: „marność nad marnościami i wszystko marność”. Zdają się być te słowa potężniejsze niż Tora, niż pieśni Mojżesza. Są naszą alfą i omegą. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Jedno słowo*



PODCZAS PRZESŁUCHANIA PRZED PIŁATEM Jezus powiedział: „Moje królestwo nie jest z tego świata. Gdyby moje królestwo było z tego świata, moi podwładni walczyliby, abym nie został wydany Żydom. Teraz zaś moje królestwo nie jest stąd”.

Rzeczywiście w tym Chrystusowym królestwie wszystko jest na opak. Podwładny nie dość, że przesłuchuje przełożonego, to jeszcze skazuje go na haniebną śmierć. Przedtem uczeń wydaje w ręce siepaczy swojego mistrza i zamiast usłyszeć: „Tak mi się odwdzięczasz za moją miłość do ciebie?”, słyszy: „Przyjacielu, po co przyszedłeś?”. Co w kontekście innych wypowiedzi Mistrza można tak odczytać: Przyjacielu, jaka szkoda, że nie widzisz, jak sam siebie krzywdzisz. Na koniec skazaniec usprawiedliwia zarówno tych, którzy skazali go na śmierć, jak i tych, którzy wykonują rolę katów.

Jezusowe zastrzeżenie, że Jego królestwo nie jest stąd, nie znaczy, że jest ono z jakichś zaświatów i w całej pełni rozwinięte w tychże zaświatach, czyli tak na dobrą sprawę nie wiadomo, gdzie i kiedy.

Ale nie jest również tak, że Jezusowe królestwo można zamknąć w znanej nam czasoprzestrzeni, tak jak marzyło się to establishmentowi polityczno-religijnemu tamtych czasów i jak się to marzy dzisiaj niejednemu politykowi, który chętnie wynająłby Jezusa na pijarowca. Przez cały proces, a nawet wtedy, gdy Jezus zawisł na krzyżu, członkowie Wysokiej Rady i inni kpią z Jezusa i kuszą Go, żeby zszedł z krzyża, a wierzą, że jest Mesjaszem.

To rozminięcie się oczekiwań ludzi z misją Jezusa dobrze oddaje apokryficzna Ewangelia Tomasza: „Gdy wasi przywódcy powiedzą wam: to królestwo jest w niebie, wtedy ptaki niebieskie będą pierwsze przed wami. Gdy powiedzą wam, że ono jest w morzu, wtedy ryby będą pierwsze przed wami. Ale królestwo jest tym, co jest w was, i w tym, co jest poza wami. Skoro poznacie samych siebie, wtedy będziecie poznani i będziecie wiedzieć, że jesteście synami Ojca żywego. Jeśli zaś nie poznacie siebie, wtedy istniejecie w nędzy i sami jesteście nędzą”.

Kluczem otwierającym królestwo Boże są zatem słowa: „Panie, nie jestem godzien, abyś przyszedł do mnie, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja”. Święty Ambroży mówi: „Przepiękny to przykład, jak należy się starać o nawrócenie, skoro tak szybko łotrowi darowano winy, a łaska przewyższyła prośbę. Zawsze Pan więcej daje niż to, o co się Go prosi. Ów bowiem prosił, aby Pan o nim pamiętał, gdy przyjdzie do królestwa swego, Pan zaś mówi: »Zaprawdę, zaprawdę mówię tobie, dziś ze mną będziesz w raju«. Życiem jest bowiem być z Chrystusem, tam bowiem jest królestwo, gdzie jest Chrystus”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Dzieci, ojcowie, młodzi

Trzeba rozbudzić miłość
do samego siebie,
aby okazywać ją
wszystkim rzeczom.

SIMONE WEIL



Człowiek jest symbolem.
(...) Przeniknij zewnętrzną
powłokę symbolu, bo inaczej
uśpiś swój umysł.

SUFİ PAULAD Z ERYWANIA



Wybrał PIOTR SIKORA



„PISZĘ DO WAS, DZIECI, że dostępujecie odpuszczenia grzechów ze względu na Jego imię. Piszę do was, ojcowie, że poznaliście Tego, który jest od początku. Piszę do was, młodzi, że zwyciężyliście Złego. Napisałem do was, dzieci, że znacie Ojca; napisałem do was, ojcowie, że poznaliście Tego, który jest od początku; napisałem do was, młodzi, że jesteście mocni i że nauka Boża trwa w was, i że zwyciężyliście Złego” (1 J 2, 13-14).

Bóg ma słowo dla każdego: dla dziecka, dla młodego i dla dorosłego. Można powiedzieć lepiej: Bóg jest Słowem dla każdego. W Jezusie odwieczne Słowo Boga stało się dzieckiem wśród dzieci, młodym wśród młodych, dorosłym wśród dorosłych (to jedna z pięknych myśli św. Ireneusza z Lyonu, przypominiana na Synodzie Biskupów nt. Młodych).

Jakie jest słowo dla dzieci? Że odpuszczone są im grzechy. Czy to nie powinno być słowo dla ojców? Wszak grzechy są w o wiele większym stopniu ich ciężarem. To my, dorośli, zdążyliśmy się już „zestarzeć w swoich grzechach”. Jakie grzechy mogą być odpuszczone dzieciom? Jedyna sensowna odpowiedź brzmi: przyszłe. Wszak małe dzieci nie mają jeszcze ani świadomości grzechu, ani wynikającej z niej odpowiedzialności. Bóg ogłasza dzieciom odpuszczenie grzechów, które popełnią w przyszłości. Jego wybaczenie jest uprzednie. Wynika z bezwarunkowej miłości. Ona jest wcześniej niż jakikolwiek z naszych świadomych czynów; jest wcześniej niż nasze narodziny.

To właśnie z tej miłości się rodzimy. I to ona, uprzednia i bezwarunkowa miłość, wybacząca i akceptująca, przyjmująca nas bez względu na nasze przyszłe decyzje, absolutnie bezinteresowna, jest jedynym środkiem, w którym możemy rozwinąć się z dzieci w ludzi młodych, a potem dorosłych. Kto zaznał tej miłości, ten (pisze Jan) „poznał Ojca”. Kto jej nie przyjął, jeszcze Go nie poznał – nawet jeśli Go tak nazywa.

Taka „figura Ojca” jest z kolei paradygmatem ogłoszonym ojcom: „piszę wam, ojcowie, że poznaliście Tego, który jest od początku”. Pada tu słowo „arché”, które oznacza nie tylko początek, ale również normę. On jest normą każdego ojcostwa. Ten może być ojcem, kto Go poznaje.

I wreszcie Słowo do młodych: o siłę. „Napisałem wam, młodzi, że jesteście mocni”. Tak. Tak się pewnie młodzi czują. Odczuwają w sobie siłę, której jeszcze brak dzieciom, a która już opuściła ojców. Począwszy od siły fizycznej, przez siłę entuzjazmu i nadziei, po siłę rozbudzonego i świeżego intelektu i pamięci – siłę radykalizmu i ostrego widzenia, siłę pewności siebie.

Jan jednak wskazuje młodym inne źródło siły: jesteście mocni, gdyż „nauka Boża trwa w was”. W tekście greckim mamy tu *Logos*: „Słowo Boga trwa w was”. To tak, jakby Jan pytał młodych: „Jesteście silni? A które ze Słów Boga usłyszanych dzisiaj czy wczoraj trwa w was? Żadne? To jesteście bezsilni! Przynajmniej w walce ze Złym”. To pouczenie dla wszystkich, ale w szczególności dla tych, którzy z młodzięcą energią i siłą porywają się na remontowanie Kościoła: jakie Słowo Boga w was trwa? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (24 XI – 1 XII)

Uroczystość Jezusa Chrystusa Króla Wszechświata:

2 Sm 5, 1-3; Ps 122; Kol 1, 12-20; Łk 23, 35-43;

Poniedziałek: Dn 1, 1-6. 8-20; Dn 3; Łk 21, 1-4;

Wtorek: Dn 2, 31-45; Dn 3; Łk 21, 5-11;

Środa: Dn 5, 1-6. 13-14. 16-17. 23-28;

Dn 3; Łk 21, 12-19;

Czwartek: Dn 6, 12-28; Dn 3; Łk 21, 20-28;

Piątek: Dn 7, 2-14; Dn 3; Łk 21, 29-33;

Sobota: Iz 49, 1-6;

Ps 19; Rz 10, 9-18; Mt 4, 18-22;

1. niedziela Adwentu: Iz 2, 1-5;

Ps 122; Rz 13, 11-14; Mt 24, 37-44.



MIELONKA POD SIELANKĄ

Uśmiechnięte twarze polityków oraz ich wyciągane na powitanie prawice nie są zwiastunem żadnej trwałej zmiany. To teatr na nasz użytek. Polityczna wojna jest tuż za progiem.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

NA POZÓR STAŁO SIĘ WSZYSTKO TO, CO stać się miało. Premier przedstawił skład nowego rządu, a prezydent ekspresowo go powołał. Nowy rząd jest tak podobny do starego, że można je pomylić. Obóz władzy znów powołał na marszałka Sejmu Elżbietę Witek, a ulga po odejściu Marka Kuchcińskiego jest tak duża, że Witek dostała nawet wsparcie części opozycji. Choć do ostatnich dni PiS próbował przekupić kilku senatorów PO, to plan ów zakończył się fiaskiem. Opo-

zycja stworzyła koalicję przeciwko PiS w Senacie i wybrała swego marszałka – Tomasza Grodzkiego.

Wszystko to, co stać się miało, stanowi jednak niebywale ważną zmianę na scenie politycznej. Nie, żadna kandydatka na współczesną Joannę Szczepkowską wieszczącą koniec PiS się nie objawiła. Aktorów i aktorek niechętnych tej partii jest pod dostatkiem, tyle że nie jest to koniec PiS. Choć przyznać trzeba, że w monopartyjnym systemie władzy powstała wyrwa.

Prezes musiał ochłonąć

Nie ma co roztrząsać w detalach kampanii wyborczej PiS, gigantycznych obietnic i ogromnych nadziei w partii na wynik sięgający nawet 50 proc., co dawałoby komfort dzielenia i rządzenia. Stało się to, co się stało. Po pierwsze, PiS stracił większość w Senacie. Po wtóre, sojusznice partii Zbigniewa Ziobry i Jarosława Gowina się wzmocniły, a bez nich Kaczyński nie ma większości. Po trzecie, nie udało się wyeliminować ze sceny poli-

Rozpoczyna się pierwsze posiedzenie Sejmu IX kadencji, Warszawa, 12 listopada 2019 r.

nej w Sądzie Najwyższym. Tę samą, którą PiS sam stworzył, zaś opozycja uważała za tajną broń, która ma służyć Kaczyńskiemu do fałszowania wyborów. Gdy już było widać, że z protestów nic nie będzie, PiS zaczął kusić senatorów opozycji, by w zamian za stanowiska i przywileje zmienili polityczne barwy. Także ten plan skończył się fiaskiem – obawy senatorów o publiczny lincz były zbyt duże.

Dlatego też, gdy 12 listopada zebrały się obie izby, wszystko było już właściwie jasne: po 4 latach niepodzielnych rządów jednowładztwo Jarosława Kaczyńskiego się skończyło.

Wszystko obliczalnie

Wbrew pozorom negocjacje opozycji w sprawie utworzenia koalicji w Senacie do najłatwiejszych nie należały. Choć Grzegorz Schetyna, Władysław Kosiniak-Kamysz i Włodzimierz Czarzasty jeszcze wiosną tworzyli wspólną koalicję w wyborach europejskich, to rozpad tego związku pogłębił nieufność między nimi.

Ludowcy byli wściekli, bo Schetyna próbował narzucać swoje warunki, w tym obsadę fotela marszałka Senatu. Celowo rozsiewali plotki o swych kon-szach z PiS, by zmiekczyć Platformę. Skończyło się jednak – jak wszystko w ostatnich dniach – absolutnie obliczalnie. Schetyna ustąpił z trzech kolejnych kandydatów: byłego marszałka Bogdana Borusewicza, byłego ministra w kancelarii prezydenta Komorowskiego Sławomira Rybickiego oraz Zygmunta Frankiewicza, wieloletniego prezydenta Gliwic.

Czy Grodzki stanie się jedną z twarzy antypisowskiej opozycji? Na pewno ma takie ambicje. Był pierwszym, który po wyborach oznajmił, że PiS kusi go posadą rządową – do dziś nawet część jego kolegów podejrzewa, że był to element autopromocji. Profesor, lekarz, ojciec i dziadek o dostojnym wizerunku – Grodzki ma robić za wizytówkę innej polityki.

Ale i druga strona nie zasypia gruszek w popiele. Jak wiarygodnie dla suwerena można uderzyć w lekarza? Łapówkami. „Wiadomości” TVP, opierając się na internetowym wpisie sympatyzującej z PiS prof. Agnieszki Popieli z Uniwersytetu Szczecińskiego, zarzuciły Grodzkiemu,

że ponad 20 lat temu zażądał pieniędzy za leczenie jej umierającej matki. „Jak moja Mama umierała, to trzeba było dać 500 dolarów za operację. Podobno na czasopiśmie medyczne. Faktury ani rachunku nie dostałam. Nigdy tego nie zapomnę” – napisała pani profesor. Potem jednak złagodziła swoje zarzuty, pisząc: „jeśli dokumentacja jest ok, to chętnie przeproszę”.

– Nie pamiętam takiej sytuacji. Nigdy nie oczekiwałem pieniędzy za pomoc pacjentom. Od momentu wyboru spodziewałem się ataku. Chyba będę zmuszony podjąć kroki prawne – mówi mi Grodzki.

Podpowiadacze

W Senacie i wokół Senatu będzie twardo, czasem brutalnie. Powołany na wicemarszałka Michał Kamiński – kiedyś polityk PiS, potem PO, teraz związany z PSL – już przygotowuje takie zmiany w regulaminie izby wyższej, by stała się areną potyczek między opozycją a rządem. Może np. wprowadzić regularne posiedzenia, na których premier i ministrowie musieliby odpowiadać na pytania senatorów.

Przyjaciół Kamińskiego, ważny reżyser opozycji Roman Giertych już opracował brawurową interpretację przepisów Konstytucji. Oto Senat wcale nie musi odsyłać do Sejmu ustaw, które mu się nie podobają. Zdaniem Giertycha Senat ma prawo topić projekty PiS, choć Konstytucja na ten temat milczy. Inny dawny sojusznik Kaczyńskiego, były wiceprezes PiS Ludwik Dorn podpowiada jeszcze coś innego: stworzenie senackiego Centrum Analiz Strategicznych. Siłą rzeczy byłby to konkurencyjny ośrodek analityczny do rządowego o identycznej nazwie.

Nawet jeśli wszystkie te pomysły nie przejdą, to i tak Senat ma instrumenty, by uprzykrzyć Kaczyńskiemu życie. Może przez miesiąc poprawiać sejmowe ustawy, co znacznie wydłuża prace – a Kaczyński uwielbia parlamentarny ekspres.

Senat da także opozycji prawo zatwierdzenia nowego rzecznika praw obywatelskich, bo znany z krytyki PiS Adam Bodnar za rok kończy kadencję. Wyznaczy swoich nominatów do Krajowej Rady Sądownictwa i Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji – w tej chwili to bastiony PiS. No i zatwierdza wybór szefa NIK, co jest kłopotliwe dla PiS w razie, gdyby trzeba było wybrać następcę Mariana Banasia.

Reszta jest tak naprawdę kwestią pomysowości Grodzkiego, liderów opozycji i masy podpowiadaczy.

→

tycznej PSL. Po czwarte, do Sejmu po raz pierwszy od ponad dekady weszła jeszcze bardziej prawicowa od PiS prawica, czyli Konfederacja. A przecież obsesją Jarosława Kaczyńskiego było pilnowanie prawej flanki, bo tylko dominacja PiS po tej stronie daje szansę na długotrwałe rządy.

Wszystkie te przegrane elementy wygranych wyborów doprowadziły do tego, że centrala PiS na Nowogrodzkiej potrzebowała czasu, by ochłonać. Pierwsze posiedzenia Sejmu i Senatu odbyły się w najpóźniejszym możliwym terminie: miesiąc po wyborach.

PiS próbował minimalizować straty. Oczywiście, robił to tak, jak umie najlepiej – przez kuglowanie i jatkę. Zaczęło się od kwestionowania wyniku wyborów do Senatu. Śześć kolejnych protestów w tej kwestii zostało widowiskowo wyrzucone do kosza przez Izbę Kontroli Nadzwyczaj-

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

Prezydent wybrał podchody

⇒ Spekulowano, że urażony Kaczyński może zrobić awanturę o dodatkowe posady dla PiS we władzach Senatu, szantażując opozycję blokadą wicemarszałków w Sejmie – ale do tego nie doszło.

Właściwie to te pierwsze posiedzenia Sejmu i Senatu były sielankowe. Pełne grzeczności, kurtuazji i apelów o pojednanie. A najbardziej sielankowy był Andrzej Duda – generalnie im bliżej do wyborów prezydenckich, tym próbuje być bardziej pojednawczy.

Zgrzytem nie było nawet wystąpienie Antoniego Macierewicza, którego do roli marszałka-seniora wybrał prezydent. Wysokie natężenie emocji i oskarżeń to wyróżnik politycznego stylu b. szefa MON. Tym razem zadziało jak szczepionka. Sejmowa sala po stronie opozycji parę razy złowrogo zamruczała przy „zdradach” i „genderach”, ale przypomniawszy sobie z miejsca, że to Macierewicz – i mruć przestała.

Czemu Duda go wyznaczył? Wszak z nikim przez ostatnie lata Macierewicz nie walczył tak brutalnie jak z prezydentem. Powód jest prosty – to symboliczne dowartościowanie ma ukryć fakt, że Macierewicz żegna się z władzą. W nowym rozdaniu nie ma co marzyć o powrocie do rządu.

Reszta to teatr. Rzecznik prezydenta twierdzi, że wybór Macierewicza – w czasach PRL-u opozycjonisty – jest symboliczny, bo zbiega się z rocznicą pierwszych częściowo wolnych wyborów do polskiego Sejmu w 1989 r. Szkopuł w tym, że Macierewicz zawsze był ostrym

krytykiem tych wyborów. Uważa je, a jakże, za zdradę.

Duda nie przywraca Macierewicza do życia, bo to nie jest w jego interesie. W odróżnieniu od szukającego w swym wystąpieniu zdrajców marszałka-seniora prezydent prezentuje się jako polityk szukający porozumienia. Cytuje i Jana Pawła II i – o zgrozo – Tadeusza Mazowieckiego.

Żeby wygrać, Duda potrzebuje wyborców spoza PiS. Miał dwa wyjścia – albo radykalizmem ukłonić się zwolennikom Konfederacji, albo delikatnością podejść wyborców opozycji. Wybrał podchody.

Schetyna broni stołka

Jeśli Duda ma dla wyborców opozycji ofertę, to sama opozycja wciąż jej nie ma. By być precyzyjnym – nie ma jej główna partia opozycyjna. W PSL sytuacja jest jasna – lider partii Władysław Kosiniak-Kamysz jest zdecydowany kandydować. Lewica najprawdopodobniej postawi na Roberta Biedronia. Co z Platformą?

Od przegranych wyborów partia przeżywa najpoważniejsze problemy w niemal 20-letniej historii. Ani walczący o przetrwanie Grzegorz Schetyna, ani dążący do jego usunięcia buntownicy nie mają wyraźnej większości we władzach partii. Efekt jest taki, że Platforma zajęta jest permanentną wojną wewnętrzną.

Schetyna długo rachował szable, odwołując pierwsze posiedzenie klubu parlamentarnego. Obmyślał taktykę obrony. I wymyślił – prawybory prezydenckie. Uznał, że to odwróci uwagę od jego kłopotów i pozwoli uciec do przodu.

Choć początkowo zarząd był prawyborom przeciwny – trafnie odczytując in-

tencje Schetyny – to ostatecznie się zgodził. Krakowskim targiem przyjęta została dziwaczna formuła. Nie będą głosować wszyscy członkowie Platformy, jak to było 10 lat temu, gdy o nominację starali się Bronisław Komorowski i Radosław Sikorski. Kandydata wybierze partyjny aparat – 1200 członków Konwencji Krajowej PO, która odbędzie się 14 grudnia. Wystartuje Małgorzata Kidawa-Błońska, być może Radosław Sikorski lub Bartosz Arłukowicz, może jacyś samorządowcy.

Czy Platforma uważa, że wystarczy poparcie kilku setek partyjnych szych, żeby wybrać kandydata, który miałby szanse w starciu z Dudą? Nie. Ale wybory prezydenckie są dziś dla polityków PO pochodną walki o władzę w partii.

Stąd furia w części środowisk antypisowskich, której wyrazicielem stał się wicenaczelny „Gazety Wyborczej” Jarosław Kurski. W emocjonalnym tekście zaatakował Schetynę: „Kandydaci na kandydatów prężą muskuły. Toczą kulurowe batalie, wojnę pozycyjną o dostęp do ucha Grzegorza, wznosi się kurz bitewny, panuje bezhołowie i rozgardiasz. W dymie z cygar rządzą faceci (...) z siebie bardzo zadowoleni. Cenią się i lubią to, co robią, tyle że przerznęli właśnie czwarty z kolei mecz i dziarsko kroczą po piątą kłeskę”.

Co robi Tusk?

To klasyczny konflikt tożsamościowych emocji z politycznymi kalkulacjami. Środowiska stojące za Platformą ze zdumieniem patrzyły na koszmarną kampanię wyborczą, obawiając się gigantycznego zwycięstwa PiS. Odbicie Senatu i wspólny

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego” – Wydania Specjalnego, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres:
zamowienia@tygodnik.com.pl, my zajmiemy się resztą.
Do kompletu 4 dowolnych wydań piątę dodajemy GRATIS!

* Cena pojedynczego wydania w tej ofercie – 15 zł.

W ofercie można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP”:
 „Do Betlejem!”,
 „Wszystko, co wiemy”,
 „Moc czytania”,
 „Polska Żydowska”,
 „Smak wolności”,
 „Zwierzenia zwierząt”,
 „Halo, tu Ziemia”.



sejmowy wynik PO, PSL i SLD o niemal milion głosów wyższy od PiS wlały nadzieję w serca. A teraz znów, przy okazji szukania prezydenckiego kandydata, obserwując, jak niedołączoną partią jest PO.

Schetyna ma inną perspektywę. Po pierwsze, dzięki prawyborom kontroluje proces wyłaniania kandydata. Po wtóre, odwraca uwagę od serii kolejnych porażek wyborczych – a jest autorem trzech z litanii Kurskiego. Po trzecie wreszcie, z punktu widzenia Schetyny nie ma znaczenia, kto zostanie prezydentem. Jego interesuje zachowanie fotela szefa PO.

Zwycięstwo w walce o prawyborę wraz z przejściem przez opozycję kontroli nad Senatem to jego doraźne sukcesy, które po raz pierwszy od października pozwalają mu spojrzeć w przyszłość z delikatnym optymizmem. Mówiąc wprost – na razie uciekł spod gilotyny. Dlatego też zgodził się, by wraz z prawyborami rozpocząć także wybory przewodniczącego partii.

Kadencja szefa PO kończy się w styczniu, jednak buntownicy początkowo chcieli usunąć Schetynę jak najszybciej. Ten wykalkulował jednak, że prawyborę dadzą mu czas do stycznia – i swój plan zrealizował.

Inna rzecz, że na przykładzie kampanii prezydenckiej jeszcze wyraźniej widać to, co wyszło na jaw przy okazji wyborów sejmowych: Platforma zmarnowała 4 lata rządów PiS. W partii nie było myślenia o przygotowaniu i promowaniu grupy polityków, z których można było wybrać kandydata na prezydenta. Oczywiście to w znacznej mierze wina Schetyny. Ale więcej na sumieniu ma Donald Tusk. To on przez całe rządy PiS będąc w Brukseli, jedną nogą tkwił wciąż w Polsce, sugerując, że wróci i stanie w szranki z Dudą. W finale, tuż po wyborach sejmowych, zostawił partię na lodzie. W dodatku może skomplikować sytuację Platformy, jeśli zdecyduje się zaangażować w kampanię prezydencką Władysława Kosiniaka-Kamysza, który w jego kalkulacji ma większe szanse na zwycięstwo z Dudą.

Najniższy wspólny mianownik

Ale nie tylko Platformę dzielą powyborcze konflikty. Powołanie rządu wcale nie uniważyło wyraźnych podziałów w PiS. To, że rząd jest prawie niezmienny, nie jest dowodem na zgodność myśli i politycznych planów Jarosława

Platforma zmarnowała 4 lata rządów PiS.

Nie było myślenia
o przygotowaniu grupy
polityków, z których można
wybrać kandydata
na prezydenta. Najwięcej na
sumieniu ma Donald Tusk.

Kaczyńskiego, Mateusza Morawieckiego, Zbigniewa Ziobry i Jarosława Gowina. Wręcz przeciwnie – okazało się, że rząd w tym kształcie to po prostu najniższy wspólny mianownik.

Morawiecki wyraźnie się wzmocnił – jego zaufani pokierują wszystkimi kluczowymi resortami gospodarczymi. Przejął politykę europejską z MSZ i usunął Marka Suskiego, który w teorii był szefem jego gabinetu, a w praktyce – partyjnym cerberem. Ale nie ma wolnej ręki, bo wciąż w rządzie jest wielu ludzi, których wolałby się pozbyć, choćby szefa MSWiA Mariusza Kamińskiego czy ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry.

W nowym rozdaniu koalicjanci PiS – Ziobro i wicepremier Gowin – nieco zyskali. Współpracowniczka Gowina Jądwig Emilewicz jako minister rozwoju dostała dodatkowe kompetencje, inna rzecz, że czasem niewdzięczne (jak budownictwo z rozgrzebanym programem „Mieszkanie Plus”). Ale Ziobro także nie ma co narzekać – jego pupil Michał Woś dostał resort środowiska, a zatem masę posad i sporo pieniędzy w Lasach Państwowych i Narodowym Funduszu Ochrony Środowiska (to m.in. źródła finansowania przez władzę dzieł o. Tadeusza Rydzyskiego).

Tekę ministra środowiska stracił Henryk Kowalczyk, człowiek Beaty Szydło. To pierwsze osłabienie byłej premier. Drugie – to odejście Krzysztofa Tchórzewskiego, którego resort energii został zlikwidowany. Te dymisje pokazują, że Szydło już się nie liczy w rozgrywce o władzę.

Wojna o ZUS

Pierwsze ruchy w obozie rządzącym wskazują na to, że ta kadencja nie będzie sielanką. Przede wszystkim rząd zaczął dramatycznie szukać pieniędzy, prze-
cząc przedwyborczej propagandzie o hi-

storycznym, zrównoważonym budżecie bez deficytu. Podniósł aż o 10 proc. akcyzę na alkohol i papierosy oraz postanowił, że wypłaty 13. emerytur będą pochodzić z Funduszu Rezerwy Demograficznej, czyli zaskórniaków odkładanych przez państwo na czarną godzinę.

Ale największa wojna wybuchła o podwyżkę składek ZUS dla najlepiej zarabiających pracowników etatowych. Gowin przypomniał sobie, że jest liberałem, i zażądał utrzymania 30-krotności średniej krajowej, od której przestaje się płacić składki na ZUS. I co się okazało? Że pierwszy wniesiony do Sejmu przez PiS projekt dotyczy likwidacji 30-krotności. A Kaczyński może liczyć w tej kwestii na lewicę, pokazując Gowinowi, że jego spóźniony liberalizm w tej kadencji da się obejść dzięki koalicji prawicy socjalistycznej z socjalistyczną lewicą.

Jednocześnie lewica dostała od PiS stanowiska szefów ważnych sejmowych komisji – znacznie lepszych od tego, co przypadło nieporównanie większej Platformie. Szef SLD Włodzimierz Czarzasty twierdzi, że to zasługa pracowitości polityków lewicy. Może i tak. Zapewne też dzięki tej legendarnej pracowitości lewicy PiS wybrał na wicemarszałka Sejmu właśnie Czarzastego. Mimo że w swym raporcie dotyczącym afery Rywina Zbigniew Ziobro uznał go niegdyś za członka zorganizowanej grupy przestępczej, która stała za tym korupcyjnym skandalem. Ba, sam Ziobro teraz za nim zagłosował.

Cieszymy się ciszą

Choć politycy chcieliby nas przekonać, że po wyborach znaleźliśmy się w świecie politycznej równowagi, a może i zgody, to sami będą w stanie udawać najwyżej do maja, czyli do wyborów prezydenckich. Jeśli Andrzej Duda wygra, Kaczyński będzie mógł odetchnąć i przywróci polskiej polityce temperaturę znaną z ostatnich lat. Wtedy też ma ruszyć druga fala kuszenia polityków PO, by odbić Senat i wraz z nową kadencją Dudy odzyskać kontrolę nad legislacyjnym taśmociągami. A jeśli Duda przegra? To nowy prezydent wraz z Senatem ruszą do rozprawy z PiS.

Jednak przez najbliższe pół roku polska polityka może być nieco cichsza. Cieszymy się tą ciszą. © ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Macie wszystko umieć

MARIUSZ SEPIOŁO

Jakby chcieli nas ukarać za to, że wybraliśmy sobie taki kierunek, rzekomo dla pieniędzy – oceniają system kształcenia studenci stomatologii w Szczecinie.

ALICJA PRZYSŁAŁA LIST: „WŁAŚNIE ZOSTAŁAM absolwentką Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie na kierunku lekarsko-dentystycznym. Czekałam na ten moment od bardzo dawna. To, co przechodziliśmy jako studenci przez te 5 lat, przekracza wszystkie granice absurdu. Przynajmniej połowa z nas miała depresję, stany lękowe, część szukała pomocy u psychologa i jechała na lekach. Jako absolwentka chciałabym uchronić przed tym przyszłe pokolenia”.

Załączyła wpisy do ankiety, przeprowadzanej wśród studentów. „Depresję ma tu chyba każdy – pisze jeden z nich. – Atmosfera jest tragiczna, wszyscy chodzimy jak struci, nie mamy życia, nic nas nie cieszy. Czuję się jak w jakimś obozie pod autorytarnymi dowódcami. Nic nie można powiedzieć, nic zrobić. Tylko wykonywać rozkazy”.

„Na piątym roku przynajmniej 20 osób leczy się u psychologa, duża część z nich przyjmuje antydepresanty – pisze inny. – Tak, jest to spowodowane atmosferą, zastraszaniem, natłokiem nauki, mszczeniem się asystentów poprzez układanie egzaminów na poziomie nie do zdania”.

Atak paniki

Alicja: – To jest takie dręczące uczucie, które nie pozwala się skupić, cieszyć zwykłymi rzeczami. Pojawia się, kiedy spędzam czas z moim chłopakiem, kiedy oglądamy serial albo idziemy na spacer. Ukłucie w środku przypomina, że nie powinienem robić tego, co robię. Że na to nie zasługuję, że marnuję czas.

Jak mówi, przez pięć lat nie było nawet sekundy, w której mogłaby się po prostu nudzić. Zawsze myślała przy egzaminie, kolokwium, praktykach. Jeśli się nie uczyła, to o nauce i studiach myślała. O tym, co jutro usłyszy od prowadzącego przedmiot albo opiekuna praktyk. – Wszystkie dziewczyny z mojej grupy

korzystały z pomocy psychologa. Część leczyła się farmakologicznie.

Któregoś wieczoru straciła oddech, poczuła ucisk w piersiach, miała wrażenie, że za chwilę umrze. Wydawało jej się, że to zawał. Wezwani ratownicy stwierdzili atak paniki. – Nie jestem panikarą – mówi Alicja. – Wcześniej takie sytuacje mi się nie zdarzały, ale w końcu mój organizm się zbuntował. Dla mnie symbolem atmosfery jest to, że na korytarzach nie ma ławek. Gdybyś jutro tam wszedł, od razu poczułbyś, o czym mówimy.

Wszyscy moi rozmówcy wiedzą, że studia są ciężkie. Ale nie zgadzają się na to, by droga do zaliczenia była usłana wyłącznie przeszkodami.

Leczenie na punkty

Studenci muszą zaliczyć ćwiczenia, podczas których przyjmują pacjentów. Każdemu wykonanemu zabiegowi odpowiada liczba punktów. Zaliczenie zależy od tego, czy student wyrobi normę. Jeśli nie – powtarza rok. O pacjentów jest trudno, bo tak jak w każdej innej przychodni, muszą za leczenie zębów płacić. Nieco mniej niż prywatnie, ale jednak.

Alicja: – Jak to wyglądało? Na jednej sali było 15 stanowisk, a na środku higienistki, które ewidentnie nas nie lubiły. Każdy miał podczas ćwiczeń oddzielnego pacjenta. Kompletny chaos. Ze strony higienistek ciągłe pretensje i pytania: „Dlaczego odchodzisz, gdzie idziesz, co robisz, czas się kończy!”. Nie daj Boże, żeby zrobić błąd, urwać za duży kawałek nici dentystrycznej. Wszystkiego słuchali pacjenci. Na szczęście zwykle byli po mojej stronie.

Pewne zabiegi opłacało się robić bardziej niż inne. Alicja słyszała o przypadkach, że pacjent mógł być leczony biologicznie, czyli jeszcze nie kanałowo, ale studenci proponowali leczenie kanałowe, wyżej punktowane. – Czasem nawet asystenci sugerowali, żeby „wiercić

się omsknęło” i żeby jednak leczyć kanałowo – mówi Alicja. Zdarzało jej się odsyłać pacjentów z mniej poważnymi problemami i szukać tych, którzy wymagali zabiegów wartych więcej punktów.

Pacjentów do leczenia w trakcie ćwiczeń studenci musieli szukać samodzielnie. A jednocześnie swoich usług nie mogli ogłaszać, co ułatwiłoby im zaliczenie. Wieści o zabiegach wykonywanych na uczelnianej klinice rozchodziły się więc pocztą pantoflową. Jeśli ktoś się zlitował i postanowił wyleczyć dziurę w zębie, jednocześnie pomógł koledze zaliczyć ważny przedmiot.

Walka o życie

Beata na studia szła z pozytywnym nastawieniem. Nie oczekiwała, że wszyscy będą na studentów chuchać i dmuchać. – Problem zaczął się na trzecim roku. Zaraz po ćwiczeniach na fantomach przeszliśmy do zajęć z pacjentami – opowiada. – Na zajęciach ze stomatologii zachowawczej było podejsicie w stylu „macie już wszystko umieć”. Jednak nie wszystko, co było w podręczniku, pokrywa się z konkretnym przypadkiem pacjenta. To była końcówka roku, każdy walczył o punkty, żeby zaliczyć. Trafiłam na prowadzącą, która, jeśli ją o coś zapytałam, uznawała, że za wykonane zadanie nie dostanę punktów. Odejmowała mi punkty za to, że potrzebowałam pomocy.

Na koniec semestru Beacie brakowało niewiele do zaliczenia. Musiała założyć pacjentowi „formówkę”, czyli narzędzie, które pozwala odbudować ścianę zęba. Ale nie potrafiła. – Asystentka zagroziła, że jeśli tego nie zrobię, będę powtarzać rok – opowiada Beata. – To były zwykłe ćwiczenia, a wyglądały jak walka o życie. Nie mogliśmy poprosić o pomoc, wytłumaczenie, bo od tego mogła zależeć cała nasza przyszłość, repeta, rok w plecy.

Beata walczyła z formówką do końca ćwiczeń, ręce drżały, trudno złapać oddech, spokojnie pomyśleć. W końcu pacjent wyszedł z nieskończonym zębem, Beata z niezaliczonymi ćwiczeniami. To wtedy postanowiła przenieść się na studia do innego miasta. – Tu, gdzie studiuję, nie musimy szukać pacjentów. Sami się do nas umawiają – mówi. – Oprócz tego normy są ludzkie, jest większa elastyczność, pacjent może zrezygnować, wtedy każda sytuacja jest rozpatrywana indywidualnie. Nigdy nie usłyszałam, że jestem „żałosna”, bo czegoś nie wiem.



VEGOR ALEEV / TASS / GETTY IMAGES

Beata pamięta, że wstawanie z bólem brzucha uważała w końcu za normalne, przecież wszyscy się czymś stresują. Wracła do domu i na nic nie miała ochoty. Zawsze miała wysoką samoocenę – w czasie studiów w Szczecinie słyszała wyłącznie, że się „nie nadaje”, „nie myśli”, „nie rozumie”. W końcu sama przyjęła to za pewnik. – Podczas jednego z egzaminów ustnych wypowiedziałam formułkę niemal słowo w słowo z podręcznika. Pani profesor uznała, że odpowiedziałam źle. Więc wyciągnęłam tę książkę i pokazałam formułkę palcem. Ona na to: „Nie odpowiadam za błędy w książkach” – mówi Beata.

Informację o dostaniu się na inną uczelnię odebrała w piątek, w poniedziałek zaczynały się zajęcia. Mogła zrezygnować, pomyśleć, że jeszcze dwa lata i jakoś

to będzie. Ale wyciągnęła walizkę, spakowała się i ruszyła w drogę. – Nie żałuję – mówi. – Nie wiem, gdzie byłabym dzisiaj, gdybym wtedy została w Szczecinie.

Dlaczego nie pytasz

– Koleżance brakowało jednego wykonanego zabiegu do zaliczenia stomatologii dziecięcej – opowiada Ewa, absolwentka stomatologii. – To była jej ostatnia szansa. Okazało się, że umówiona wcześniej pacjentka się nie pojawi. Oznaczało to tzw. repete, której bali się wszyscy. Nadal nie rozumiem, dlaczego zaliczenie przedmiotu często nie zależało od nas, ale od losowej sytuacji, od przypadku? Koleżanka powiedziała asystentce o całej sytuacji. Zapytała, czy może zrobić zabieg na fantomie, bo nie może stracić roku przez coś ta-

kiego. Usłyszała: „Was wystarczy wytresować i sobie poradzicie”.

Ewie repeta nie groziła. Za to na drugim roku musiała zaliczyć przedmiot, który zaczynał się od tego, że cała grupa wchodziła do sali, a prowadząca ogłaszała: „Ewa, napiszesz wejściówkę” [kartkówkę sprawdzającą informacje z poprzednich zajęć – red.]. Jeśli napisała dobrze, słyszała: „No to cię jeszcze dopytam”. Dlaczego? Bo raz przyszła nieprzygotowana, a prowadząca zapamiętała twarz i nazwisko.

Na koniec semestru był test. Dostała pytanie jednokrotnego wyboru: „Co jest najlepszym i najpowszechniejszym materiałem używanym w leczeniu biologicznym?”. – Ale powszechność materiału nie oznacza, że jest on najlepszy – mówi Ewa. – Zgłosiłam to prowadzącej. Odpowiedziała: „Musicie strzelać”. Strzeliłam, wybrałam źle. Innym razem dostałam otwarte pytania, na które odpowiadałam na cztery strony. Odebrałam wejściówkę i zobaczyłam, że w moich odpowiedziach podkreślono jedno słowo. Tylko ono zażyło na tym, że dostałam dwóję.

Ewa mówi, że wielu rzeczy, które musiała wkuć, nie zdołała dobrze zrozumieć. – O to, czego nie rozumiałam, wołałam nie pytać. Bo wiedziałam, że wtedy sama zaczęłabym być wypytwana z wiedzy i mogłabym dostać dwóję. Na niektórych ćwiczeniach wołałam nie istnieć – mówi. – Nie powiem, czasami zdarzał się asystent, który tłumaczył, pokazywał. Ale często po prostu zakuwałam, pierwsze przebrnięcie przez materiał to była masakra. Prowadzący wymagali, żebyśmy nauczyli się materiału, przychodziliśmy, pisaliśmy wejściówkę. Zanim nie spróbowałam tego wykonać, nie wiedziałam, czym tak naprawdę jest leczenie kanałowe. Musiałam to rozkminiać sama.

W trakcie studiów Ewa wyjechała na praktyki za granicę. Wtedy, jak mówi, jej świat stanął do góry nogami. Przełożony zapytał: „Dlaczego ty mnie o nic nie pytasz?”. Odpowiedziała: „Bo u nas nie wolno”. – Przez pół roku po wyjeździe miałam taką traumę, że nie potrafiłam poruszyć tematu uczelni – mówi. – Starałam się być ponad tym wszystkim, być pozytywnie nastawiona. Ale kiedy wróciłam na wydział, złe emocje też wróciły.

Władze mają świadomość

Ankiety z krytycznymi głosami studentów trafiały do władz wydziału. Podobnie jak relacje przekazywane przez starostów →

→ danych roczników. Władze wydziału pamiętają też skargę studentów piątego roku. Prowadzący ich przedmiot zdecydował, że w drugim semestrze do zaliczenia będzie 10 wejściówek. Mimo że w regulaminie przedmiotu, który podpisywał każdy student, o takich testach nie było mowy.

Prof. Mariusz Lipski, prodziekan wydziału, mówi w rozmowie telefonicznej, że funkcję sprawuje od października i sprawę dopiero poznaje. Na moje pytania woli odpowiedzieć mailowo.

Zmiany w regulaminie zaliczenia stomatologii zachowawczej? „Regulamin dla przedmiotu bardzo precyzyjnie określa sprawę zaliczeń semestralnych, opis egzaminu końcowego i minimum zabiegów klinicznych przewidzianych dla danego semestru, a także konsekwencje niezaliczenia powyższego. Nie ma konieczności szczegółowo określać metod sprawdzania tej wiedzy. Czasami łatwiej ją sprawdzić podczas bezpośredniej rozmowy ze studentem, czasami za pomocą sprawdzianu pisemnego. Zdarzył się incydentalny przypadek, iż w wymienionym zakładzie podejmowano próbę zastosowania formy zaliczenia niezgodnej z zapisem w regulaminie, jednak po interwencji studentów i władz wydziału ostatecznie tego nie uczyniono”.

Normy do wyrobienia podczas ćwiczeń? „Władze wydziału mają świadomość, że normy te wymagają czasem sporego praktycznego zaangażowania studenta, ale dzięki temu jest on bardzo dobrze przygotowany praktycznie (tak twierdzą również sami studenci). Władze uczelni mają świadomość, że pozyskanie pacjenta, który zgodzi się na wizytę z udziałem studenta, nie jest łatwe i cały czas szukają optymalnego rozwiązania, aby ten etap kształcenia przebiegał bezproblemowo”.

Opryskliwe odzywki wobec studentów? „W ubiegłym roku akademickim wpłynęła jedna, bardzo ogólna skarga. W osobistej rozmowie z władzami dziekańskimi student nie chciał podać szczegółów sytuacji. W takim przypadku nie było możliwe bezpośrednie wyjaśnienie tej sytuacji, jednak temat był poruszony podczas spotkania Wydziałowego zespołu ds. zapewnienia jakości kształcenia oraz indywidualnie podczas spotkań dziekanów z kierownikami i asystentami w takim stopniu, w jakim pozwalały informacje uzyskane od studenta”.

Skąd taka atmosfera? Czy chodzi o to, że kilkaset osób kończących studia będzie za chwilę **konkurencją dla wykładowców?**

„Dzielenie się” pacjentami, żeby wyrobić normy na ćwiczeniach? „Nie zgłaszano takich sytuacji. Choć mogły się zdarzać i nie widzimy w tym nic niepokojącego”.

Studenci korzystający z pomocy psychiatrów? „Są to sporadyczne przypadki, a informacje zbyt osobiste i wrażliwe, aby je opisywać. Z bezpośrednich rozmów z tymi studentami wynikało jednak, że główną przyczyną ich problemów były sprawy rodzinne/osobiste, a nie konkretne sytuacje na uczelni. Niestety przy obecnym tempie życia wszelkiego rodzaju zaburzenia depresyjne coraz częściej zdarzają się już u dzieci i młodzieży”.

Dla pieniędzy

Z ankiet, na które powołuje się również prof. Lipski, wynika inny obraz. Studenci wszystkie nieobecności muszą odrabiać, również te, jak piszą, spowodowane chorobą i potwierdzone zaświadczeniem lekarskim. Miało dochodzić do tego, że na zajęcia przychodzili z grypą lub anginą. Także na pediatrii czy chirurgii onkologicznej, gdzie łatwo zarazić pacjentów.

Kolejny problem: przestarzały system nauczania. „Profesor [nazwisko] nie widzi nic innego poza amalgamatem – pisze student. – Przez to co roku były cyrki z wkładaniem rodzinie amalgamatu w przednie zęby”.

Wykłady to według ankietowanych prezentacje przepisane z książek na 120 slajdów. Podręczniki? Wydane 60 lat temu. „Macie umieć wszystko” – to odpowiedź na każdą skargę. „Wszystko” to wiedza z ośmiu różnych książek, przyswojona w całości.

Ćwiczenia na sali operacyjnej, gdzie zabieg obserwuje 12 studentów naraz („Jedyne, co tam widziałem, to stopy pacjenta”). Kolokwia o 7 rano, bo w ciągu dnia nie ma czasu. Student opisuje, że przez 2 lata ćwiczeń przyjął pacjenta kilka razy: „Na reszcie zajęć każą nam się

zamknąć w boksach i być cicho. Czuje się przez to jak w podstawówce”. „Jakby chcieli nas ukarać za to, że wybraliśmy sobie taki kierunek, na pewno dlatego, żeby więcej zarabiać, bo jesteśmy cwani”.

– Jasne, zdarzały się przypadki ludzi, którzy przyszli na te studia, bo wiedzieli, że w przyszłości będą mieli dobrą płatną pracę. Ale to wyjątki. I to nie powód, żeby wszystkim rzucać kłody pod nogi – mówi Alicja. – Ja do tego zawodu szłam z powołania. Myślę, że stomatologia wymaga nie tylko wiedzy i umiejętności, ale też empatii, inteligencji emocjonalnej, zrozumienia dla pacjenta.

Marta: – Byłam na innych studiach, ale tam miałam niedosyt: żeby zdać, nie trzeba było się uczyć. Wszystko przechodziło za łatwo. Byłam ambitna, pomyślałam, że spróbuję, bo jeśli nie, to będę żałować. Dlatego wybrałam stomatologię.

Kiedys staniesz na nogi

Alicja: – W gronie znajomych zaczęliśmy się zastanawiać, dlaczego akurat na naszym wydziale jest taka atmosfera. Czy jest dlatego, że dla wykładowców, praktykujących stomatologów kilkaset osób kończących studia stanowi konkurencję? W Szczecinie gabinetów stomatologicznych jest rzeczywiście bardzo dużo. Dlaczego nasi koledzy, którzy przenoszą się na uniwersytety do innych miast, mówią, że tak źle jest tylko w Szczecinie?

Absolwenci porównują swoje doświadczenia do wojskowej „fali”. – Asystenci stosują wobec studentów te same mechanizmy, które sami kiedyś przeżyli. Jakby chcieli się na nas odplącić za własne złe doświadczenia – mówią.

Alicja opowiada, że uczy się normalnego życia od nowa. Już wie, że może sobie pozwolić na dbanie o siebie i związek, już nie musi się bać następnego dnia. Coraz rzadziej po przebudzeniu czuje ściśnięty żołądek, coraz częściej spokojnie zasypia. Poszła na staż do prywatnego gabinetu. Na początku usłyszała od jego właścicielki: „Wiem, jak wyglądają studia na tym wydziale. Kiedyś staniesz na nogi, ale przygotuj się: trochę to potrwa”.

Pierwszy sukces za nią. Po raz pierwszy od bardzo dawna wybrała się do kina i obejrzała film bez poczucia winy. © MARIUSZ SEPIOŁO

Imiona rozmówców zostały zmienione.

Nie czuję się przegrany

SŁAWOMIR BRONIARZ, PREZES ZNP:

Ten protest to wybór między domaganiem się przestrzegania swoich praw a płacem, że dyrektor znowu kazał przygotować szkolną uroczystość.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:

Czy protest w oświacie już się rozpoczął?

SŁAWOMIR BRONIARZ: Rozumiem ironię, ale uspokoję pana. Nie tylko się rozpoczął, ale jest moim zdaniem początkiem czegoś bardzo ważnego.

Czego?

Chcemy sami siebie i innych nauczyć czegoś, co jest w Polsce, a zwłaszcza w oświacie lekceważone: przestrzegania prawa. Chociażby tego, że nauczyciel ma 40-godzinny czas pracy. Bo zdarza się, że spędza w szkole nawet 70 godzin, np. przygotowując uroczystość szkolną, a dyrektor uznał, że to normalne.

Nauczyciele, którzy przystąpili do protestu, wykonują wyłącznie te czynności, do których są zobowiązani. Chcemy wszystkim pedagogom powiedzieć: pewnych rzeczy robić nie musicie, a jeśli je wykonujecie, należy się wam dodatkowe wynagrodzenie!

Jakie to czynności?

Tu przechodzimy do drugiego wymiaru protestu. Chcemy uświadomić osobom odpowiedzialnym za zarządzanie oświatą – od dyrektora, przez wójta, po ministra – że nauczyciel to nie jest pochyłe drzewo, na które może wejść każda koza. Że nie można traktować bibliotekarki czy pedagoga jak zapchajdziury, która w sytuacji kryzysowej – np. choroby nauczyciela – weźmie każde zastępstwo, nie upominając się o zapłatę. Nie chodzi więc tylko o eksponowane w mediach szkolne wycieczki, choć i ich or-

ganizacja stanowi często pogwałcenie prawa pracy.

Krytyka tego protestu to nie krytyka idei, o których Pan opowiada. Chodzi o skuteczność: to jest na razie protest-widmo.

Przypomnę, że ta forma protestu wynika z ankiet, jakie przeprowadziliśmy wśród ponad 227 tys. nauczycieli. Większość opowiedziała się właśnie za strajkiem włoskim.

A co do siły oddziaływania, nie prowadzimy statystyk, bo też ta akurat akcja nie jest sformalizowana. Nie ma flag, nikt nie nosi plaketek: „strajkuję”. To protest, ale i proces. Proces uświadamiania ludzi, że np. szkoła – jak powiedziała mi nauczycielka z Jędrzejowa, której praca polegała w dużej mierze na organizacji wycieczek i zielonych szkół – to placówka edukacyjna, a nie biuro podróży.

Może Pan podać przykłady miast i szkół, które włączyły się do protestu?

Bilanse będziemy robić w przyszłym roku. Na tym etapie nie podajemy takich informacji. Nie chcą tego sami nauczyciele, bojąc się, że – po raz kolejny – staną się ofiarami hejtu.

„Akcja bezobjawowa” – mówił nie bez satysfakcji minister Pionkowski.

Każdy ma prawo do swojej opinii. Rozmawiając z okręgowymi prezesami ZNP – z Małopolski, Śląska, Pomorza – odniosłem inne wrażenie. Wszyscy powtarzają, że ten protest już zaczyna skutkować, np.

na radach pedagogicznych odbywają się dyskusje na temat szkolnych statutów i prawa pracy.

W Gdańsku zastępca prezydenta Piotr Kowalczyk mówił lokalnej „Gazecie Wyborczej”: „Nie mamy sygnałów o proteście”. Z Krakowa mam podobne informacje: do magistratu dotarły tylko pojedyncze przypadki odwoływania wyjazdów. Niektórzy nauczyciele protestują, ale nie słychać o tym w mediach. Inni albo o akcji niewiele wiedzą, albo nie chcą brać w niej udziału. Niektórzy strajkowali w kwietniu, ale poczuli się zdradzeni zawieszeniem akcji. A obecną formę protestu uważają – jak cytowany przez „GW” nauczyciel z Wybrzeża – za akcję narażającą ZNP i nauczycieli na śmieszność.

Powtarzam: każdy ma prawo do własnych opinii, ale na taką formę protestu wskazali ankietowani. Dodam tylko, gwoli ścisłości: decyzja o zawieszeniu strajku w kwietniu nie była jednoosobowa. Podjęło ją prezydium Zarządu Głównego.

I jeszcze jedno: wielu z tych, którzy mówią dziś, że byli gotowi protestować do samego końca, równocześnie narzeka, że nie otrzymali rekompensat za utracone wynagrodzenie.

Dziwi Pana ta frustracja?

Nie dziwi, ale w przypadku strajku „do skutku” trzeba pogodzić się też z konsekwencjami.



ANDRZEJ HULINKA / FORUM

Sławomir Broniarz na demonstracji poparcia dla nauczycieli, Warszawa, kwiecień 2019 r.

⇒ To Wy obiecywaliście fundusz na rzecz rekompensat.

Obiecywaliśmy, i jest on wykorzystywany – zostało do rozdysponowania ok. 4 mln zł. Ale od początku inicjatorzy funduszu mówili, że to pieniądze dla tych, którzy nie są członkami ZNP. My ze swoich środków pomagamy naszym członkom. Ale żaden związek nie jest w stanie pokryć strat 600 tys. strajkujących przez wiele dni.

A wracając do obecnej akcji, to wybór między domaganiem się przestrzegania swoich praw a płacem w sobotę w pokoju nauczycielskim, bo dyrektor znowu kazał przygotować szkolną uroczystość.

Choć dodam: nie dziwimy się nauczycielom, którzy wolą nie protestować. Warto zdać sobie sprawę z różnicy między sytuacją wtapiającego się w tłum nauczyciela z miasta a np. pedagogiem wiejskim. Funkcjonuje on niejednokrotnie w otoczeniu społecznym i politycznym, w którym decyzja o proteście byłaby od wagą graniczącą z heroizmem. Po kwietniowym strajku miałem informacje z Lubelszczyzny, że kilku proboszczów... modliło się za mnie podczas mszy.

Na pewno się Pan ucieszył.

Pewnie bym się ucieszył, gdyby nie kontekst: jeden z nich modlił się, bym zmądrzał. Wczujmy się teraz w nauczyciela, który funkcjonuje w podobnym otoczeniu...

Nawiasem mówiąc, proszę tego źle nie odebrać, ale najbardziej rozczarowani brakiem powtórek z kwietnia wydają się być dziennikarze.

Ależ to Pan kilka miesięcy temu grzmiał, że nauczyciele powinni „ładować akumulatory” na jesień. „Panie Premierze Morawiecki,

dajemy Panu czas do września” – to też cytat z Pana. Zapowiadał Pan również strajk solidarnościowy.

Powtórzę, ZNP nie działa na podstawie jednoosobowych decyzji. A co do wspólnej akcji, choćby z lekarzami rezydentami, to odpowiem krótko: do tanga trzeba dwojga. Rozmawialiśmy z przedstawicielami tych grup. Mieli inne spojrzenie na protest.

Czuje się Pan zlekceważony przez ugrupowania opozycyjne, które uważano za Waszych sojuszników? W kampanii o edukacji była cisza.

Niestety, podzielał pana pogląd. Edukacja została podczas tej kampanii zmarginalizowana. Choć z tymi „sojusznikami” to bym nie przesadzał – związek ma wieczne interesy, a sojuszników tylko miewa. Ja zresztą byłem podczas strajku obrzucany błotem, że chodzę „na pasku Schetyny”, co było nieprawdą.

Ale tak, czułem się zawiedziony. I to wcale nie najbardziej postawą partii – bardziej samorządowców, którzy w czasie strajku pozytywnie odnosili się do postulatów nauczycieli, a gdy przyszło co do czego, zmieniali zdanie. W Olsztynie przy kilkunastu kamerach padały stwierdzenia w rodzaju: „Nie damy wam zrobić krzywdy”. A potem słyszeliśmy: „Przepraszamy, nie ma pieniędzy”.

Czuje się Pan przegrany?

Nie, kwietniowy strajk był wydarzeniem bez precedensu. Prof. Jacek Raciborski mówił o sukcesie nauczycieli i o niepowtarzalnym wydarzeniu: emocjonalnym, politycznym, socjologicznym. Owszem, ludzie wyszli ze strajku z różnymi bagażami, ale nie sądzę, by większość upatrywała źródeł takiego zakończenia w osobie lidera.

Lider jest nie tylko od słuchania. Może też wpływać na opinie, porywać tłum.

To prawda, ale nie czuję, bym poniósł porażkę. Nie słyszę gremialnego okrzyku: „Mamy Broniarza dość!”. Gdybym słyszał, musiałbym odejść.

Pan tymczasem zamierza zostać prezesem na kolejną kadencję.

Kandydaci będą zgłaszani na zjeździe, 21 listopada. Jeśli zostanę zgłoszony, wystartuję. Nie jest też tak, że we władzach Związku nic się nie zmienia: wymieniono w ostatnim czasie ok. 30 proc. związkowców, i to wśród prezesów zakładowych, czyli tych najważniejszych.

Tyle że strajk został wtedy poparty. A teraz nauczyciele wypowiedzieli się przeciw radykalnym formom protestu. Przecież we wrześniowej ankiecie „Co dalej z protestem?” wzięło udział ponad 220 tys. nauczycieli. Zarząd musiał te opinie uszanować.

Założmy, że gdy ten numer „TP” trafi do Czytelników, będzie Pan nowym-starym prezesem ZNP. Co dalej?

Po dramatycznych przeżyciach z kwietnia trzeba ochłonić, by znów zdecydować się na radykalny krok. Dlatego obecny protest ma inną logikę: jest mniej spektakularny, za to będzie długofalowy. Robimy swoje, stawiamy na pracę u podstaw. Mamy rozbudowany program „Szkoly na szóstkę”, o który chcemy powalczyć razem z rodzicami.

Dla mnie jakimś punktem odniesienia jest coś, co powiedział mi jeden z dziennikarzy pamiętający czasy PRL-u. Patrzy na to, co się dzieje z protestem nauczycieli jak na ewolucję od 1980 do 1989 r. – oczywiście przy zachowaniu wszelkich proporcji.

Karkołomna analogia, nawet „przy zachowaniu wszelkich proporcji”.

Analogia nie moja, ale coś jest na rzeczy. Zmiana jest procesem rozłożonym w czasie.

Jeśli dziś mówimy, że brakuje pieniędzy nawet na wypłaty, a średnia wieku nauczyciela ociera się o 50 lat, przy niewielkiej liczbie osób przychodzących do zawodu, to taka sytuacja na dłuższą metę jest nie do utrzymania. Przesilenie dojrzewa, nawet jeśli na razie mało kto je dostrzega.

© P Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Sąd Rejonowy w Cieszyźnie, Wydział I Cywilny, prowadzi postępowanie o sygn. akt I Ns 361/19 z wniosku Jolanty Kisza-Szyszkowskiej z udziałem Stanisława Leśniaka, Janiny Kisza-Żebrok i Heleny Szczyrby o stwierdzenie nabycia spadku po Wandzie Horak, córce Franciszka i Jadwigi, zmarłej 23.11.2018 r. w Cieszyźnie, ostatnio stale zamieszkałej w Cieszyźnie. Spadkodawczyni była bezdzietna i nie miała rodzeństwa, jej rodzice zmarli przed nią. W związku z tym Sąd poszukuje spadkobierców rodziców Jadwigi Horak z domu Langer. W skład spadku wchodzi środki na rachunku bankowym w nieznanej kwocie oraz wkład na książeczkę mieszkaniową w nieznanej wysokości.

Sąd wzywa spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ANNA

Dziewit-Meller: Kobieta w pewnym wieku



KULTURA POPULARNA, JAK NATURA, NIE znosi próżni i musi co rusz „odkrywać” dla siebie kolejne nośne tematy, które pozwolą pożywić się przemysłowi filmowemu, mediom i modzie.

Nie tak dawno przecież macherzy z Hollywood odkryli na przykład istnienie dziewcząt, które – jako uniwersalne ludzkie podmioty – mogą być, dajmy na to, ważnymi bohaterkami filmów dla dzieci. Co więcej, wbrew licznym wcześniejszym ich przedstawieniom, nie muszą wcale tkwić martwe w szklanych trumnach albo zamknięte w wysokich wieżach oczekiwać przybycia sprawczych księżąt na białych koniach, lecz mogą trzymać los we własnych rękach.

Kiedy w związku z tym odkryciem pojawiły się na scenie Merida Waleczna, Jesse z „Toy Story”, Fiona ze „Shreka”, Hermiona Granger czy Mulan, okazało się, że ryzyko się opłaciło. Koszulki z Meridą i piórniczki z Hermioną też mogą się dobrze sprzedawać. Bycie dzielną dziewczynką jest więc w popkulturze fajne, zwłaszcza odkąd można je opakować i sprzedać. Ale rynek jest głodny! Może warto podjąć kolejne ryzyko?

Wygląda więc na to, o czym piszą Wendi Aarons i KJ Dell’Antonio w swoim zabawnym tekście opublikowanym niedawno w „New Yorkerze”, że oto nadchodzi nowa fala odkryć: popkultura nieśmiało zauważała w końcu istnienie „kobiet w średnim wieku” i jeśli trend ów się utrzyma, będzie to przewrót zaiste kopernikański.

Autorki prześmiewczego tekstu (tytuł nawiązuje do piosenki Neila Diamonda, „Girl You’ll Be a Woman Soon” i brzmi „Girl, you’re a middle-aged woman now”) dają twórcom kilka podpowiedzi, jak pokazywać bołaczki „kobiet w pewnym wieku”, korzystając z istniejących już tropów filmowych i literackich. I tak na przykład w miejsce bestsellerowej „Kobiety w oknie”, kryminału, który rozszedł się po świecie w milionach kopii, autorki mówią o „Kobiecie w średnim wieku w oknie”, czyli historii 50-latkę podróżującej pociągiem do pracy, widującej regularnie na swej trasie migdalącą się parę zakochanych. Gdy jej kąśliwe skargi na ów duet składane konduktorowi nie przynoszą skutku, kobieta szykuje sobie transparent „Hej, to nie będzie trwało wiecznie!” i z satysfakcją wyjmuje go zza pazuchy, zawsze gdy mija gruchające miłośnie gołąbeczki.

Aarons i Dell’Antonio proponują znacznie więcej takich rozwiązań dla poszukujących inspiracji scenarzystów i pisarzy, pomyślałam więc, że może i w Polsce można by pokusić się o podobne wsparcie dla lokalnej popkultury. I tak obok

„Testosteronu”, rozrywkowej opowieści o trzydziestoletnich facetach i ich sympatycznych rozterkach, można by zaproponować na przykład film „Progesteron”, o kobietach po pięćdziesiątce próbujących przetrwać w świecie, w którym osoba z menopauzą funkcjonuje trochę na zasadach starej oszalałej wiedzmy, trochę na zasadzie produktu z kończącą się datą ważności, trochę na zasadzie wdrożenia do roli darmowej opiekunki swoich starych rodziców. Bogactwo motywów do opracowania! Żal nie wziąć na warsztat!

A na przykład taki „Spis cudzołożnic w średnim wieku”? To kolejna naprawdę ciekawa propozycja do przemyślenia – bohaterka tej powieści podróżnej krąży po Krakowie i wśród oparów papierosowego dymu i aromatu koniaczku opowiada spragnionym pikantnych szczegółów czytelnikom o swoich podbojach miłosnych, o zdobywaniu mężczyźni nie mogących się oprzeć jej dojrzałej seksualności, zwłaszcza tych młodych, skuszonych jej doświadczeniem i osiągnięciami chłopców, co to potrzebują przewodniczki po skomplikowanym świecie. Samograj! Bierście i piszcie!

A może obok bestsellerowej nad Wisłą „Serotoniny”, czyli historii o problemach z libido doświadczanych przez znużonego a sytego Francuza po pięćdziesiątce, warto byłoby opracować na przykład powieść „Estradiol”? Rzecz o kobiecie w tym samym wieku, której spada estradiol i która trafia prosto w młyn polskiej służby zdrowia? Albo o takiej, która odesłana została przez lekarza z SOR, bowiem jej objawy ataku serca były inne niż te u mężczyzny, czyli nieswoiste z punktu widzenia medyka nauczony jedynie męskich objawów zawału? Po prostu widzę tę scenę, gdy kobieta słyszy: „Proszę przestać histeryzować, nic pani nie jest”. Taka scena na prawdę sama się pisze!

Możliwe, że okaże się – jak w przypadku odkrycia „figury sprawczej dziewczyny” – że na świecie, także wśród odbiorców kultury, istnieją tacy, którym opowieść o kobiecie w średnim wieku może coś przypominać. Chociażby własne życie. Możliwe nawet, że historia wkraczającej w wiek średni istoty ludzkiej płci żeńskiej okaże się jakoś uniwersalna. Może – wbrew tekstom kultury – tacy ludzie też gdzieś tam w świecie istnieją? Oczywiście zarówno amerykańskie autorki z „New Yorkera”, jak i ja zdajemy sobie sprawę z ryzyka podejmowania niepopularnych tematów. Ale skoro udało się wytworzyć modę na jedzenie wolne od glutenu, może popkultura znajdzie też sposób na opowieść o „kobietach w pewnym wieku”? ©

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 1191/18, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Feliksie Wieczorek, zmarłym dnia 13 stycznia 2018 roku w Warszawie, ostatnio stale zamieszkałym w Kazimierowie.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE

KOŚCIOŁA, W KTÓRYM DORASTAŁEM, JUŻ NIE MA

O. JÓZEF PUCIŁOWSKI OP, HISTORYK:

Dawniej księża znali wszystkie odpowiedzi.
Dzisiaj mogliby czasem powiedzieć: nie wiem, sam poszukaj!

ARTUR SPORNIAK: Jakie Ojciec ma wrażenia po Marszu Niepodległości?

O. JÓZEF PUCIŁOWSKI OP: Nie lubię takich imprez. Wcale nie odzwierciedlają patriotyzmu, tylko jakąś hucpę. Przede wszystkim marsz ten nie łączy, a dzieli. Godzi w kogoś albo w coś, próbuje ośmieszyć, drwi, poniewiera.

Ale przecież zwołany został pod wzniosłym i bardzo polskim hasłem, będącym cytatem z maryjnej pieśni: „Miej w opiece Naród cały”.

Bardzo dobrze, że Maryja Panna jest Królową Polski. Tym bardziej się cieszę, że jest także Wielką Panią Węgier. Nie zawłaszczajmy jej i nie ograniczajmy tylko do naszego kraju! Hasła tego typu mogą dzielić.

Ponieważ nie zapominam o moim pierwszym chrześcijańskim korzeniu, czyli kalwinizmie, nie lubię utożsamiania polskości z katolicyzmem. A kult maryjny w polskim wykonaniu często jest kultem nacjonalizmu. Oprócz katolików Polakami są protestanci, prawosławni, wyznawcy innych religii. Czy oni są Polakami gorszej kategorii?

I drugie pytanie. Czy chodzi nam o państwo wyznaniowe? Marsz organizowany w święto państwowe z hasłami wziętymi z modlitw o tym by świadczył. Wtedy musimy być konsekwentni i musimy chcieć objąć prawem państwowym także nasze grzechy. Jako ksiądz z takimi dążeniami nie chcę mieć nic wspólnego.

Organizatorzy mówią, że chodzi im o chrześcijańskie wartości, które – jak uważają – tworzą ducha narodu i które powinni podzielać wszyscy Polacy. Katolicyzm jest tak ważna dla naszej historii, że od niej zależy dobro ojczyzny.

Zgadzam się, że katolicyzm, Kościół i religia są ważne w historii Polski. Tylko jeśli się do tego ograniczymy, co zrobimy np. z śp. Leszkiem Kołakowskim, który się w tym religijnym schemacie nie mieści? Co z innymi zasłużonymi dla kultury ateistami? Co z Rejem, który był kalwinem? Co z Żydami, licznie reprezentowanymi w polskiej kulturze?

Plakat zachęcający do wzięcia udziału w Marszu Niepodległości przedstawiał zaciśniętą pięść owiniętą w różaniec jak kastet.

Ktoś będący daleko od Kościoła patrzy na taki plakat i co sobie myśli? Jeśli pójdę, to dostanę w mordę różańcem. Czy o to chodziło organizatorom? Tu widać motywy – wcale nie chodzi o Polskę, tylko o pokazanie, że jesteśmy zdolni do agresji.

Organizatorzy bronią się, że marsz ma charakter pokojowy i że przychodzą na niego całe rodziny z dziećmi.

To dlaczego przyjeżdżają na niego neofaszystowskie ugrupowania z Włoch? I skąd hasła „Biała Polska dla Polaków”, „Tu jest Polska, nie Izrael”? Wzniesiona pięść zawsze jest przeciw komuś. Jeśli po-

jawia się w otocze religijnych symboli, staje się wielkim nadużyciem.

W wypowiedziach organizatorów trudno dostrzec cynizm. Oni tak pojmują religię – jako spoiwo dla Wielkiej Polski.

Gratuluję. To z chrześcijaństwem nie ma nic wspólnego. Chciałoby się im powiedzieć: przeczytaj, człowieku, ↗

O. JÓZEF PUCIŁOWSKI urodził się 27 listopada 1939 r. w Paks na Węgrzech. Jego ojciec był Polakiem, który poślubił węgierską kalwinę. Pomimo katolicyzmu ojca, Józef wychowywany był „na protestanta” i chciał zostać pastorem (imponował mu kuzyn matki – pastor). W 1947 r. Puciłowscy przenieśli się do Jeleniej Góry, gdyż ojcu groziło niebezpieczeństwo (zatrudniony jako tłumacz Armii Czerwonej, za dużo widział). Józef ukończył historię na Uniwersytecie Wrocławskim, a w 1977 r. obronił doktorat. Od lat 70. zaangażowany w działalność opozycyjną, w 1981 r. wstąpił do dominikanów. Na jego śluby wieczyste w 1986 r. przyjechali Tadeusz Mazowiecki, Jacek Kuroń, Bronisław Geremek i Adam Michnik. Miał wówczas 46 lat. W latach 1996–2004 jako wikariusz generalny dominikanów na Węgrzech odbudowywał zakonne struktury. Obecnie mieszka w Krakowie. Stale współpracuje z „TP”.



→ w Katechizmie czy w Ewangelii błogosławieństwa! Zobaczysz, że wiara nie ma z takim marszem nic wspólnego. Jeśli to nie cynizm, to w takim razie niedouczenie.

Fiasko polskiego duszpasterstwa, katechezy?

Jeśli ci młodzi ludzie są związani z Kościołem, przeszli katechezę, chodzą w niedzielę do kościoła i słuchają kazań, to tak, jest to fiasko działalności duszpasterskiej.

Czy w naszym duszpasterstwie nie dominuje odruch wiązania religijności z polskością? 11 listopada w katedrze częstochowskiej abp Wacław Depo m.in. mówił, że „prawdziwego patriotyzmu nie zbudujemy bez wiary w Boga”.

No cóż, biskupom też trzeba przypominać nazwiska. Wymieniam kolejne: Kotarbiński, Szymborska, Barbara Skarga...

Ale też takie wezwanie można było usłyszeć: „Oby w naszej Ojczyźnie już bezpowrotnie zaprzestano rzucać kamieniami w tych, którzy mają inne pomysły na zagospodarowanie przestrzeni wolności” (bp Józef Guzdek w Świątyni Opatrzności Bożej).
Z docenianiem inności wciąż mamy kłopot, dlatego te słowa trafiają w sedno.

Problemem jest to, że podobne wypowiedzi wśród biskupów zdarzają się rzadko, albo są bardzo delikatne. Prymas abp Wojciech Polak, pytany o plakat Marszu Niepodległości, odpowiedział, że to nieporozumienie.

Prymasostwo jako honorowe przewożenie Episkopatowi zobowiązuje. Prymas nie powinien się posługiwać ostrym, dzielącym językiem. Ale sam fakt, iż mówi innym językiem niż wielu biskupów, też ma znaczenie. Nie oczekujemy od członków Episkopatu czegoś, co wykraczałoby poza kanon grzeczności. Oby inni biskupi też delikatnie i mądrze wypowiadali się na temat różnych zjawisk.

Nie brakuje kogoś takiego, jak bp Tadeusz Pieronek, który zwykle mówił, co myśli – także o kolegach?

Trzeba się z takim temperamentem urodzić.

Udawanie pełnej jednomyslności na forum publicznym to dobry pomysł na funkcjonowanie Episkopatu?

W Kościele polskim trzeba otworzyć drzwi.

Pytanie tylko,
kto zdoła to uczynić.

Do pewnych rzeczy się dojrzewa. Ani ja nie jestem biskupem, ani pan.

Prymas, pytany o abp. Sławoja Leszka Głódzia oskarżonego o mobbing wobec księży, odpowiedział: „Porusza mnie świadectwo tych księży”. Sprawa dotyczy gorszej sytuacji, a reakcji przedstawicieli Kościoła jest jak na lekarstwo.

W Kościele polskim – mówiąc symbolicznie – trzeba otworzyć drzwi. Pytanie, kto zdoła to uczynić. Mój przyjaciel, były rektor KUL, wybitny etyk ks. Andrzej Szostek powiedział mocniej: „Wiem, że księży kierowali do nuncjuszy swoje skargi już wcześniej, i najbardziej niepokoi mnie to, że ani poprzedni nuncjusz, ani obecny im nie odpowiedział”. Czy taka wypowiedź te drzwi otworzy – nie wiem. W każdym razie, poniewieranych przez biskupa księży, którzy to ujawnili, uważam za bohaterów.

Ktoś zauważył, że nikt się nie wstawia za też poniewieranymi w Gdańsku siostrami zakonnymi.

Siostry często są traktowane jak służące – niestety. Widziałem to wiele razy i w Polsce, i na Węgrzech. „Siostro!” – woła ksiądz, i siostra szybciotko biegnie. Zdarza się, że nie mają żadnych praw, chyba że zadba o to ich przełożona. Z moich doświadczeń wynika, że wyjątkiem są karmelitanki.

Gdyż są mniszkami i nie pracują na swoje utrzymanie na parafiach, jak zakonnice z zakonów czynnych...

Chodzi tu też o wykształcenie. Większość dziewczyn wstępujących do zakonów go nie ma. Wychowane zostały w duchu posłuszeństwa księdzu, zakony o ich wykształcenie się nie starają. Co ma zrobić taka dziewczyna po podstawówce – postawić się księdzu i przełożonej?

Co by musiało się stać, żeby taka sytuacja uległa zmianie?

Moim zdaniem najbardziej zależy to od świadomości i determinacji siostr przełożonych.

Materialne utrzymanie wielu zgromadzeń uzależnione jest od pracy w instytucjach kościelnych: w parafiach, kuriach...

Jeśli zakonnica ma wyższe wykształcenie, to pracę znajdzie.

W styczniu ma się ukazać druga część filmu Sekielskich o seksualnym wykorzystywaniu małoletnich w polskim Kościele. „Zabawa w chowanego” będzie pokazywała mechanizmy tuszowania nadużyć.

Czy wywoła trzęsienie ziemi?

Nie sądzę. Głowy są tak otorbione i zacementowane, że będzie to znowu odbierane jako kolejny atak na Kościół.

Znów strategia „na przeczekanie”?

Tak było do tej pory. Dlaczego ma się to zmienić? Dla mnie jest to czas na oczyszczenie się Kościoła. Dobry czas!

Przyznam, że kiedyś mnie oburzały słowa Josepha Ratzingera, jeszcze z lat 60., że Kościół przyszłości będzie Kościołem niewielkich enklaw ludzi wierzących w morzu obojętności. Dziś dostrzegam w tym proroctwie pociechę. Skończy się triumfalizm i materialna zamożność Kościoła. Ale będzie on bardziej wiarygodny, czystszy, bardziej przekonujący. I to ostatecznie wyjdzie mu na dobre.

Jednak księży dziś zaczynają reagować coraz bardziej nerwowo, np. wzywają policję do 13-latk, którzy schował hostię do kieszeni.

Wydaje mi się to dość głupie. Można było poprosić o pomoc proboszcza, porozmawiać z rodzicami, wyjaśnić dziecku... Ale wzywać policję? Czy jak kogoś zdenewrują moje słowa podczas spowiedzi i po opuszczeniu konfesjonuła zrobi mi awanturę w kościele, też mam wzywać policję? Dzisiaj ksiądz musi być świadomy, że jego publiczne zachowanie może być komentowane przez media. Dlatego powinien być odpowiedzialny.

Czy takie inicjatywy świeckich, jak ruch „Odzyskajmy nasz Kościół”, który oprócz tego, że organizuje milczące protesty pod kuriami, inspirować debaty na temat reform – mogą wnieść coś nowego?

Oczywiście, że tak. Przychodzą nowe pokolenia, nowi ludzie, inaczej wychowani, z lepszym wykształceniem, czytający, samodzielnie myślący. Na myśleniu „po staremu” w Kościele się nie skończy. Przyszłość zależy od mądrych aktywnych świeckich, mądrych księży i mądrych biskupów. Tego Kościoła, w którym mnie poświęcono, już nie ma. Jestem tego pewien.

Jego charakterystyczne cechy?

Wszechobecny klerykalizm i wychowywanie przede wszystkim do posłuszeństwa. Jak się czyta starszych ojców, to oni wszystko umieli wytłumaczyć, wszystko starali się obronić. Dla nich nie było nic do podważenia, do zmiany. Zнали wszystkie odpowiedzi.

A przecież nie na wszystko od razu znaleźć można odpowiedź. Czasem trzeba się przyznać: nie wiem! Czasem lepiej poradzić: sam poszukaj! Pomódl się! Poczytaj! Poobserwuj świat! Porozmawiaj z kimś mądrzejszym!

My, dominikanie, mamy ten przywilej, że się nawzajem korygujemy. Jak ktoś powie coś głupiego na kazaniu, inni szybko zwrócą uwagę. To pomaga. Boję się, że księża diecezjalni nie mają takiej zwrotnej reakcji. Że to nie funkcjonuje np. między proboszczem a wikarym.

Może my, świeccy, jesteśmy za mało aktywni, za mało się zastanawiamy, co od nas zależy w Kościele?

Czy za takim myśleniem nie stoi cały czas obrona Kościoła jako mniej czy bardziej zamkniętej instytucji? Cały czas Kościół rozumiany jest jako twierdza, której trzeba bronić: my-Kościół i inni. A nie:

Kościół wśród innych. Kościół powinien być z ludźmi, rozmawiać z nimi, nie wyrażać się, nie pouczać.

Kiedyś na spotkaniu kadry profesorskiej naszego dominikańskiego Kolegium powiedziałem, że powinniśmy uczyć kleryków dialogu z ludźmi. Jeden z ojców zaprotestował: „Jaki dialog? Dziś Kościół trzeba bronić!”. A można przecież bronić przez dialog.

Czy ta nowa świadomość dociera do ludzi – dostrzega to Ojciec?

Oczywiście. Gdy rozmawiam z redaktorami „Tygodnika”, „Więzi” czy „Znaku”, robi się wręcz burzliwie.

Gdy chodzi o polskie sprawy, co Ojcu daje perspektywa pół-Węgra i eks-kalwina?

Wydaje mi się, że na pewne historyczne polskie kwestie mam spojrzenie mniej emocjonalne, mimo że także wychowałem się na Trylogii.

Polskiego Ojciec zaczął się uczyć dopiero jako ośmiolatek.

Tak. Dlatego m.in. patrzyłem na polską rzeczywistość z pewnego dystansu. Z kolei kalwinizm jest mniej czułościowy, dość zimny i racjonalny. Dzięki temu daje odporność na aspekty religijności, które próbują go uwięzić. To mi pomaga.

Mojemu pochodzeniu zawdzięczam więc to, że bardziej spokojnie patrzę na historię Polski i z pewnym dystansem na samą instytucję Kościoła. Do tego dochodzi wykształcenie historyka. Np. kult maryjny jest dla mnie bardzo piękny, ale sama Maryja jest dla mnie przede wszystkim

kim Żydówką z Nazaretu. Reszta określić – Częstochowska, Ostrobramska, Kalwaryjska – to dla mnie nazwy miłości.

A czym jest dla Ojca Pismo Święte?

Oswoiłem się z Biblią, zanim nauczyłem się czytać. Moi dziadkowie posiadali winnicę i z niej żyli. Było to ryzykowne, bo zdarzały się lata z gradobiciem i z kiepskimi plonami. Babcia wtedy wpadała w panikę. A dziadek sięgał po Pismo Święte, które zawsze leżało na jego biurku, otwierał na Księdze Izajasza i czytał. Potem szedł do babci i mówił: „Zobacz! Będzie dobrze!”. Nie wiem, dlaczego utkwilo mi to w pamięci, ale od dziecka Biblia kojarzy mi się z księgą, która daje nadzieję. A dzisiaj jest dla mnie codziennością.

Zapamiętałem też, że w niedzielę po kościele nie wolno było iść na miasto albo nad Dunaj. Trzeba było błogosławieństwo pastora przynieść do domu, i tego wszystkie moje ciotki się trzymały. Jak się przyniosło błogosławieństwo, to potem można było sobie pójść gdziekolwiek.

Czy z perspektywy przeżytych osiemdziesięciu lat jest Ojciec zadowolony z życia?

Tego w rozmowie nie będzie widać, ale się teraz uśmiecham.

A chciałby Ojciec coś zmienić w swoim życiu?

Wiele chciałbym ćwiczyć, żeby zachować lepszą kondycję fizyczną. Najbardziej żałuję, że nie mogę już chodzić po górach. Ale zawsze zostaje Kopiec Piłsudskiego.

© Rozmawiał ARTUR SPORNIK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

CO NAS OCALI: ODDAJEMY GŁOS PLANECIE

TYGODNIK POWSZECHNY

WYDANIE SPECJALNE

halo, tu Ziemia

Możesz zdecydować o losach naszego świata. Przyszłość dzieje się teraz!

Halo, tu Ziemia.

Weź, czytaj, to do Ciebie!

Aż do granic

EDWARD AUGUSTYN

Wyjście „za próg” to konieczność. Bez niego nie można być uczniem Jezusa – mówi Franciszek w najnowszym wywiadzie rzece.

WYWIAD Z PAPIEŻEM TO ZAWSZE WYDARZENIE zasługujące na uwagę. Nie dlatego, że rzadkie czy sensacyjne. Do obecności papieża w mediach zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Sensacją był pierwszy wywiad, którego w październiku 1965 r. Paweł VI udzielił Alberto Cavallariemu z „Corriere della Sera”. Albo rozmowa Vittoria Messori z Janem Pawłem II przed kamerami włoskiej telewizji – po raz pierwszy w historii – w październiku 1993 r. Od papieża z Polski zaczęła się też tradycja konferencji prasowych w samolocie, podczas „lotów papieskich”. Często i umiejętnie ze środków przekazu korzystał Benedykt XVI (w czasie pontyfikatu i po abdykacji).

Ale nawet niewyjątkowa i niespontaniczna, lecz zaaranżowana z ustalonym wcześniej tematem rozmowa jest żywszym i bardziej przystępnym komentarzem następcy św. Piotra do rzeczywistości aniżeli oficjalne przemówienia czy nawet krótkie, codzienne kazania wygłaszane podczas mszy w Domu św. Marty.

Tak jest i z najnowszym wywiadem Franciszka, udzielonym Gianniemu Valente, dziennikarzowi „La Stampy”. Ukazała się przed kilkunastoma dniami w formie niewielkiej książeczki pod tytułem „Bez Niego nic uczynić nie możemy. Jak być misjonarzem w dzisiejszym świecie”.

Niech nas jednak nie zmyli ani druga część tytułu, ani okoliczności przeprowadzenia wywiadu. Tak – dopiero co zakończył się synod amazoński, poruszający problemy jednego z regionów „odwiecznie misyjnych”. Tak – tegoroczny październik ogłoszony został „nadzwyczajnym miesiącem misyjnym, dla uczczenia setnej rocznicy listu apostołskiego „Maximum illud” Benedykta XV. Tak – za miesiąc przypada „złoty jubileusz” kapłaństwa o. Jorgo Bergogli, który – jak sam opowiada – wstąpił do jezuitów ze względu na ich misyjny charyzmat, „cią-

głą wędrówkę do granic”, i marzył o wyjeździe do Japonii.

Misyjność, o której Franciszek rozmawia z Valente, to jednak nie tradycyjnie pojmowane, wręcz kolonialne nawracanie pogan ani wyjazdy do „odwiecznie misyjnych” (czyli egzotycznych, z punktu widzenia Europejczyka) krajów. To raczej najważniejsza cecha współczesnego, posoborowego Kościoła, realizującego otrzymane od Jezusa zadanie (misję): „Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu”.

Jezus nieoswojony

„Kościół misyjny” to synonim „Kościoła wychodzącego”, „Kościoła na peryferiach” – jak lubi mówić Franciszek. To warunek *sine qua non* jego istnienia: „albo Kościół wychodzi do ludzi, albo w ogóle nie jest Kościołem”. Stagnacja, zamknięcie się we własnym świecie, otoczenie murem „wynaturza i niszczy”, sprzeczając Kościół do roli „pobożnego stowarzyszenia, międzynarodowej organizacji etyczno-religijnej”. „To nic złego – zauważa papież. – Ale to nie jest Kościół”.

Wyjście „za próg” to konieczność. Bez niego nie można być uczniem Jezusa. A peryferia są wszędzie: w każdym mieście, dzielnicy, parafii. „Chrzest w zupełności wystarcza, by głosić Ewangelię” – mówi papież. Misjonarzem jest „każda matka i ojciec rodziny, każda wspólnota parafialna”. Każdy ochrzczony.

Kościół misyjny to Kościół wychodzący również poza utarte schematy myślenia i działania. Pora skończyć z mówieniem o depozytariuszu wiary, skarbcu mądrości czy przedstawicielu Jezusa na ziemi. Kościół to nie „impresario” Pana Boga – tłumaczy Franciszek – działający według ustalonych planów czy uchwalonych instrukcji, ale wspólnota, w której można spotkać Boga żywego.

Łatwo ulec pokusie „oswojenia” Jezusa – przestrzega papież. Uznać, że się Go po-

siadło, mówi się i działa w Jego imieniu. „Oswojony” Jezus to idea – piękna, ale nieprawdziwa, bo martwa. Jezus żywy, którego głosi Kościół, potrzebuje nas na świadków, ale działa sam, w każdym człowieku, którego spotka.

„Jak zatem być prawdziwym misjonarzem w dzisiejszym świecie?” – pyta Valente. W odpowiedzi otrzymuje pięć warunków skutecznej ewangelizacji.

Świadeństwo

Papież lubi cytować słowa przypisywane – raczej niesłusznie – św. Franciszkowi z Asyżu, swojemu patronowi: „Głoscie Ewangelię. Jeśli trzeba, nawet słowami”. Ewangelizacja nie polega na przekonywaniu. „Nie musisz mówić, jak wspinały się Chrystus, ani – tym bardziej – ostentacyjnie tego demonstrować. Jeżeli naprawdę Jezus cię zafascynował, inni ludzie zobaczą to bez większego wysiłku”.

Ewangelizując świadectwem życia, unikamy doktrynerstwa i wytykania błędów – zapewnia papież. „Głoszenie Ewangelii nie polega na osaczaniu ludzi z pomocą apologetycznych kazań, ani na gniewnym wykrzyczeniu im w twarz prawd Objawienia. Ani – tym bardziej – ciskaniu w nich doktrynalnymi formułkami niczym kamieniami”. Wielu misjonarzy złożyło najcenniejsze świadectwo, oddając życie za wiarę i za ludzi im powierzonych. „Ich męczeństwo, aż po przelanie krwi, rozświetla męczeństwo, jakiego doznaje każdy z nas, gdy daje świadectwo Chrystusowi w codziennym życiu”.

Obecność

„By pójść za Jezusem i głosić Ewangelię, trzeba przekroczyć samego siebie, wyjść poza swój świat, ale też trzeba »być i pozostać« w miejscu oraz sytuacji, w jakiej stawia nas Pan” – tłumaczy Franciszek. To przestroga przed ucieczką, która nie ma nic wspólnego ani z wyjściem, ani z misją. Choć papież przyznaje, że spotkał kapłanów, którzy – przeżywając kryzys duchowy – „uratowali swoje kapłaństwo, wyjeżdżając do pracy na misję”, to wyraźnie rozróżnia tych, którzy w dalekie kraje poszli za Bogiem i jego powołaniem, oraz tych, dla których wyjazd był ucieczką przed samym sobą lub sposobem na realizację niespokojnych pragnień.

Z tego powodu z rezerwą podchodzi do projektu *fidei donum* (daru wiary), kiedy



STEFANO RELLANDINI / REUTERS / FORUM

Siostry ze zgromadzenia Misjonarek Miłości na Placu św. Piotra, Rzym, wrzesień 2016 r.

to księża z regionów, gdzie jest ich pod dostatkiem, wyjeżdżają na „krótkoterminowe misyjne kontrakty”. Nie wykazuje też zrozumienia dla różnego rodzaju ekspertów czy animatorów – którzy całe życie podróżują po świecie, krzewiąc idee misyjne. Przestrzega, by „misje nie stały się pretekstem do »duchowej turystyki«, ubranej w szaty apostołatu”.

Głoszenie Ewangelii – czy to w dalekich krajach, czy w najbliższym otoczeniu – wymaga cierpliwego kształtowania serc, „niemal ukrycia się w codziennym życiu ludzi, do których zostałem posłany”.

Szacunek

Spokój i cierpliwość to fundament inkulturacji – znalezienia takiej formy głoszenia Dobrej Nowiny, która będzie zrozumiała dla odbiorcy, osadzona w realiach jego życia, kulturze i zwyczajach. „Przekazywanie wiary – mówi Franciszek – nie jest przeszczepem, zakładaniem filii organizacji”. Przypomina słowa swego poprzednika, Jana Pawła II, że „chrześcijaństwo nie ma jednego wzoru kulturowego, ale przyjmuje twarz wielu kultur i wielu ludów”. Różnorodność to bogactwo Kościoła.

Takie podejście wymaga szacunku dla mentalności i kultury ludzi, wśród któ-

rych pracuje misjonarz. Kościół musi wystrzegać się „nowego kolonializmu”, narzucania ludom, które ewangelizuje, własnych zwyczajów – tego wszystkiego, co nie jest istotą Ewangelii, ale kulturową naleciałością, do jakiej przez 2 tysiące lat przywykliśmy i którą uważamy za świętą, niezmienną tradycję.

Religijnym kolonializmem jest także prozelityzm, który nie tylko zaprzecza ekumenizmowi, ale podważa działanie Ducha Świętego, stawiając na pierwszym miejscu własną organizację i wyznanie, a nie spotkanie z żywym Jezusem. „Prozelityzm jest przemocą – mówi papież. – Nawet ten uprawiany w białych rękawiczkach. Nie szanuje wolności człowieka, ani bezinteresowności łaski, dzięki której jeden drugiemu przekazuje wiarę. Także dziś mamy z nim do czynienia – w parafiach, wspólnotach, ruchach, zgromadzeniach zakonnych”.

Wsparcie

Papież zapytany został także o zaangażowanie misyjnego Kościoła w sprawy społeczne. Czy budowa studni, szkół, boisk piłkarskich dla dzieci albo praca w szpitalu nie przesłaniają misjonarzom podstawowego zadania, jakim jest głoszenie Bożego Słowa. „Misyjność ma w sobie

wszystko, co wynika z Ośmiu Błogosławieństw” – odpowiedział Franciszek. Nie ma sprzeczności między ewangelizacją a działalnością społeczną. Dzieła miłosierdzia są także głoszeniem Ewangelii. Oczywiście „Kościół nie jest organizacją państwową” – przyznaje papież, ale różnica leży nie w sposobie działania, tylko w intencji. „Wszystko zależy od miłości, która porusza nasze serca”.

Właściwa intencja jest też pierwszym kryterium korzystania w działalności ewangelizacyjnej ze środków materialnych. Papież przestrzega, by nie popaść w „obsesję pieniądza”, który jest ważnym narzędziem, ale nie wolno „tracić z oczu jego prawdziwej natury”. Zgromadzone fundusze nie otwierają nowych dróg, nie dają życia, nie są remedium na spadek wiary. „Ewangelizacja nie jest płatną agitacją” – mówi papież, cytując słowa bł. Paola Manny, twórcy Papieskiej Unii Misyjnej.

Szaletstwo

Niedostępnym wzorem jest jednak św. Franciszek z Asyżu – „Boży Szaletnik”. Nie zastanawiał się, co będzie jeść, gdzie będzie mieszkać. Zrzucił bogate szaty, włożył żebraczy strój i wędrował przez umbryjskie miasta, wołając: „Bliższe jest Królestwo Boże, nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię”.

Ewangelizacja, ta prawdziwa, jest szaletstwem. Nie da się jej rozpiszać na racjonalne argumenty, skalkulować, poddać kontroli zdrowego rozsądku – mówi papież. Jej powodzenie nie zależy od naszych możliwości, marketingowych pomysłów czy propagandowych technik. Trzeba poddać się Duchowi Świętemu, a to może „przyprawić o zawrót głowy”. Jezus, posyłając uczniów na cały świat, dał im swojego Ducha, aby pobudzał do działania i prowadził do celu. Bez tego natchnienia głoszenie Ewangelii przeradza się w konkwistę i propagandę wiary. „Bez Niego nic uczynić nie możemy”.

© P



Papież Franciszek
„SENZA DI LUI NON POSSIAMO FAR NULLA” (Bez Niego nic uczynić nie możemy), rozmowa z Giannim Valente, Libreria Editrice Vaticana 2019

Kapłanki wczesnego Kościoła

KATARZYNA MARTYNUSKA

Czy w początkach chrześcijaństwa kobiety sprawowały liturgię na równi z mężczyznami i dopiero z czasem zostały odsunięte od ołtarzy? Na to pytanie próbuje odpowiedzieć Ally Kateusz, amerykańska badaczka.

OPOWIEM WAM O TRZECH ARTEFAKTACH, które zaprezentowałam podczas wykładu na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie w lipcu tego [2019] roku. Ich znaczenie odkryłam już po ukazaniu się mojej książki »Mary and Early Christian Women. Hidden Leadership« [Maryja i kobiety wczesnego chrześcijaństwa. Ukryte przywództwo]. Co ciekawe, opisałam przecież wszystkie trzy w tej książce, ale nie byłam jeszcze świadoma, jaki wniosek mogę z tego wyciągnąć. A wnioski są takie: po pierwsze, te zabytki są najstarszymi znanymi przykładami ukazującymi ludzi spełniających funkcje liturgiczne ołtarzu. Po drugie: są jednocześnie tymi, które pokazują przy ołtarzu kobiety. I to w towarzystwie mężczyzn lub bez nich”.

Tak rozpoczęła swoje wystąpienie na dorocznym zjeździe brytyjskiego oddziału Women's Ordination Worldwide (WOW) w Birmingham, 5 października tego roku, doktorka Ally Kateusz – amerykańska badaczka sztuki wczesnochrześcijańskiej. Jej prezentacja nosiła tytuł „Kobiety przy ołtarzu? Dowód”. Brak tu miejsca na wątpliwości, bo Ally Kateusz ich już raczej nie ma.

Ally Kateusz jest akademicką nagrodzoną za swoją pracę naukową kilkoma nagrodami. Wśród nich znajduje się Elisabeth Schüssler Fiorenza New Scholar



Maryja jako biskupka? – mozaika w bazylice na Lateranie

Award dla obiecującej naukowczynie zajmującej się badaniami z zakresu studiów katolicko-feministycznych. Kateusz od kilku lat współpracuje też z Wijnngaards Institute for Catholic Research – brytyjską organizacją prowadzącą badania nad możliwościami wyświęcania kobiet w Kościele katolickim. Jej najnowsza książka została opublikowana w wolnym dostępie na Kindle’a w platformie Amazon, właśnie dzięki wsparciu Wijnngaards Institute.

Odkrycia Ally Kateusz nabierają znaczenia, jeśli przypomnimy, że w 1994 r. Jan Paweł II w liście „Ordinatio sacerdotalis” próbował zamknąć dyskusję o kapłaństwie kobiet. Pada w nim sławne stwierdzenie, „że Kościół nie ma żadnej władzy udzielania święceń kapłańskich kobietom oraz że orzeczenie to powinno być przez wszystkich wiernych Kościoła uznane za ostateczne”.

Po cóż drażnić zamknięty temat? Najprostsza odpowiedź brzmi: bo Duch wieje, kędy chce. W kuluarach WOW i innych feministycznych organizacji katolickich mówi się też, że jeśli papież musi kilkakrotnie zaznaczać, iż dyskusja na jakiś temat jest zamknięta, to najlepszy dowód, że ona wciąż trwa.

Kilka miesięcy po ukazaniu się książki Kateusz (oraz niecałe dwa miesiące od wstrzymania prac powołanej przez Franciszka w 2016 r. komisji badającej histo-

rię posługi kobiet w Kościele katolickim) badaczka przedstawiła swoje odkrycia w Rzymie. Jest to sytuacja w rodzaju „pytanie – odpowiedź”. Papież wyraża wątpliwości co do możliwości diakonatu kobiet („Musimy to przestudować. Nie mogę wydać dekretu bez teologicznych, historycznych podstaw” – mówił w maju do przełożonych żeńskich zakonów). Naukowczynie odpowiada. Ze strony kościelnej nikt dotychczas nie odniósł się do jej odkryć. [Na zakończenie synodu amazońskiego, podczas którego dyskutowano także o diakonacie kobiet, papież Franciszek zapowiedział zmianę składu komisji historycznej i przyspieszenie jej prac – przyp. red.].

Ułomki i okruchy

Książka Kateusz składa się z ośmiu rozdziałów, z których sześć to osobne, momentami luźno ze sobą powiązane, studia różnych tematów. Zebrała ona i ułożyła swoisty zbiór „ułamków” – pozostałych do dziś, niczym drobinki zniszczonej całości, okruchów zapomnianych praktyk i tradycji. Drobinki te przetrwały, często przypadkiem, pomimo wymazywania ich z pamięci.

„Jednym z najbardziej zaskakujących odkryć, jakich dokonałam, jest to, że chrześcijanie byli zafascynowani matką Jezusa. (...) Jednak ta wczesna Maryja nie była cichą, uległą dziewicą, którą dziś

często sobie wyobrażamy. Ucieleśniała różne ideały, na przykład przywództwo. Zostały one później niemal wymazane z kulturowej świadomości (...). Na szczęście nie do końca” – pisze na swojej stronie internetowej Kateusz. Autorka wspomina nie tylko o Matce Chrystusa. Tropi losy tych, o których czasem nie wiadomo prawie nic poza imieniem: Junia, Nino, Tekla, Pryska, Pulcheria, Eugenia, Eufemia. Na okładce książki umieściła fresk Ceruli, przedstawiający ją jako biskupkę, odkryty w 1977 r. w katakumbach San Gennaro w Neapolu.

Badaczka posługuje się różnorodnymi metodami badawczymi, wykorzystuje przede wszystkim literackie studia porównawcze, odpowiadające na pytania o to, co i jak napisano (lub wymazano) w kanonicznych i niekanonicznych tekstach. Korzystając z tego podejścia, reinterpretuje ikonografię zachowanych zabytków.

Kateusz nie ukrywa przekonania, że to, co dziś jest dla większości katolików po prostu niebywałe, kiedyś mogło być powszechną praktyką wielu (lub większości) wspólnot chrześcijańskich. A na pewno – praktyką bardziej różnorodną niż dzisiaj. Praca badaczki momentami przypomina detektywistyczne śledztwo, odtwarzające rzeczywistość na podstawie nielicznych śladów. Jest wnikliwa, swoje argumenty przedstawia krok po kroku, nie ukrywając meandrów i ślepych uliczek, jakie pojawiały się po drodze.

Maria – biskupka

Jedna z wielu spektakularnych historii opowiedzianych przez Kateusz dotyczy mozaiki, przedstawiającej, według badaczki, Matkę Chrystusa jako biskupkę. Początki mozaiki to połowa VII wieku, kiedy papież Jan IV (640-643) zlecił ozdobienie kaplicy baptysterium św. Wencjusza na Lateranie. W centralnym miejscu apsydy znajduje się postać Marii z podniesionymi ramionami, w niebieskim maforionie i w białym paliuszu z czerwonym krzyżem. Kateusz wspomina, że paliusz, zgodnie z zaleceniami papieża Grzegorza Wielkiego (590-604), przynależny jest jedynie biskupom. Na mozaice Maria dodatkowo stoi dokładnie pod postacią Chrystusa, co również w innych rozdziałach badaczka uznaje za formę plastyczną podkreślającą silny związek pomiędzy kapłaństwem Syna i Jego matki. Autorka zauważa, że fakt, iż jej postać jest dziś całkowicie zakryta

przez tympanon neobarokowego ołtarza, w którym znajduje się figurka Marii trzymającej Niemowlę, odzwierciedla historyczny proces spychania kobiet od ołtarza. W 1916 r. Święte Oficjum zabroniło przedstawiać Marię w ubiorze liturgicznym i zapewne także w tym czasie postawiono nowy ołtarz. Już niemal zupełnie niewidoczny jest też czerwony krzyż na paliuszu kobiety.

Kateusz odnalazła wykonane około roku 1899 przez Giovanniego Battistę del Rossiego ryciny, dokumentujące wygląd tej właśnie mozaiki. Widać na nich wyraźnie czerwony krzyż. Wypadające z czasem czerwone tessery – kamyki, z których układa się mozaiki – zastępowano bowiem tesserami w kolorze białym.

Wspólnie przy ołtarzu

Trzy znaleziska przedstawione w Rzymie jako wspomniany wyżej „dowód” to wykonana z kości słoniowej puszką do przechowywania konsekrowanego chleba (*pyx*) z Palestyny z VI wieku, sarkofag z Konstantynopola datowany na 430 r. oraz tzw. relikwiarz z Poli, wykonany z kości słoniowej, pochodzący z lat 425-450. Ten ostatni odkopano w 1906 r. Są tam ukazane symetrycznie trzy postacie mężczyzn i trzy postacie kobiet – jedna postać męska i jedna kobieta wznoszą ramiona ku górze, stojąc przy stole ołtarzowym.

W latach 40. ubiegłego wieku Watykan zlecił wykopaliska pod ołtarzem w bazylice św. Piotra w Rzymie. Odkryto, że scena z relikwiarza odbywa się w tzw. Starej Bazylice św. Piotra, poprzednicze

dzisiejszej. Większość naukowców zgadza się co do tego, że jest to scena odprawiania liturgii. Część naukowców twierdzi z kolei, że postaci po prawej stronie ołtarza na relikwiarzu odpadły broda i wąsy i dlatego wygląda ona jak kobieta. Raport z badań ukazał się 10 lat po ich przeprowadzeniu. W żadnym miejscu nie wspominał o kobietach. Dowodzono natomiast, że płaskorzeźba nie pokazuje wnętrza bazyliki w Rzymie. Znamca sztuki tego okresu André Grabar podkreślał, że w raporcie znajduje się kilka poważnych błędów. Kateusz idzie za jego interpretacją, przedstawiając szczegółowo argumenty obalające tezę z raportu.

„Cenzurę rzadko udaje się przeprowadzić do końca. Co zatem wyłania się z zestawionych razem pozostałości, które nie mieszczą się w znanych schematach? W jaki wzór się układają? (...) To, co zbadałam, ukazuje Marię i jej Syna tworzących parę o wspólnym autorytecie liturgicznym. Artefakty mówią też o kobietach, które były apostołkami i liderkami swoich zgromadzeń, włączając w to biskupki. Mówią o kobietach i mężczyznach przy wspólnym ołtarzu. (...) Nadrzędnym celem mojego studium było pokazanie, w jaki sposób fałszywe wyobrażenia na temat przeszłości przeszkadzają w odczytywaniu treści zachowanych zabytków, które ukazują kobiety jako liderki wspólnoty i modlitwy. (...) Wobec takiego dowodu żaden Kościół nie może wykluczać kobiet z przywództwa, pozostając jednocześnie wiernym swoim kościołom” – konkluduje badaczka. ©

POZEGNANIE

„Tajemnica życia leży w poszukiwaniu piękna”

OSKAR WILDE

14 listopada w wieku 90 lat odszedł do Pana

Tadeusz Kubiszewski

wychowawca i nauczyciel wielu pokoleń młodzieży,
prawdziwy humanista w I Liceum Ogólnokształcącym
im. Marii Skłodowskiej-Curie w Starogardzie Gdańskim,
człowiek, który umiał żyć pięknie.

Żegnają

ŻONA, CÓRKA Z ZIĘCIEM, WNUKI
I PRAWNUCZKA

Jak katolicka wiara zmieniła nasze mózgi

ŁUKASZ KWIATEK

Mieszkańcy zachodniej cywilizacji zawdzięczają swoje specyficzne cechy psychiczne wielowiekowemu wpływowi Kościoła katolickiego – twierdzą autorzy pracy opublikowanej w „Science”.

CHOĆ WSZYSCY LUDZIE BIOLOGICZNIE należą do tego samego gatunku, dorastają w różnych kulturach – a one wpływają na konstrukcję ich umysłów. Rozsiane po całym świecie społeczności mogą się więc znacząco różnić od siebie pod wieloma względami – m.in. w kontekście tego, jak odnoszą się do obcych, czy przedkładają dobro własne nad dobro społeczności, do której należą, czy do napotykanych problemów podchodzą bardziej analitycznie, czy raczej zdają się na intuicję, jak bardzo faworyzują swoich krewnych nad inne osoby itd.

Stosunkowo homogeniczną grupę, gdy idzie o konstrukcję psychiczną, stanowią mieszkańcy zachodniej cywilizacji, określani angielskim akronimem WEIRD (z ang. *dziwny*), od pierwszych liter słów: zachodni, wykształcony, uprzemysłowiony, bogaty i demokratyczny – opisujących państwa, w których ludzie ci żyją. Osoby WEIRD są zazwyczaj bardziej nie-

zależne, indywidualistyczne i otwarte na obcych (bardziej skłonne im ufać), zarazem wykazują mniejszą lojalność wobec własnej grupy oraz słabszą skłonność do konformizmu. Cechują się też bardziej analitycznym myśleniem. Tysiące badań psychologicznych potwierdziły takie wnioski, zresztą ze względu na fakt, że osobami badanymi w eksperymentach psychologicznych są zazwyczaj osoby WEIRD (najczęściej to po prostu studenci psychologii zachodnich uczelni), w środowisku naukowym powstała dyskusja, na ile rozmaite ustalenia psychologów są reprezentatywne dla całej ludzkości.

Choć więc od dawna wiadomo, że umysły mieszkańców Zachodu posiadają pewne osobliwe, nierepresentatywne dla członków wszystkich kultur cechy, brakowało teorii, która wyjaśniałaby, dlaczego akurat te cechy psychiczne kształtują się w opisanym wymienionymi przymiotnikami otoczeniu kulturowym.

W pierwszym listopadowym wydaniu magazynu „Science” taką teorię zaproponowali badacze z Uniwersytetu Harvarda i Uniwersytetu George’a Mansona.

Ich zdaniem kluczową rolę w ewolucji zachodnich umysłów odegrał Kościół łaciński. Nie chodzi jednak po prostu o nauczanie, nakazujące m.in. otwartość na bliźnich – wpływ ten był znacznie bardziej subtelny i mniej intencjonalny.

Jak zauważają wspomniani badacze, od czasu wynalezienia rolnictwa życie społeczne naszych przodków organizowane było według norm, które faworyzowały pokrewieństwo i więzi klanowe. Dochodziło do małżeństw blisko spokrewnionych par (m.in. kuzynów), a członkowie jednego klanu trzymali się razem. Tworzone przez nich sieci społeczne były gęste, skoncentrowane wokół rodziny. To powodowało kształtowanie się etyk, które wyżej cenią lojalność wobec własnej grupy i konformizm niż niezależność i indywidualizm. Objawiały się one m.in. silnym nepotyzmem czy poszanowaniem dla autorytetu starszych, ale też posługiwaniem się sprawdzonymi, utartymi schematami myślowymi.

Kościół zmienił zasady gry – zabraniając małżeństw kuzynów, doprowadził do rozszerzenia i rozluźnienia więzi społecznych – partnerów trzeba było szukać poza najbliższym (genetycznym i geograficznym) sąsiedztwem. W efekcie zmieniły się również przyjmowane w takich realiach etyki: poprawiło się zaufanie do obcych, narosły tendencje indywidualistyczne, promujące własny styl myślenia – a więc także kreatywność w rozwiązywaniu problemów. Grupy społeczne przestały być tak jednolite, więc zmalał nacisk na wewnątrzgrupową lojalność i kolektywne myślenie. Starszyzna straciła uprzywilejowaną pozycję, gdyż zmalało ogólne zaufanie do autorytetów.

Zaproponowana teoria przewiduje więc, że w państwach, w których Kościół działał dłużej i wywierał silniejszy wpływ na społeczeństwo, oraz w państwach budowanych przez emigrantów pochodzących z tych krajów – silniej reprezentowane będą takie cechy psychiczne jak otwartość na innych czy indywidualizm, kojarzone z kulturą WEIRD. A w państwach, w których zachowała się tradycja klanowa, a instytucje społeczne opierano na pokrewieństwie – np. na Bliskim Wschodzie – dominować będzie etyka kolektywistyczna i konformizm. ©P

POŻEGNANIE

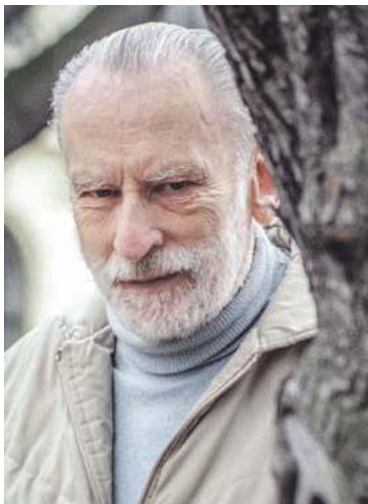
W siódmą rocznicę śmierci

prof. Jacka Woźniakowskiego

będziemy się modlić w Jego intencji
i w intencji spraw Jemu bliskich
w kościele św. Marka w Krakowie,
w piątek, 29 listopada
o godzinie 16:00
podczas Mszy św., którą odprawi
ks. prof. Robert Woźniak.

Później zapraszamy na ul. Pijarską 5,
gdzie pod tablicą pamiątkową
zapalimy świecę.

Róża Thun, Henryk Woźniakowski



SZYMON

Hołownia: Noga z gazu



PRZECZYTAŁEM W „THE ECONOMIST”, ŻE władze w Estonii testują nowy system karania kierowców przekraczających limity prędkości. Policjant zamiast wręczać im mandat, nakazuje zjechać z drogi i odczekać na parkingu czas skorelowany ze skalą wykroczenia, nawet do godziny. Kara pomysłowa i niezwykle dotkliwa – mało kto przekracza przecież prędkość dla przyjemności, powodem jest głównie pośpiech. Przy takim systemie przestajemy jednak myśleć o pośpiechu jako o potencjalnym rozwiązaniu problemu, zaczyna on kojarzyć się z gwarancją jego pogłębienia. Dla wielu użytkowników dróg czas jest przy tym zasobem cenniejszym niż pieniądz. To bardzo nowoczesna kara – dziś, w XXI wieku, w zagonionej, bogatej Europie gdzie indziej ludzi boli, gdzie indziej trzeba też więc celować z wychowawczą sankcją. Czy jednak takie rozwiązanie to rzeczywiście remedium na drogowych piratów z ciężką nogą?

Czytelnicy mojego Facebookowego profilu, których poprosiłem o opinię na temat tego newsa, pokazali mi, że chyba nie. Nietrudno przecież wyobrazić sobie, jak zachowa się nie jeden kierowca zmuszony do takiego rujnującego jego plany postoju. Natychmiast po uwolnieniu, żeby nadrobić spóźnienie, będzie gnał bez opamiętania. Nie ma jednego genialnego sposobu na wyegzekwowanie prawa, gdy tylu ludzi ma interes w tym, żeby je łamać, odsuwając przy użyciu prostych psychologicznych mechanizmów na plan dalszy powód, dla którego zostało ono ustanowione: możliwe poważne konsekwencje takiego czynu dla zdrowia i życia zarówno tego kierowcy, jak i innych osób.

Z rozmów ze znajomymi, których spotkała ta „przyjemność”, wiem, jak skutecznie działa na korektę sposobu operowania pedałem gazu obowiązujące w Polsce prawo nakazujące policjantom zabrać, a starości zatrzymać na trzy miesiące prawo jazdy każdemu, kto zostanie przyłapany na przekroczeniu prędkości o ponad 50 km/h na godzinę w obszarze zabudowanym, gdzie prawdopodobieństwo wystąpienia tragedii z udziałem pieszych czy rowerzystów jest największe. Zwłaszcza w przypadku bardzo aktywnych osób trzy miesiące bez pracy (gdy idzie o kierowców zawodowych), z koniecznością ciągłego wzywania taksówek czy zapoznania się z tzw. zbiorcom (w niektórych miejscach w Polsce działa świetnie, w innych nie jest już tak różowo), to warunkowanie klasyczne: ten bodziec zapamięta się na długo, najczęściej trwale zmienia zachowanie.

Karne parkingi (to swoją drogą też wyzwanie logistyczne: trzeba by robić kontrole w zasadzie tylko w okolicach par-

kingów, zatrudnić dodatkowych ludzi do pilnowania ukaranych), obowiązujący w Polsce system punktów karnych, wstrzymywanie prawa jazdy, kary finansowe – to jednak wciąż tylko część rozwiązania, kawałek kija. Drugim jest rozwijanie wyobraźni kierowców w kierunku, który próbują wyprzeć, ponowne ustanawianie w ich mózgach połączeń neuronalnych wiążących decyzje o takim, a nie innym zachowaniu z pełnym uświadomieniem sobie owego zachowania skutków.

To nie tylko symulacje wypadków, pokazywanie zdjęć, filmów, manekinów, wraków, słuchanie opowieści policjantów i lekarzy czy czytanie danych pokazujących, ile w drodze hamowania pojazdu zmienia zwiększenie jego prędkości z 50 do 60 km/h. To przede wszystkim uświadamianie samemu kierowcy, że skutkiem może być radykalna zmiana jego życia, i to nie tylko rozumiana w kategoriach zdrowotnych. W więzieniach naprawdę nie siedzą tylko i wyłącznie dyszący krwawymi myślami zwyródniałcy. Niemal w nich tych, co po prostu spieszyli się rano do pracy lub wieczorem do domu.

Chwila nieuwagi, błysk słońca, nagle zachowanie kogoś innego, koło uderzające w krawężnik, po czym wylatujemy na chodnik – żaden z nich odpalając silnik nie miał przecież takiego zamiaru, nie chciał zrobić nikomu nic złego. A zrobił. Nie tylko pozbawił czyjeś dzieci ojca czy matki, ale i swoim dzieciom zabrał rodzica, którego przez parę lat spotykać będą tylko na widzeniach. Co w tym czasie stanie się z firmą, studiami, karierą, wymagającymi opieki rodzicami? Jedna decyzja, jeden ruch mięśni, sekunda. I śmierć – albo życie w mgleniu oka poprzestawiane do góry nogami.

Kij to jednak nie wszystko. Powinna być i marchewka. Zastanawiam się, ile zmieniłoby włączenie kwestii uważności na życie swoje i bliźniego do obecnej przecież silnie w Kościele narracji *pro-life* (owszem, słyszałem w życiu parę kazań dotyczących tego tematu, ale szczerze zastanawiam się, ilu ludzi spowiada się z przekraczania prędkości czy łamania innych przepisów). Ale zrobienie tego od pozytywnej strony: pokazanie, jak pięknym gestem człowieczeństwa, miłości bliźniego, troski, czułości wręcz jest zachowanie ostrożności, nawet kosztem poniesienia jakiejś ofiary w swojej logistyce. Nie tyle wyrabianie lęku przed konsekwencjami przekroczenia prawa, ile uczenie poczucia satysfakcji z jego przestrzegania.

Pamiętam dobrze, jakim wstrząsem był dla mnie pierwszy wypadek, w którym udzielałem pomocy ofiarom, zaraz po ukończeniu kursów pierwszej pomocy i praktykach w pogotowiu. Pamiętam dobrze te twarze i rozmowy, odbywane, póki jeszcze poszkodowane osoby były w stanie mówić. Czy to wyleczyło mnie z pośpiechu? Chyba nie. Sposób, w jaki jeżdżę, zmieniłem na dobre dopiero wtedy, gdy przestawiłem sobie w głowie wajchę po narodzinach mojej córki. Wdzięczność za jej życie rozlała mi się na wdzięczność za życie tych, których mijam po drodze, w biegu spraw. Cieszę się, mogąc okazać im szacunek i uważając na ich życie, nawet jeśli o tym nie wiedzą. ©

DROGA KOŁYMSKA

Na tej trasie żaden kierowca nie zgasi zimą silnika, bo przy minus 50 stopniach koniec nadszedłby szybko. Zresztą śmierć i droga to tutaj nieodłączne towarzyski.

TEKST I ZDJĘCIA: KAROL FRYTA Z KOŁYMY (ROSJA)

C IĄGNIĘ SIĘ NA DŁUGOŚCI 2032 KM, MIĘDZY Jakuckiem i Magadanem. Przez tereny należące do dwóch jednostek administracyjnych Federacji Rosyjskiej: Republiki Sacha (inaczej Jakucji) i obwodu magadańskiego.

Pokonuje góry, 10 przełęczy (mających ponad 1000 metrów wysokości) i wiele strumieni, które latem, bywa, uniemożliwiają przejazd. W dwóch miejscach są przeprawy promowe, groźne wiosną i jesienią, gdy kra utrudnia żegluga. Zimą, gdy temperatura spada poniżej 50 stopni, ruch na niej maleje, ale nie zanika: transport drogowy to tutaj jedyna możliwość zaopatrzenia.

To niebezpieczna droga. Na przytłaczającej długości jedynie utwardzona, tworzy tumany kurzu. Na kierowców czekają dziury (zwane tu jamami), wypełnione wodą. To droga owiana złą sławą: historycznie przeklęta, zbudowana niewolniczą pracą więźniów sowieckich łagrów. Wyrąbывana w tajdze, na mrozie, w głodzie, pod wycelowaną pepeszą. Droga z kości, bo większość budowniczych zmarła podczas pracy i zwykle była chowana tuż obok niej.

Nazywana jest traktem kołymskim lub szosą kołymską, ale mieszkańcy mówią po prostu: „Trasa”. Oficjalnie to autostrada federalna R 504 „Kołyma”.

Przeprawa

„Trasę” budowano z Magadanu do Jakucka, ja pokonam ją w odwrotną stronę.

Można się na nią dostać, przepływając Lenę. Olbrzymia rzeka, dziesiąta pod względem długości na świecie. Czasem na jej brzegach dochodzi do dantejskich scen. – Zwłaszcza w weekendy, gdy ludzie chcą wyjechać lub wrócić do miasta – mówi Kirył, pasażer promu. – Można kilka godzin czekać, taki jest tłok. Dochodzi do bójek, spychania aut do wody.

Jakuci z utęsknieniem czekają na zimę, gdy lód skuwa rzekę. Można wtedy jeździć po niej do kwietnia. – Wiesz, co najbardziej denerwuje? – pyta Kirył.



– Że mamy w Jakucji wszystkiego od cholery: diamenty, gaz, ropa, cała tablica Mendelejewa. Ale nie mamy pieniędzy na most przez Lenę! Putin wciąż obiecuje, ale nic się nie dzieje. Nasza kasa poszła na most na Krymie!

Transport zorganizowany do Magadanu nie istnieje, zostaje autostop. Im dalej będę się zagłębiał w ten wyludniony teren, tym aut będzie mniej. Kilkugodzinne czekanie na okazję będzie normą; raz postoję siedem godzin na poboczu.

Prom przybija do glinianego klepiska nadbrzeża. Szczęście się uśmiecha do mnie po raz pierwszy. Rezolutne Jakutki, matka i córka, podróżują srebrną hondą fit. Zatrzymują się, choć tego nie sygnalizuję. Podwożą parę kilometrów, na rogatki Niżnego Bestiachu.

Złudzenia

Przez 1197 km „Trasa” biegnie przez Jakucję, a 835 km przez obwód magadański. To najzimniejsze miejsca na Ziemi, stale zamieszkane przez człowieka, w tym Kołyma. „Trasa” ma dwie historyczne gałęzie. Południową zbudowano jako pierwszą, w latach 30. i 40. XX w. Nitka północna powstała później, miała łączyć nowe kopalnie złota i innych minerałów. Jej budowa skończyła się w 1953 r., choć modernizacja i rekonstrukcja drogi trwają cały czas.

Jedynie kilka procent „Trasy” pokrywa asfalt. Na zdecydowanej większości królują tłuczony kamień, żwir i ubita ziemia.

Po godzinie oczekiwania łapię terenówkę. Trzech mężczyzn jedzie 250 km do pracy, do Czerkiochu. Mają stawiać dom majątnemu Jakutowi. Przez kilkadziesiąt kilometrów suniemy po niezłym asfalcie. Ale to złudny komfort, asfalt pokrywa tylko 10 proc. „Trasy”. Dalej to głównie tłuczony kamień i ziemia, która w suche dni wzbija żółtą mgłę. Czasem z wielu kilometrów widać, że ktoś jedzie. – Podoba się nasza droga? To nasza piękna droga fe-de-ra-lna – kierowca sylabizuje z ironią. I zaczyna litanie narzekań (podobnie jak Kirił na promie czy kilkoro innych napotkanych Jakutów): że wszystko mają i gdyby sami sobą zarządzili, Jakucja byłaby krainą mlekiem i miodem płynącą. A jest tylko jedną wielką kopalnią, drenowaną przez Kreml.

Jeden z Jakutów wylicza, kalkuluje i na koniec pyta: – Jak to jest, że za gaz, na którym stoi mój dom, płacę więcej niż mieszkaniac kraju, do którego go eksportujemy?

Artykuł 58

Jak doszło do tego, że zdecydowano, aby budować drogę w terenie, gdzie temperatura potrafi spaść do minus 70 stopni? Odpowiedzi udzielają bolszewickie plany gospodarcze, związane ze złotem. W 1921 r. Lenin mówił: „Wyobrażam sobie, że gdy odniesiemy zwycięstwo w skali światowej, zbudujemy ze złota ustępy publiczne na ulicach kilku największych miast świata”. Na razie zadysponował realistycznie, że złoto „trzeba oszczędzać” i „sprze-

dawać je jak najdrożej”, a „nabywać za nie towary jak najtaniej”.

Osiem lat później Stalin zdecydował, że industrializację przyspieszy praca przymusowa więźniów, których było pod dostatkiem (a wkrótce miało być więcej). Idea nie była nowa, niewolniczą pracę chętnie wykorzystywano w carskiej Rosji. Niemal równolegle z decyzją Stalina wyprawa geologa Jurija Bilibina potwierdziła, że dorzecze rzeki Kołymy obfituje w złoża złota. Wkrótce do Zatoki Nagejewa, nad którą rozrastała się osada Nagejewo (przyszły Magadan), miały przypląć pierwsze transporty więźniów.

Masowe aresztowania z lat 30. sprawiły, że system obozów założony przez bolszewików już w 1918 r. i na przestrzeni lat mający różne nazwy (w tym Głównoje Uprawlenije Łagieriej, Główny Zarząd Obozów – skrót: Gulag) się zappełniał. W 1938 r. więźniów było już 2 mln (najwięcej, ponad 2,5 mln, w 1950 r.). Słynny „kontrrewolucyjny” artykuł 58 kodeksu karnego, bardzo „pojemny”, sprawiał, że do obozów płynęła rzeka ludzi skazanych na drakońskie kary. Dużą grupę stanowili polityczni, „wrogowie ludu”. Zwłaszcza podczas II wojny światowej i tuż po niej łagry były podporą sowieckiej gospodarki. A Kołyma była największym skupiskiem łagrow na północnym wschodzie kraju.

Pobocze

Dokładnie 100 kilometrów przed ostatnią przeprawą promową na „Trasie” wysiadam na krzyżówce. Szczęście →



→ sprzyja, zjawiają się dwa many ze styropianem jadące do Chandygi.

Styropian posłużył tam do ocieplenia szkoły. Raz siedzę w kabinie z 62-letnim Wiktozem (spędził dwie trzecie życia za kółkiem), to znów z Amanem i jego 15-letnim synem. Chłopiec już idzie w ślady ojca, chwilami prowadzi wielką ciężarówkę.

„Trasę” znają świetnie. Wiedzą, na którym kilometrze jest bar i kolejna stacja benzynowa.

– Wiesz, że ta droga jest zbudowana na kościach? – Aman odpala papierosa. – Koledzy opowiadali, że na postoju przed Ust-Niera weszli do lasu. Trafili na ziemianki, w których spali więźniowie. Wiem, gdzie to jest, ale nie miałem odwagi tam iść.

Na 325. kilometrze Aman pokazuje miejsce, gdzie zginął brytyjski motocyklista. – Dlaczego turyści z Zachodu chcą przejechać tę drogę? Przecież tu nic nie ma! – zastanawia się Wiktor.

Późnym popołudniem docieramy do brzegu Aldanu. Stoimy w kolejce do promu. Obok dwa minibusy, na dachach piramidy pakunków. Zjawia się kolejny: wybite szyby, zmiażdżony dach, wewnątrz skuleni ludzie. – Dachował – oce-

nia Aman. – Kierowca zasnął albo wjechał w jamę.

Idziemy za potrzebą. Ciężko uwolnić się od świadomości, że być może oddajemy moc na czyjeś szczątki.

Surowce

Aby sprawniej eksploatować na Kołymie niewolników, w 1931 r. powołano trust Dalstroj (skrót od: Państwowy Trust Budownictwa Drogowego i Przemysłowego w Rejonie Górnej Kołymy). Miał „zatrudniać” więźniów z Siewwostłagu OGPU (Północno-Wschodnie Poprawcze Obozy Pracy Zjednoczonego Państwowego Zarządu Politycznego). Pewien historyk określił Dalstroj jako „zmilitaryzowaną organizację gospodarczą”.

Pierwsze transporty więźniów trafiły na Kołymę na początku lat 30. Samo dotarcie tu było czasochłonne: więźniowie mieli za sobą kilka tysięcy kilometrów w pociągach i kilkudniowy rejs statkiem z Władywostoku lub Nachodki. Podróż w lodowatych wagonach i ładowniach, strach, głód i zezwierzczenie nadzorców z NKWD dziesiątkowały. Dodatkowo „błatni” (więźniowie-kryminaliści) znęcali się nad „politycznymi”; dochodziło do zabójstw i gwałtów.

Dalstroj był oczkiem w głowie Stalina, który od 1932 r. niemal codziennie żądał raportów o wydobywaniu złota. Odkrycia nowych złóż – także innych minerałów – powodowały, że obszar zarządzany przez Dalstroj rozrastał się. Na początku

lat 50. obejmował 3 mln km² (teren 10 razy większy od Polski). Wydobywano złoto, srebro, platynę, uran, kobalt, rtęć, cynę, ołów, nikiel, żelazo, miedź, molibden, wolfram, węgiel, ropę, gaz.

Budowniczy

Budowa głównej drogi kołymskiej, łączącej imperium Dalstroju, zaczęła się w 1930 r. Miała zaczynać się przy Zatoce Nagajewa, gdzie przybijały statki z więźniami. Wieś miała wzdłuż rzek, górskimi wąwozami, omijając bagna, często starymi szlakami konnymi. Priorytetem były jak najniższe koszty. Zaplanowano trasę nieutwardzoną, wytrzymałą na nacisk pojazdów do 8 ton. Dziennie planowano przewozić nią 600-800 ton ładunków, z dopuszczalną prędkością maksymalną 40 km/h.

W latach 30. do budowy nie wykorzystywano maszyn drogowych (pojawiały się w latach 40., amerykańskie). Więźniowie pracowali ręcznie, przy pomocy kilofów, łopat i chwytaków. Ziemię i kamień przewożono taczkami, a drewno ciągnęły konie. Zimą wykorzystywano sanie. Dzień pracy zaczynał się o wschodzie słońca i latem trwał po 12-14 godzin.

W 1933 r. przy budowie „Trasy” pracowało naraz 11 tys. więźniów, rok później 19 tys. (40 proc. wszystkich więźniów Dalstroju). Warunki sprawiały, że prace posuwały się wolno. Były więzień Michaił Wygon wspominał: „Droga była budowana głównie ręcznie: wzdłuż trasy

W praktyce budowa „Trasy” nie kończy się nigdy, bo droga wciąż musi być remontowana.

Tu i tam widać jeszcze resztki mostów, kilkadziesiąt lat temu budowanych przez więźniów Gulagu.



ze wzgórz ułożone były ścieżki, a na nich – nieprzerwany ciąg taczek. Tysiące jednostek dwukołowego transportu ręcznego, obciążonych piaskiem i żwirem; i ciągną je, obciążając wszystkie swoje siły, mężczyźni – młodzi, w średnim wieku i starsi, ale z równie udręczonymi wyrazami twarzy”.

Góry

Świta. Jeszcze nie nauczyłem się nie stać na „Trasie” rankiem. Ruch zacznie się po ósmej, a pierwsi będą mieszkańcy Chandyg. Ciężarówki wyjadą później. Godzina oczekiwania, dwie, trzy. Sięgam po „Opowiadania kołymskie” Szalamowa, który spędził tu jako więzień 16 lat. Przeżył i w swej książce opisał „białe krematorium Kołymy” (jak to określił Sołżenicyn, też więzień gułagu).

Po czterech godzinach wspinam się do kabiny kamaza. Z kierowcą zamieniamy ledwie parę słów, choć podwozi mnie aż 320 km do Kjubeme (tam droga rozwidla się na część północną i południową). Pokonujemy najtrudniejszy odcinek „Trasy”: przez Góry Wierchojańskie. Droga tu kręta i wąska, często nad urwiskami. Najniebezpieczniejszy fragment wydaje się też najpiękniejszy. Ziemię pokrywają seledynowe i wiśniowe wrzose. Kierowca pokazuje modrzewie rosnące równo jak żołnierze, a za nimi, w dolinie, lód. Tutaj nie topi się nigdy.

Siąpi. Co chwila kamaz zwalnia, bo w żwirowej drodze czyhają jamy z wodą, połyskującą jak rtęć. Nagle auto daje nura w kałużę, lecimy na szybę, po chwili wyrzuca nas w górę. Kierowca klnie i podkręca muzykę. Zachrypnięty Wysocki śpiewa swój hit „Moskwa-Odesa”.

Dochodiagi

Klimat nie jest tu do życia. To strefa koła podbiegunowego, wieczna zmarzlina. Latem ziemia odmarza tylko na kilkadziesiąt centymetrów (więźniowie nie mogli kopać głębokich grobów dla zmarłych kolegów; czasem nie mogli kopać wcale). Lato trwa trzy miesiące, wtedy zekowie, jak zwano osadzonych, mogli poskubać jagód, grzybów. Jednak lato – to także dzień polarny, dłuższy dzień pracy.

Zimą zekowie nie powinni wychodzić do pracy przy minus 45-50 stopniach, ale to była teoria. Janusz Bardach, który przeżył Kołymę, wspominał: „Zawieje i zamiecie trwały (...) całymi dniami. Kiedy więźniowie zgubili się, ich ciała odnajdywano

AMAN, KIEROWCA:

To droga zbudowana na kościach. Koledzy trafili raz na stare ziemianki więźniów. Wiem, gdzie to jest, ale nie mam odwagi tam iść.

dopiero na wiosnę. (...) Dotknięcie metalowego narzędzia gołą ręką mogło skończyć się oderwaniem całego płata skóry, nie mówiąc już o tym, jak niebezpieczne było pójście za potrzebą. Atak biegunki mógł sprawić, że na zawsze zostawało się w śniegu”.

Szalamow: „Mieszkańcy łagru prawie dokładnie określali, jak wielki jest mróz, bez użycia termometru: jeśli utrzymuje się mroźna mgła, znaczy to, że na zewnątrz jest 40 stopni poniżej zera; jeśli w trakcie oddychania powietrze wydobywa się ze świstem, ale jeszcze bez trudu – to jest 45 stopni; jeśli zaś pojawia się przy tym zadyszka – to na pewno jest 50 stopni. Powyżej 55 stopni ślina zamarza w locie”.

Postępująca budowa wymagała zakładania coraz to nowych prowizorycznych obozów. Więźniowie żyli w ziemiankach lub namiotach, przykrytych mchem i gałęziami. Pełne racje żywnościowe (głównie chleb i wodnista zupa) dostawali ci, którzy wypełniali wyśrubowane normy. Zmęczenie, mróz, stres i głód sprawiały, że masowo chorowano na szkorbut, zapalenie płuc, awitaminozę, czerwone, biegunkę. Ci, którzy gaśli, tworzyli kategorię „dochodiagów”: żywych trupów, czekających na śmierć. Do tej grupy należał Szalamow. Ocalał, bo jeden z więźniów rekomendował go do pracy w szpitalu (szpital oznaczał też odpoczynek).

Odbycie całego wyroku było niemal cudem. Władysław Anders, który swą armię formował z byłych więźniów, przytacza relację jednego z nich: „Wielki okręt przywiózł ok. 7000 kalek z obozu Kołymy i Czukotki. 70% bez nóg i to bez obu nóg, bez rąk, bez uszu, bez nosów, ślepi i wariaci. Rok temu, a niektórzy tylko kilka miesięcy temu, byli wyprawieni jako zdrowi ludzie”.

Silnik

W barze pod Kjubeme pochłaniam zylasty gulasz z ryżem. Po kilkunastu godzinach bez posiłku pobieram ważną naukę:

podróż po „Trasie” odbywa się od baru do baru, ale zawsze trzeba mieć żelazną rację.

Jadę ciężarówką volvo, ładunek to żelastwo. Prowadzi Sabir, 52-letni Uzbek. Wyprasowana koszula, okulary przeciwsłoneczne, pełny (co tu rzadkie) uśmiech. Wrócił właśnie z rodzinnej Buchary, gdzie wydał za żonę córkę. – Przyjechałem do Rosji 20 lat temu, do pracy, i zostałem. Jeżdżę raz w roku na dłuższy urlop do Uzbekistanu, tam została żona i dzieci. Pracę lubię, ale nie lubię Jakutów. To zamknięci i chłodni ludzie, dla nich liczą się tylko pieniądze.

Podróżując po Rosji, poznałem wiele nacji. Jedna krytykuje drugą: Ormianie Jakutów, Jakuci Rosjan, Uzbegy Tadżyków. Zaszłości historyczne i regionalne wciąż dzielą.

Na przełęczy Sabir się zatrzymuje. Można zaciągnąć się świeżym powietrzem i złapać zasięg w telefonie, co zakrawa na cud. Rozmawiamy o tym, że „Trasa” uczy cierpliwości, szacunku dla odległości i czasu. A także, jak jest groźna. Moment dobry, bo przełęcz przed Ust-Nierą jest długa i kręta. Auto wspina się mozolnie, a potem zsuwa z prędkością 5-10 km/h i znów wspina. Sabir oszczędza hamulce, by się nie zagotowały. Tempo żółwie. – Oszałeć można, co? – śmieje się. – Tak trzeba, jeśli nie chcesz spaść w przepaść. Spójrz – wskazuje zakręt. – Zimą, gdy leży tu warstwa lodu, ryzyko, że się zsuniesz, jest największe.

Zimą też jeździć? – Cały rok. Jak wyjdę z domu w Jakucku i odpalę silnik, to zgaszę go dopiero po dwóch tygodniach, gdy dojadę do Magadanu i potem z powrotem do Jakucka. Śpię z włączonym silnikiem, grzeję się w aucie. Jeśli zgaśnię, to po tobie przy tych mrozach. Są niby tzw. ciepłe garaże, ale w większych miejscowościach. Jest CB radio, ale umówmy się, pomoc tu nie dociera raz-dwa. Widziałeś gdzieś policję? To jedyna taka droga w Rosji bez żadnego nadzoru. Możesz jechać jak chcesz, pijany, nikt nie kontroluje.

Miasto

Ust-Niera, na 978. kilometrze, to centrum administracyjne ulusu ojmiakońskiego, gdzie odnotowano najniższą temperaturę w miejscu zamieszkanym na stałe przez człowieka: minus 71,2 stopnie. Miasto wyludnia się. Dokoła kopalnie złota, ale ludzie robią wszystko, by stąd uciec. Klimat depresyjny. W parotysięcznym mieście nie uświadczysz skrawka asfaltu, →

→ drogi to klepiska. Przy centralnej ulicy Lenina kilka sklepów, poczta, szpital, cerkiew. W dawnej willi szefa Dalstroju urządzono lokalne muzeum. W budynku, gdzie enkawudziści trzymali psy, jest apteka. W latach 1949-58 w Ust-Nierze funkcjonował Indigirląg: w tym obozie 14 tys. ludzi wydobywało rudę złoto, cynę, wolfram. Budowali też południowy odcinek „Trasy”.

Krajobraz Ust-Niery to poniszczone domy, zwały śmieci, stosy żelastwa, porzucone auta, kałuże jak stawy, wszystko pokryte lizajem. Nawet Lenin na cokole ma przetrąconą nogę. Całość przeżarta przez brud i wilgoć, wypławiła w słońcu. Miasto pokrywa jakby pył.

Główną ulicą idzie kobieta w czarnych szpilkach. Mało nie złamie nogi. Jakby rzucając wyzwanie otoczeniu, założyła też śnieżnobiałą elegancką bluzkę.

Ceny na Północy przyprowadzają o zawrót głowy, bo towar musi tu dojechać z Magadanu lub Jakucka. W sklepie spożywczym spotkam panią Lolitę, z pochodzenia Kazaszkę. Jest na emeryturze, a 10 tys. rubli, które otrzymuje (ok. 600 zł), to głodowa stawka.

– Nienawidzę tego miasta – zwierza się sprzedawczyni. – Jest przytłaczające, okropne. Przyjechałam tu, bo mąż dostał dobrą pracę w kopalni złota. Mieliśmy popracować kilka lat, a tu stuknęło już 25. Dzieci mamy odchowane. Kazaliśmy im wyjechać z Ust-Niery, tu nie ma dla nich przyszłości. Też chcemy się wyprowadzić. Uzbieraliśmy trochę pieniędzy, marzymy o kupnie domu na Kaukazie, tam jest ciepły, dobry klimat. W końcu stąd wyjedziemy!

W jakuckim mieście Ust-Niera panuje rozkład.

Tylko pomnik Lenina trwa niezmiennie.

We wszystkich miejscowościach położonych wzdłuż „Trasy” można natknąć się na pamiątki przeszłości: po prawej tzw. łożung, tablica z hasłem zagrzewającym do wyteżonej pracy.

Cierpliwość

Za Ust-Nierą znów szkoła cierpliwości. Po siedmiu godzinach oczekiwania wysłanym kamazem podjeżdża Sania. Wygląda, jakby miała zwyrodnienie stawów, rusza się powoli, ciągnie lewą nogę. Musi mi otworzyć kabinę od środka, klamka zewnętrzna nie działa.

Sania prowadzi kamaza z przyczepą. Jedzie na pusto, do domu w Miaundży. Czekam ponad 300 km. Jednak po 30 zatrzymujemy się. Przebiliśmy koło. Wydaje się, że użyjemy zapasowego, ale nic podobnego. Na środku drogi Sania demontuje koło, wyciąga dętkę, klei. Po godzinie przyglądania się pracy Sani i odzucaniu przez niego prób pomocy, postanawiam łapać inną okazję. Zatrzymuje się nowiutki ciężarowy man.

– Piwa? – Andriej na wejściu otwiera mikrolodówkę. Rozglądam się po lśnącym aucie. Przygrywa muzyka, działa klimatyzacja, obicia siedzeń czyste, niewytarte. Za naszymi plecami prycza z prześcieradłem. Białym. – Nie jestem rozmowny – mówi Andriej. – Zabieram papuczeków, bo ludziom trzeba pomagać, ale jeśli nie masz nic przeciw, będę oglądał film. Wiozę 42 tony metalu, więc pojedziemy wolno – deklaruje i włącza w telefonie „Doktora House’a”.



Na noc zostaję w Artyku. Tego dnia przejechałem ledwie 130 km. Ciekawe, jak długo Sania walczył z kołem?

Niedźwiedzie

Pierwszym kierowcą, którego widzę na jutro, jest... Sania. Okazuje się, że po załataniu dętki przejechał 50 km i przebił kolejną. – Co robić, taka robota – kwituje.

Dziś przekroczymy granicę między Jakucją i obwodem magadańskim. Ale po kilkunastu kilometrach Sania zatrzymuje się. Zgubił błotnik z tablicą rejestracyjną. Ze stoickim spokojem mówi: – Musimy wrócić i jej poszukać.

Tym razem moja pomoc jest niezbędna. Przechodzę kurs odczepiania przyczepy. Gdy wracamy, już ze zgubą, uświadamiam sobie, że przez dwa dni Sania pokona tylko 300 km. W kamazie brudno, łóżko wymięte, a on sam utylany w smarach i kurzu.

– Ale to jego kamaz, pewnie jeździ nim, od kiedy został kierowcą, i nie zamieni go na inne auto – powie potem Tolik, czterdziestoparolatek, kierowca cysterny, z którym dojadę już do końca „Trasy”, do Magadanu. – Sania to typ kierowcy starej daty, który nigdy się nie zmieni. Nie ma smartfona, CB-radia, nie pomyśli, że w innym aucie może mieć wygodniej. Jest zrosnięty ze swoim kamazem.

Zaufanie Tolika zdobywam powoli. Najpierw ma mnie podzucić 100 km. Potem decyduje, że przejedziemy kolejne 100 do Jagodnoje. Tam na odchodnym

Z ogromnym smutkiem i żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ś.†P.

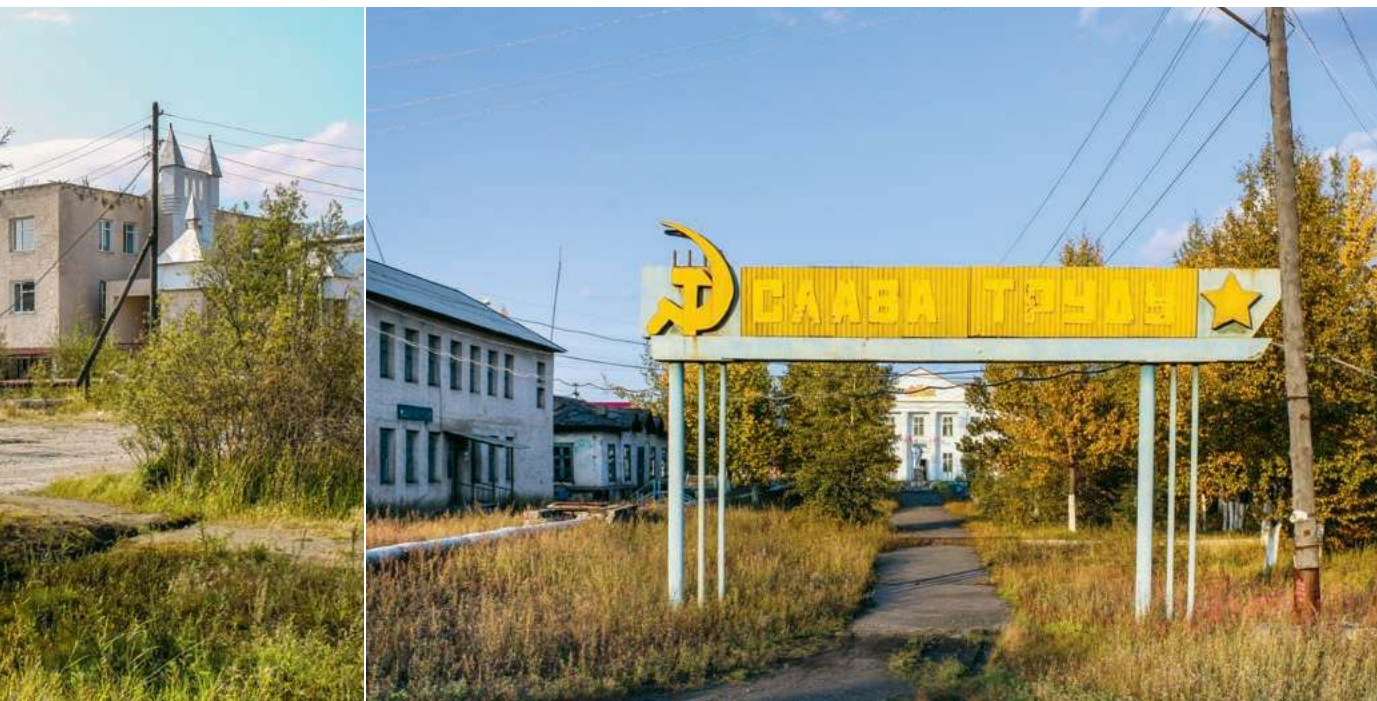
Jacka Pawlika

absolwenta z roku 1960 Liceum im. Tadeusza Reytana w Warszawie.

Rodzinie i Przyjaciółom
składamy wyrazy głębokiego współczucia.

Drogi Jacku, dziękujemy za ogrom dobra i serca,
jakie okazywałeś Stefie – swojej wychowawczyni z liceum.
Na zawsze pozostaniesz w naszej pamięci.

WDZIĘCZNA RODZINA STEFY



rzuca, żebym rano wpadł na parking, to zabierze mnie do Magadanu. Tolik jeździ na „Trasie” na odcinku Magadan-Ust-Niera, dostarcza paliwo do maszyn wypłukujących złoto w kopalniach. Jeździemy na pusto i pierwszy raz widzę, aby ktoś pędził tu ciężarówką nawet 60 km/h.

Tolik za punkt honoru wziął sobie, by postraszyć mnie niedźwiedziami. Rzuca anegdotami. A to, że dwa tygodnie temu główną ulicą Magadanu śmigał niedźwiedź, aż go zastrzelono. A to, że kolega kierowca wyszedł za potrzebą, ale miśki go pogoniły. – Spójrz na kontenery ze śmieciami na parkingach. Wszystkie przewrócone. Niedźwiedzie wyjadają odpadki – Tolik poważnie. – Zawsze trzeba na nie uważać.

Złoto

Cysterna Tolika sunie przez tereny złotonośne, często już wyeksploatowane. Wzdłuż „Trasy” ciągną się hałdy ziemi. Za sprawą ingerencji człowieka potoki zmieniają bieg, rozdzwajają się jak język żmii, to znów schodzą, tworząc w zagłębieniach sztuczne zbiorniki. Natura jest okaleczona, zryta, przekopana – i porzucona. Do głowy przychodzi metafora gwałtu. Obrazu dopełniają porzucone części maszyn i opony. Tysiące opon. No i wsie, osady, przysiółki, które po spełnieniu swej roli, gdy złoto się kończy, są zostawiane, a mieszkańcy przenoszeni. Jak okiem sięgnąć straszą więc zrujnowane domy i budynki kopalniane.

Dziś złota nie pozyskuje się tak jak w czasach zeków: wydobywanie odbywa się z użyciem maszyn. Anatol Krakowiecki, więzień Kołomy, wspominał: „Dwanaście tysięcy ludzi, samych więźniów, pracuje na kopalni złota »Bolszewik« za zupe, kaszę i porcję chleba. Norma dla człowieka to przeciętnie 120 tacek dziennie”.

Wtedy kopalnie budowano, nie licząc się z losem więźniów. Szyby zawały się, wybuchał metan. Więźniowie i więźniarki pracowali w tunelach bez asekuracji, często na kolanach.

Jadwiga Bizanc-Szmigiero wspominała: „W stoku góry wykopywało się rowy, tworzące nieraz niemal jaskinie, których ściany czasem zawały się (...). Norma wynosiła 6 gram złota na osobę dziennie. Myśmy jednak pracowały na takim terenie, na którym złota prawie nie było i jeśli na nas trzy wypadło 3-4 gramy dziennie, to było bardzo dobrze. Naturalnie nie dostawałyśmy wtedy całej porcji dziennej chleba, tylko 700 dkg, to wydaje się dużo, ale był to mokry, ciężki chleb, więc odczuwałyśmy stały głód”.

Pierwszy szef Dalstroju, Eduard Berzin, podobno nie był najgorszy. Podobno rozumiał, że głodny i umęczony więzień jest nieefektywny. Nie zagrał długo miejsca na stanowisku, a jednym z powodów jego odwołania miał być wysoki koszt uzyskania grama złota. Jego następcy postavili na obniżenie kosztów, czego efektem były coraz gorsze warunki życia więźniów.

W pierwszym roku istnienia Dalstroju wydobyto pół tony złota, pięć lat później 33 tony. Pod koniec lat 30. Kołyma była jednym ze światowych centrów wydobywania tego surowca. W rekordowym 1941 r., gdy Hitler najechał Stalina, padł rekord: z kołymskich kopalń wydobyto 76 ton złota. Potem wskaźniki spadały, by w 1956 r. osiągnąć „ledwie” 39 ton. W 2018 r. w Rosji wydobyto łącznie 290 ton złota, co sytuuje ją w światowej czołówce.

Zatoka

Magadan. Ale „Trasa” jeszcze się nie kończy. Wiedzie przez północną część miasta, do ronda, z którego biegą dwie ulice: Lenina i Berzina (tak, tego). Na dobrą sprawę „Trasa” mogłaby się kończyć 3 km dalej, nad brzegiem zatoki, gdzie przybiły statki z więźniami.

W reportażu „Kołyma, mgła i mgła” Ryszard Kapuściński pisał: „Dojechalismy do Zatoki Nagajewa i zatrzymalismy się nad wodą, koło porzuconych, rdzewiejących kutrów. Jest to miejsce-symbol, miejsce dokument, o takim ciężarze, jak brama do obozu w Oświęcimiu czy rampa kolejowa w Treblince. Ta zatoka, brama i rampa są to trzy różne scenografie tej samej sceny: zejścia do piekieł. Spośród milionów ludzi, których wyrzucano na ten kamienisty, zasypany zwierem brzeg, na którym teraz stoimy, trzy miliony nie wróciły już nigdy”.

© KAROL FRYTA



AMIR COHEN / REUTERS / FORUM

Schron przeciwrakietowy w Aszkelonie na południu Izraela, 13 listopada 2019 r.

Niebo nad Izraelem

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

Prognoza pogody była we wtorek zaskakująca jak na listopad: bezchmurnie, słonecznie, aż do 31 stopni. Nikt nie przewidział nadlatujących rakiet.

TEGO PORANKA KOMUNIKATY MEDIÓW budziły Izraelczyków szybciej niż espresso: „Szkoły i uczelnie, miejsca pracy i galerie handlowe będą dziś zamknięte, odwołujemy wszystkie imprezy zbiorowe”.

Mieszkańcy południowej i środkowej części kraju – od Tel Awiwu po granicę ze Strefą Gazy – od rana pędzili do schronów. W niektórych miejscowościach syreny ostrzegające przed rakietami wyły niemal bez przerwy.

W telewizji przedstawiciel armii cierpliwie przypominał zasady: czas zejścia do schronu – półtorę minuty w Tel Awiwie, 30 sekund i mniej na południe od Aszkelonu; będąc na otwartej przestrzeni, położyć się na ziemi i zakryć głowę rękami. Odpowiadał zdezorientowanym ludziom, którzy planowali ten dzień jak każdy inny: ktoś miał ślub swoich dzieci, ktoś bar micwę syna. Teraz pytali, czy odwołać imprezę, czy wystarczy zejść z gośćmi do schronu.

Przy włączonych telewizorach

Gdy kraj wstrzymywał oddech, nie było jeszcze jasne, co się wydarzyło. Pewne było tylko, że sytuacja musi być wyjątkowa – tak daleko idące środki bezpieczeństwa armia wprowadziła po raz ostatni w Tel Awiwie w 1991 r., podczas wojny w Zatoce Perskiej.

Każdy, kto usłyszał o przyczynie zarządzeń, nie miał jednak wątpliwości, że były słuszne. Oto we wtorek nad ranem izraelskie wojsko zabiło w Gazie dowódcę Islamskiego Dżihadu, Bahę Abu al-Atę, wraz z żoną Asmą. Armia i wywiad planowały jego zabójstwo już od dwóch lat, ale wielokrotnie je przesuwano, licząc na dogodniejszą okazję. Teraz, po skutecznej akcji, w odpowiedzi poleciało z Gazy w stronę Izraela 450 rakiet. Dziewięć na dziesięć przechwycił system antyrakietowy „Żelazna Kopuła”, obyło się bez ofiar śmiertelnych.

Gdy we wtorkowe przedpołudnie w Gazie trwał pogrzeb al-Aty, członko-

wie Islamskiego Dżihadu ostrzegali, że zemsta zacznie się zaraz po uroczystości. Przedziwny był to więc dzień w Tel Awiwie. Zmuszeni do pozostania w domach, ludzie czekali w napięciu, spędzając czas rodzinie, jakby to był szabat. Z jednym wyjątkiem: w niemal każdym domu non stop włączony był telewizor, jakby z obawy, by nie uронić żadnej informacji. Krążył żart, który przez lata doświadczeń z rakietami stał się tradycją: że oto Izraelczycy – gromadzący się w schronach lub na klatkach schodowych – wreszcie mogą poznać sąsiadów. Zdezorientowani turyści przechadzali się po pustych ulicach. Telawiwskie plaże, w listopadzie pełne z powodu niespodziewanych upałów, świeciły pustkami. Na wyjątkowo dobry zarobek mogli liczyć dostawcy jedzenia.

Ktoś nagrał telefonem absurdalną sytuację: na dźwięk syreny mężczyzna wysiada z auta i staje na baczność, jakby był to dzień pamięci o ofiarach Zagłady (tego dnia wyją syreny, a ruch uliczny zamiera). Inni krzyczą do niego: człowieku, padnij na ziemię, jest ostrzał rakietowy!

„Bibi” rozgrywa sytuację

Wbrew groźbom dżihadystów o odwecie, niewiele się już tego dnia zdarzyło. W środę zniesiono sytuację wyjątkową, życie w Tel Awiwie wróciło do normy. Rakiety nie wróciły nad miasto. Miejsowości leżące bliżej Gazy miały gorzej.

Tymczasem Izrael zareagował na nadlatujące rakiety. W nalotach na Gazę zginęło 32 Palestyńczyków, ponad stu zostało rannych. Choć wojsko celowało w terrorystów, doszło do pomyłek; media podały, że zginęła 8-osobowa rodzina. Jak zwykle w takiej sytuacji, cenę płacili mieszkańcy Gazy. Tymczasem Islamski Dżihad kontynuował ostrzał południowego Izraela.

Co ciekawe, samotnie. Hamas – główny rywal Islamskiego Dżihadu w walce o przywództwo w Gazie – nie przyłączył się tym razem do walki z Izraelem. Miał alibi: Izrael nie zaatakował w Gazie jego celów. Choć jeszcze tydzień temu przywódca Hamasu Yahya Sinwar zapowiadał, że „zmiażdży Tel Awiw, a syreny w mieście będą wyły w dzień i w nocy przez sześć miesięcy”, teraz nie skorzystał z okazji. Izraelskie uderzenie w strukturę Islamskiego Dżihadu było w jego interesie.

Tym samym Hamas zawarł niewypowiedziany sojusz z Benjaminem

Netanjahu – co pokazuje, jak szalonym miejscem jest Bliski Wschód, gdy tak zażarci wrogowie znajdują jakiś wspólny cel. Z kolei dla urzędującego wciąż premiera każdy przejaw braku jedności w Palestynie – podzielonej między zwolenników Hamasu w Gazie i Mahmuda Abbasa na Zachodnim Brzegu – jest na rękę. Może przekładać proces pokojowy w nieskończoność, narzekając, że nie znajduje po drugiej stronie poważnego partnera do rozmowy.

„Bibi”, jak nazywany jest Netanjahu, w ogóle zreszcie rozegrał tę sytuację. Zarzucono mu, nie po raz pierwszy, że wykorzystał zaostrzenie konfliktu do własnych celów. Jego przeciwnicy twierdzą, że eskalacja jest mu na rękę w czasie, gdy trwają rozmowy koalicyjne po drugich już w tym roku wyborach parlamentarnych, a on sam czeka na decyzję prokuratury, czy zostanie oskarżony o korupcję. Eskalacja może być w jego interesie – może użyć argumentu, że w takich chwilach nie zmienia się premiera.

Z polityką w tle

Czy więc „Bibi” wydał rozkaz zabicia al-Aty, by wywołać eskalację i utrzymać władzę? Nie ulega wątpliwości, że umiejętnie wykorzystuje ten moment. Jego rywal Benny Ganz, któremu wkrótce kończą się czas na sformowanie rządu, chciał bowiem koalicji ze Wspólną Listą partii arabskich. Tuż przed zabiciem al-Aty Netanjahu twitował, że każda próba rządzenia razem z Arabami to zagrożenie dla kraju. We wtorek internet obiegił wiele mówiący mem: dym z rakiet układający się na niebie w hasło „Tylko Bibi”.

W środę rano Islamski Dżihad ogłosił rozejm, a izraelska armia – powróć do normalności, z wyłączeniem miejscowości sąsiadujących z Gazą. Netanjahu obwieścił, że jest zadowolony z operacji: Izrael chciał osłabić Islamski Dżihad, zlikwidować jego infrastrukturę i podejrzanych o terroryzm (Izrael twierdzi, że wśród zabitych było ponad 20 takich osób).

Jednak wkrótce po ogłoszeniu rozejmu w południowym Izraelu syreny zawyły po raz kolejny... Mimo to ludzie wrócili do codzienności. I do spokoju z krótką datą ważności, który w tej części świata bierze się na kredyt. ©

Chwila chwały

TEKST I ZDJĘCIA MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (KALIFORNIA, USA)

11 listopada Amerykanie świętują Dzień Weterana. To być może jedna z nielicznych okazji, gdy los byłych żołnierzy tak naprawdę ktoś obchodzi.

WYSIADAĆ Z SAMOCHODU!” – KRZYCZY Sharon Gibson, poganiając dziewczynki. Ubrane w białe T-shirty i spodnie moro, wyskakują z auta i ustawiają się grzecznie w szeregu.

„Raz, raz, nie mamy czasu! Patrzeć w obiektyw, uśmiechamy się!” – instruuje całą grupkę Sharon. Na oko 60-letnia Afroamerykanka, wyróżnia się w kadrze. Moją uwagę przykuwają poфарbowane na niebiesko loki, które dominują wśród burzy czarnych włosów. Do tego modne okulary w rogowych oprawkach, usta pociągnięte czerwoną szminką, sztuczne rzęsy i nieziemsko długie srebrne tipsy.

Choć jej ekstrawagancki styl kontrastuje z militarnym strojem, Sharon jest na właściwym miejscu. Jej zespół High Steppers Drill Team jak co roku wystąpi z pokazem musztry podczas parady z okazji Dnia Weterana. Zespół tworzą głównie dziewczynki w wieku od 7 do 17 lat. Wszystkie pochodzą z biednych dzielnic południowego San Diego, gdzie szerzy się przestępczość, handel narkotykami i przemoc domowa. Sharon wierzy, że dzięki dyscyplinie jej podopieczne wyrosną na dobrych ludzi. Pewnie wie, co mówi. Jest z zawodu psychologiem, a takiej zespołowej musztry uczy od prawie 20 lat.

– Napisz, złotko, że jesteśmy najlepsze – śmieje się Sharon i macha mi na pożegnanie. Nie ma więcej czasu na rozmowę. Jest 9.40 i do rozpoczęcia parady pozostało 20 minut.

Zagłębie wojskowych

Na ulicy North Harbor Drive, wzdłuż której wiedzie trasa przemarszu, emocje sięgają już zenitu. Najwięcej dzieje się w okolicach budynku władz hrabstwa San Diego. Tłum widzów może stąd obserwować szykujących się do parady weteranów, a także marynarzy z US Navy

i żołnierzy Korpusu Piechoty Morskiej (US Marines). Aby zarezerwować najlepszą miejscówkę, niektórzy byli tu już o świcie. Tak jak Lets i Flor, których spotykam 100 metrów od początku trasy przemarszu. Małżeństwo Filipińczyków do San Diego przyjechało z oddalonego o 156 km miasta Riverside. Na miejscu byli o czwartej rano.

– Mąż denerwował się, że wstaliśmy tak wcześnie – mówi Lets. – Ale chciałam być pewna, że będziemy w epicentrum wydarzeń. Odkąd skończył służbę, nawet polubiłam parady – dodaje i patrzy z ukosa na Flora. Mężczyzna przez 12 lat służył jako strzelec karabinu maszynowego w bazie piechoty morskiej Camp Pendleton w południowej Kalifornii. Z wojska odszedł pod koniec lat 90.

– Czasem żałuję, że nie wytrwałem dłużej – mówi Flor. – Po 20 latach służby miałbym prawo do emerytury. Ale nie chciałem poświęcać rodziny dla kariery. Żona bała się, że w końcu zostanę wysłany na front – tłumaczy.

Z okazji Dnia Weterana Flor założył czarną czapkę z daszkiem, na której widnieje napis „US Marines Veteran”. W oczekującym tłumie aż się roi od takich mężczyzn jak on. Nie będzie przesadą powiedzieć, że San Diego to zagłębie wojskowych. Na terenie całego hrabstwa mieszka ponad 110 tys. żołnierzy w czynnej służbie i ok. 240 tys. weteranów. Oznacza to, że prawie co ósmy mieszkaniec hrabstwa San Diego ma lub miał do czynienia z wojskiem. W rejonie, gdzie jest kilkanaście baz wojskowych – w tym słynna baza lotnictwa piechoty morskiej w Miramar czy baza marynarki w Coronado – nie ma problemu, by na paradę ściągnąć wojskową śmietankę.

Podczas trwającego prawie dwie godziny widowiska mieszkańcy San Diego nieustrudzenie machają więc →

→ do weteranów wojny w Wietnamie, do wiekowych już żołnierzy ocalałych z japońskiego ataku na Pearl Harbor w 1941 r. i do emerytowanych generałów lotnictwa (US Air Force). Najwięcej emocji budzi jednak przemarsz grupki dzieci, które niosą portrety zasłużonych Amerykanów z okresu II wojny światowej. Nieświadome powagi sytuacji i podekscytowane, szczerzą się do zdjęć.

Uzależniony od adrenaliny

Willa, Rudy'ego i Johna spotykam pod siedzibą administracji ds. weteranów w San Diego. Mogą załatwić wszelkie sprawy: od złożenia wniosku o emeryturę lub rentę po rutynowe badania i konsultację u psychologa. Cała trójka przyszła akurat na wizytę u lekarza.

Zacznijmy od Willa. Gdy zaczepiam go przy wyjściu z budynku, zastanawiam się, czy dobrze robię. Barczysty, z czującym uśmiechem i idealnie ułożonymi włosami, wygląda bardziej na hollywoodzką gwiazdę niż zaprawionego w bojach weterana. Już po pięciu minutach rozmowy okazuje się, że to był strzał w dziesiątkę.

Will nie tylko służył w Marines, ale przez 13 lat pracował jako prywatny ochroniarz w najbardziej niebezpiecznych miejscach na świecie. Twierdzi, że w Iraku ochraniał amerykański personel dyplomatyczny, że w Liberii patrolował plantacje kauczuku należące do producenta opon Firestone, i że w Chinach czuwał nad bezpieczeństwem jednego z konsulów USA. Miał mieć także zlecenia na Tajwanie, Filipinach i w Tajlandii.

Gdy słyszy, że pochodzę z Polski, prawie bezbłędnie mówi „Jak się masz” i opisuje się nieco zniekształconym „Dobry wieczór”. Tłumaczy, że tych słów nauczył się od Polaków, którzy tak jak on pracowali w Iraku dla firmy ochroniarskiej Blackwater.

– Ta wojna nieźle przetrzepała mi psychikę – opowiada 42-latek. – Wyobraź sobie, że jedziesz z jednym z najważniejszych amerykańskich dyplomatów w Iraku, a niedaleko wybucha auto-pułapka. I nie chodzi nawet o widok zabitych. Wojna to wojna i trup mnie nie rusza. Po powrocie do Stanów prawie nie miałem nocnych koszmarów. Bardziej dręczyło mnie uzależnienie od adrenaliny. Ciągłe potrzebowałem mocnych wrażeń. Skakałem ze spadochronem i na bungee. Wciąż było mi mało. Nie mo-



głem już normalnie funkcjonować – dodaje Will, który aby uciec od rutyny przyjmował kolejne zlecenia ochroniarskie. Na dobre wrócił do Stanów w 2016 r. Dopiero wtedy po raz pierwszy poszedł do psychologa.

– Wciąż powtarzałem sobie, że jestem twardym facetem i nie potrzebuję pomocy – mówi. – Podałem się dopiero, gdy dostałem ataku furii na autostradzie. Wydawałoby się, że to głupota. Stałem w gigantycznym korku, wszyscy przesuwali się w ślimaczym tempie. Najbardziej denerwował mnie stojący obok motocykl. Warczał jako cholera, nie mogłem skupić myśli. Zbluzgałem kierowcę od najgorszych, rzucałem się za kierownicą. Nie było dobrze – opowiada mężczyzna, u którego zdiagnozowano zespół stresu pourazowego (PTSD).

Dziś, po kilku latach terapii, wygląda na pogodzonego z życiem. Pracuje jako

trener fitnessu i zarzeka się, że nie w głowie mu już ekstremalne emocje. O jego burzliwej przeszłości przypominają ogromne tatuaże na przedramionach. A na lewej dłoni uwagę przykuwają wytatuowane na czterech palcach symbole karciane: kier, pik, karo i trefl.

– Kiedyś to był mój talizman na wojnie. Dziś chroni mnie przed tym, żeby nikt nie zatrudnił mnie do nudnej pracy biurowej – śmieje się Will i puszcza do mnie oko.

Bosman z lotniskowca

John, 38-letni weteran marynarki wojennej, na siłę stara się być *cool*. Co tam, że niecałe pół roku temu odszedł z wojska i po 20 latach służby dopiero przyzwyczajają się do nowego życia. Od początku rozmowy przekonuje mnie, że czuje się świetnie i zrobił niezły *deal*. Nie skończył czterdziestki, a dostaje już przecież woj-



RUDY: *Wolę nie słuchać o tej przeklętej procedurze impeachmentu. To jakieś bzdury. Donald Trump jest patriotą! Dbaj o weteranów lepiej od Obamy. Ameryka jest z niego dumna.*

Z lewej: dzieci niosą fotografie żołnierzy amerykańskich zasłużonych podczas II wojny światowej. Parada w San Diego, 11 listopada 2019 r.



JOHN: *Gdy zaciągasz się do marynarki, to jakbyś wypożyczała swoje ciało. Jak samochód. Kolejne lata upływają, a na karoserii pojawiają się nowe wgniecenia i rysy. Pod koniec może się okazać, że jesteś już tylko wrakiem.*

skową emeryturę i dożywotnią rentę inwalidzką.

Nie chce powiedzieć, co dokładnie mu dolega. Posługuje się za to dość męską metaforą. – Bo wiesz... – zawiesza głos – gdy zaciągasz się do marynarki, to jakbyś wypożyczała swoje ciało. Jak samochód. Kolejne lata upływają, a na karoserii pojawiają się nowe wgniecenia i rysy. Pod koniec służby może się okazać, że jesteś już tylko wrakiem.

John nigdy nie brał udziału w działaniach zbrojnych. Niepozorny brunet o wątej posturze tłumaczy, że większość czasu spędził pływając na okrętach. Ale za to jakich. Jako bosman sztabowy pracował przy obsłudze reaktorów jądrowych na lotniskowcach typu „Nimitz”. Te największe dziś okręty wojenne świata, o długości ponad 300 metrów, mogą zabierać na pokład do 90 samolotów i śmigłowców. Załoga lotniskowca to ok. 6 tys. osób. Jak mówi John, każda misja na morzu trwała nawet 8-9 miesięcy.

– Wiesz, że wciąż musiałem przechodzić testy? – wspomina. – Dowództwo co miesiąc sprawdzało naszą wiedzę. Obsługa napędzanego atomem lotniskowca o wartości kilku miliardów dolarów to nie zabawa. Denerwuje mnie, że każdy zachwyca się tylko akcjami komandosów Navy Seals czy wyczynami Marines. Moja praca nie robi wrażenia, ale bez sprawnie funkcjonujących lotni-

skowców nie byłoby np. mowy o precyzyjnych nalotach na siły ISIS. Zresztą, na co dzień wolałem nie myśleć o tym, co robili startujący z pokładu piloci. I tak miałem stresującą pracę. To było ciągle napięcie. Wciąż na morzu, wokół ci sami ludzie. Na odpoczynek przed kolejną misją miałem 30 dni. Zbyt mało, żeby się zresetować.

John dodaje, że czasem ratowało go tzw. *short duty*. Stacjonował wtedy w Goose Creek, w Karolinie Południowej, gdzie szkolił studentów Nuclear Power School. – Biedacy nie wiedzieli, na co się piszą – podkreśla, odpalając drugiego papierosa.

Gdy dopytuję, czy służba w marynarce odbiła się na jego psychice, zaczyna drapać się po głowie. Po dłuższej chwili odpowiada, że szybko się denerwuje i nie potrafi utrzymać języka za zębami. Najczęściej zdarza mu się to na uczelni. Dzięki stypendium federalnemu dla weteranów we wrześniu zaczął studiować elektrotechnikę.

– Nie mogę znieść, gdy wykładowca zwraca się bez szacunku do studentów. Do cholery, nie jesteśmy przecież dziećmi. Wtedy trochę mnie ponosi i czasem coś odpyskuje – mówi John.

Czołgista projektuje szafki

Za każdym razem, gdy Rudy idzie do biura administracji ds. weteranów, zakłada koszulkę z nadrukowanym czołgiem →



SHARON (pierwsza z prawej), psycholożka z trudnych dzielnic oraz jej zespół High Steppers Drill Team szykują się do pokazu podczas parady w Dniu Weterana. San Diego, 11 listopada 2019 r.



WILL: Ta wojna nieźle przetrzepała mi psychikę. Wyobraź sobie, że jedziesz z jednym z najważniejszych amerykańskich dyplomatów w Iraku, a niedaleko wybucha auto-pułapka. I nie chodzi nawet o widok zabitych. Bardziej dręczyło mnie uzależnienie od adrenaliny. Ciągłe potrzebowałem mocnych wrażeń. Skakałem ze spadochronem i na bungee. Wciąż było mi mało.

→ w barwach flagi amerykańskiej. Pod spodem widnieje hasło: „*Land of the free, because of the brave*” (Wolny kraj dzięki odwadze). Rudy tłumaczy, że nosi ten czołg przez sentyment. Na początku lat 60. służył jako czołgista w jednostce w stanie Washington. Żołnierzem nie był zbyt długo – odszedł z armii tuż przed tym, jak Stany zaangażowały się w wojnę w Wietnamie – ale i on ma prawo do statusu weterana.

– To była jedna z najlepszych decyzji w moim życiu – mówi 76-latek. – Kto wie, czy wróciłbym z Wietnamu w jednym kawałku? A tak, mam Kochającą żonę i pięciorgo dzieci. Doczekałem się też dziesięciorga wnuczków i pięciu prawnuczków – wylicza z dumą.

Jego największą pasją po odejściu z wojska stała się stolarka. Od ponad pół wieku wykonuje na zamówienie meble z drewna. Jak przystało na stolarza, za uchem ma wetknięty ołówek i stale nosi miarkę budowlaną. Mówi, że po powrocie do domu ma do rozrysowania kolejny projekt. Kocha to, co robi, i nie w głowie mu przejście na emeryturę.

– Telewizji prawie nie oglądam – zarzeka się. – Programów informacyjnych unikam jak ognia. Wolę nie słuchać o tej przekłętej procedurze impeachmentu. To są jakieś bzdury. Donald Trump jest patriotą! Napisz proszę, że dba o weteranów lepiej od Baracka Obamy. Ameryka jest z niego dumna – dodaje.

Trudne powroty

W Stanach jest 18 mln weteranów. Ponad połowa ma więcej niż 65 lat. Ci starsi zwykle rozprawili się już z wojennymi traumami i lubią snuć opowieści o walce dla ojczyzny. W najtrudniejszej sytuacji są „najświeżsi” weterani, którzy walczyli w Afganistanie i Iraku. Jak wynika z danych RAND Corporation, od ataku na World Trade Center 11 września 2001 r. w misjach na całym świecie służyło ponad 2,7 mln Amerykanów. Wielu cierpi na zespół stresu pourazowego. Niektórzy, aby uciec od chronicznego bólu, popadają w uzależnienie od silnych leków opioidowych lub heroiny.

Najbardziej zdesperowani popełniają samobójstwo. Skala problemu jest alarmująca: codziennie odbiera sobie życie średnio 22 byłych wojskowych. W ciągu ostatnich sześciu lat na swoje życie targnęło się ponad 45 tys. weteranów i żołnierzy w czynnej służbie. To więcej niż liczba amerykańskich wojskowych, którzy od 2001 r. zginęli w Afganistanie i Iraku.

Rzeczywistość niektórych weteranów to także rozbite rodziny, bezrobocie i zagrożenie bezdomnością. W Stanach bez dachu nad głową jest ponad 40 tys. weteranów – co dziesiąty bezdomny Amerykanin.

Byli wojskowi nie są jednak całkowicie pozostawieni sami sobie. Ci, którym

powinęła się w życiu noga, w biurze administracji ds. weteranów mogą ubiegać się o wsparcie przy wynajmie mieszkania czy leczeniu uzależnień. Większości przysługuje też bezpłatna, choć uchodząca za niewydolną opieka zdrowotna (średnio na wizytę u specjalisty trzeba czekać dłużej niż miesiąc). Weterani i wojskowi mogą liczyć na zniżki w wielu sieciach handlowych, restauracjach czy przy zakupie samochodu. O tym, jak Ameryka pamięta o weteranach, świadczą też np. kursujące po San Diego autobusy. Na ich przedniej szybie wyświetlane jest hasło: „*Thank you veterans!*” (Dziękujemy wam, weterani!).

Najsmutniej robi się jednak wtedy, gdy do autobusu wjeżdża na wózku inwalidzkim były wojskowy. Na głowie ma militarną czapkę z daszkiem, przy wózku wetknął amerykańską flagę.

W San Diego, mieście otoczonym bazami, to dość częsty widok.

© MARTA ZDZIEBORSKA

WOJCIECH

Bonowicz:

Beczka z naftą



NI Z TEGO, NI Z OWEGO ZACZĘLIŚMY PRZY kolacji opowiadać o najbardziej niezwykłych zdarzeniach z naszego życia. W pewnym momencie gospodyni zgasiła światło i postawiła na stole lampę naftową. To ostatecznie rozwiązało mi język.

Jednak nie wiem, czy powinienem opowiadać o tym również Wam. Wiele lat temu poszedłem na imprezę do mieszkanka, w którym nigdy wcześniej nie byłem. Impreza była tłumna i można było zupełnie spokojnie przetrwać wieczór, nie odzywając się do nikogo. Siedziało się na podłogach, parapetach i nielicznych meblach. Niektórzy tańczyli, inni udawali, że pomagają w kuchni, jeszcze inni okupowali toaletę. Nikt nic ode mnie nie chciał i było mi dobrze, dopóki nie wszedłem do jednego z pokoi, gdzie stała, o ile dobrze pamiętam, kanapa nakryta pomarańczową narzutą. Chociaż bardzo lubię pomarańczowy kolor, od razu poczułem się tam źle. Kiedy wychodziłem do przedpokoju, wszystko miało, ale jak wracałem, zaczynałem znów czuć nieokreślony lęk, coś w rodzaju wewnętrznego mrowienia. Wyszedłem z tej imprezy po dwóch godzinach. Jakiś czas potem spotkałem kolegę i opowiedziałem mu o swoich wrażeniach z tego mieszkania. „A, to możliwe”, nie zdziwił się. „W tym pokoju kiedyś kogoś zamordowano. Dziewczynę. Jej ciało leżało tam potem przez jakiś czas”.

No dobrze, to nie było najbardziej niezwykle zdarzenie z mojego życia – ale o innych na pewno nie opowiem. Wpatrywałem się w płomień lampy naftowej i myślałem o tym, że właściwie nigdy wcześniej nie siedziałem przy takiej lampie, a przecież moi rodzice i dziadkowie spędzali w jej świetle całe wieczory. Czytali przy niej książki, odrabiali lekcje, rozbierali się, myli i kładli do snu. Zresztą akurat podczas

kolacji zadzwonił tata i kiedy mu powiedziałem, że na stole stoi lampa, natychmiast się ożywił. „Po naftę chodziło się do sklepu z własną butelką”, powiedział. „Stała tam duża beczka z pompą i sklepikarz pompował do butelki tyle, ile się należało. Jak nie mieliśmy pieniędzy, zanosiliśmy jajka, i on wtedy nalewał np. za trzy albo za pięć jajek. Tak się mówiło: »Proszę nafty za trzy jajka«. On później te jajka odsprzedawał Żydom i tak wychodził na swoje”.

Gospodyni podała jelenia z sosem i knedlikami, gospodarz otworzył czerwone wino, potem drugie i kolejne. Siedzieliśmy w ciepłej kuchni przy lampie i było tak, jak powinno być między trojgiem ludzi, którzy traktują przyjaźń jako coś oczywistego, co może się zdarzyć. A ja opowiadałem dalej o tym, czego Wam nie opowiem – bo w końcu muszę coś zostawić na kiedyś, kiedy oczekiwać będziecie ode mnie mocniejszych dreszczy. Lecz, owszem, dam Wam dreszcz również teraz, tyle że to nie będzie moja opowieść.

Gospodarz miał przyjaciela, który był wielkim fanem Jacka Kerouaca. Jeździł po całym świecie jego śladami, wożąc z sobą w dwóch walizkach wszystkie jego książki. No i pewnego razu mój gospodarz i jego przyjaciel wybrali się w podróż do Grecji, bo Kerouac, jak wiadomo, odwiedził Grecję razem z innymi beatnikami, o ile się nie mylę – chyba w drodze do Maroka. I w tej Grecji, wyobraźcie sobie, przyjacielowi mojego gospodarza udało się nawet odszukać kolesia, który wtedy, jako bardzo młody człowiek, spotkał się z Kerouakiem. To było naprawdę coś: znaleźć w Europie człowieka, który widział autora „W drodze” na własne oczy! I nawet z nim rozmawiał! Nic dziwnego, że przyjacielowi bardzo zależało, żeby pogadać z tym kolesiem. Tymczasem koles niespodziewanie odmówił. Owszem, spotykali się codziennie w barze, ale tamten siał zawsze daleko, odwracał wzrok i się nie odzywał. W końcu gospodarz postanowił pomóc przyjacielowi i któregoś dnia sam przysiadł się do kolesia. Okazało się, że tamten nie chce rozmawiać, bo właściwie niewiele ma do powiedzenia. „Wiesz, ja z nim gadałem nie dłużej niż trzy, cztery minuty. Pokazałem mu jeden ze swoich wierszy. I wiesz co mi powiedział? Że to jest gówno warte. Tyle było mojego spotkania z wielkim Kerouakiem”.

Tak to jest. Nie zawsze warto wywoływać duchy przeszłości. Nie wszystkie na to zasługują. ©

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku, pod sygn. akt I Ns 900/19 toczy się postępowanie z wniosku Zuzanny Rachwał o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie na jej rzecz własności działek ewidencyjnych nr 546 o pow. 1,1726 ha oraz 557 o pow. 0,5739 ha, położonych w Rajsku, gm. Szczurowa, powiat brzeski, wydzielonych w wyniku scalenia za dz. ewid. nr 306 o pow. 1,73 ha, której stan własności został uregulowany aktem własności ziemi nr UG 7429/378/30/78 wydanym przez Naczelnika Gminy w Szczurowej na rzecz Pawła Kordeckiego, s. Antoniego i Anny, zmarłego 06.02.1989 r.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem na rzecz wnioskodawcy, o ile zostanie udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim, w sprawie I Ns 22/18 toczy się postępowanie z wniosku Janusza Kobialki o stwierdzenie zasiedzenia na jego rzecz nieruchomości położonych w miejscowości Niezdów stanowiących działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 39 o powierzchni 0,07 ha, numerem 45 o powierzchni 0,05 ha, numerem 51 o powierzchni 0,06 ha, numerem 57 o powierzchni 0,04 ha, numerem 1257 o powierzchni 0,04 ha, numerem 1567 o powierzchni 0,53 ha, numerem 1761 o powierzchni 0,07 ha, numerem 2193 o powierzchni 0,02 ha, numerem 2377 o powierzchni 0,09 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych do wylegitymowania praw do ww. nieruchomości w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia. Jeżeli w tym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłoszący się, własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

REKA PANI RÖNTGEN

Wynalazca promieni X początkowo traktował swoje odkrycie z rezerwą.

Wydało mu się tak dziwne, że bał się wyśmiania.

Do testu zaprosił żonę.

ULA IDZIKOWSKA Z HAARLEM (HOLANDIA)

ANNA BERTHA RÖNTGEN SPANIKOWAŁA. „Właśnie zobaczyłam własną śmierć!” – krzyknęła, obróciła się na pięcie i uciekła z pracowni męża. Później omijała laboratorium szerokim łukiem, a Wilhelm Röntgen więcej nie prosił jej o pomoc przy swoich eksperymentach.

Zdjęcie opisywane jako „Hand mit Ringen” (dłoń z pierścionkami) – przedstawiające dłoń pani Röntgen – to jedna z pierwszych fotografii rentgenowskich. Naukowiec wykonał je jesienią 1895 r. Kultowa fotografia została odnaleziona w Teylers Museum – najstarszym muzeum sztuki i nauki w Holandii w Haarlem.

Archiwum sprzed lat

Odnalazła się przez przypadek: sepiowe, poblakłe zdjęcie kościstych palców pani Röntgen wyleciało z katalogu aparatów rentgenowskich podczas porządków w haarlemskim muzeum. Pracownicy przekopywali się przez spuściznę po fizyku Hendriku Lorentzu. Naukowiec zmarł w 1928 r. – niemal 7 tys. dokumentów, listów i materiałów naukowych przeleżało w archiwum muzeum przez prawie sto lat.

Lorentz był poważany w naukowym świecie. Laureat Nobla z fizyki (w 1902 r.), inspirował pokolenie uczonych. Także Einstein podziwiał Lorentza i odwiedził go w Haarlemie. Tu bowiem, w Teylers Museum, Lorentz miał do dyspozycji własne laboratorium. Aż do lat 50. XX w. muzeum pełniło też funkcję instytutu naukowego, a ówczesni dyrektorzy dołożyli starań, by przekonać Lorentza do



Anna Bertha Röntgen

przeprowadzki z Lejdy, gdzie prowadził katedrę fizyki teoretycznej. Zaoferowali mu pozycję dyrektora Instytutu Teylera i zaciszne miejsce, gdzie mógł spokojnie pracować. Wiedzieli, że Lorentz marzył o własnym laboratorium.

Fizyk nie zerwał więzi z dawną uczelnią. Wciąż prowadził tam wykłady, a do Teylers dojeżdżał. W 1912 r. postanowił jednak osiąść w Haarlemie, w kamienicy na Zijlweg 76. Pod ten adres trafiła również niepozorna cienka książeczka, którą otrzymał w Nowy Rok 1896 r. Nadawcą był kolega po fachu: Wilhelm Röntgen.

Tajemnicze promienie X

Przesyłka od Röntgena zawierała krótki opis wniosków wyciągniętych po siedmiu tygodniach eksperymentów i kom-

plet budzących krew w żyłach fotografii: ludzkich kości, utrwalonych w kolorze sepia.

Röntgen nie szukał żadnych promieni. Odkrył je przez przypadek, tak jak wcześniej Alfred Nobel dynamit. Była jesień 1895 r., gdy 50-letni fizyk majstrował przy lampach wyładowczych, wynalezionych dwie dekady wcześniej przez Anglika Williama Crookesa. Urządzenie przypominało megafon z elektrodą dodatnią (anodą) w uchwycie i elektrodą ujemną (katodą) w zwężeniu tuby. W jej wnętrzu znajdował się rozrzedzony gaz. Po podłączeniu do elektrod wysokiego napięcia gaz między nimi zaczynał jarzyć się wstążką kolorowego światła. Podczas jednego z eksperymentów Röntgen po raz pierwszy zaobserwował dziwne zaczernienie kliszy lampy.

Nie był z pewnością pierwszym naukowcem, któremu rzuciło się to w oczy. Ale jako jedyny wpadł na to, aby bliżej przyjrzeć się temu zjawisku. Ta ciekawość miała w 1901 r. zaowocować Nagrodą Nobla (przyznaną wtedy po raz pierwszy w dziedzinie fizyki).

Ale zanim to się stało, Röntgen powtórzył eksperyment w swoim zaciemnionym laboratorium w bawarskim Würzburgu. 8 listopada 1895 r. zauważył delikatną poświatę. To położony na krześle ekran pokryty platynocyjankiem baru – fluorescencyjnym materiałem, stosowanym na płytkach fotograficznych – rozświecał zielonym światłem za każdym razem, ilekroć Röntgen włączał prąd.

Ale jak to możliwe, skoro między przedmiotem a badaną lampą nie znaj-



Zdjęcie RTG dłoni pani Anny Berthy Röntgen, 22 grudnia 1895 r.

dowały się żadne przeszkody? To lampa musiała emitować jakiś inny rodzaj promieniowania! Röntgen nazwał je „X”.

Widok własnych kości

Nie do końca wierząc w to, co zobaczył, poświęcił kolejne tygodnie na testowanie i dokumentowanie tajemniczego zjawiska.

„Dziś wiemy, że jeżeli rozprędzony elektron gwałtownie zahamuje, wytworzy promienie rentgenowskie. Tak działo się w lampach wyładowczych, gdy wiązka elektronów uderzała w katodę” – wyjaśniają chemiczka i popularyzatorka nauki Monika Aksamit-Koperska wraz z fizykiem Dariuszem Aksamitem na blogu ministerstwa nauki. Ale skąd XIX-wieczni naukowcy mogli to wiedzieć,

skoro promieniowania X nie widać gołym okiem?

Röntgen drażył więc dalej. Na płytach fotograficznych lądowały kolejne przedmioty, które naukowiec miał pod ręką w laboratorium: drewniana szpulka z drutem elektrycznym, ościeżnica z laboratorium z warstwą platyny, kompas. Różne minerały, w tym kwarc. Röntgen z niedowierzaniem obserwował, jak tajemnicze promienie zatrzymywały się na metalu, a przenikały inne materiały. Gdy dokonywał prób z metalowym dyskiem, nagle ujrzał swoją kość. Widok własnego szkieletu go nie przeraził, ale urzekł.

Röntgen traktował swoje odkrycie z rezerwą. Wydało mu się tak dziwne, że obawiał się wyśmiania ze strony poważnych fizyków. Uporczywie szukał więc

potwierdzenia. Z pieczołowitością powiełał eksperymenty i kontynuował pracę podczas Bożego Narodzenia, już bez asystenta, który na święta wziął wolne. Dlatego tylko około dziesięciu prominentnych naukowców otrzymało od Röntgena zestaw zdjęć. Naukowiec musiał je wykonać sam.

Pragnienie Pietera Teylera

Do dziś zachowały się tylko dwa komplety dziewięciu fotografii – tak wynika z badań Trienke van der Spek, głównej kuratorki kolekcji naukowej w Teylers Museum.

– Wypytywałam u odpowiedzialnych za różne kolekcje i wychodzi na to, że jedynie londyńskie Wellcome Collection może się pochwalić tym samym zestawem co my – mówi mi van der Spek o swoim odkryciu, z wyraźną dumą. Ale ludzie odwiedzający muzeum w tę niedzielę nie wydają się podzielać jej fascynacji. Niepozorną gablotkę pośrodku czytelnicy omijają raczej z obojętnością.

Trudno ich winić. Aby dotrzeć do zdjęć Röntgena, trzeba najpierw przejść przez salę, gdzie piętrzą się niezliczone i po części zapomniane instrumenty naukowe: tuleje cylindryczne, fonoautografy, harmonografy, pryzmaty. Dalej, w neoklasyzystycznej owalnej sali, perle muzeum, w drewnianych gablotach przechowywane są minerały i skamieliny. Światło wpada przez śnieżnobiałą kopułę i oświetla klasycystyczne kolumny.

Wystrój muzeum pozostał niemal niezmieniony od XVIII stulecia. Miejsce wciąż oddycha atmosferą epoki oświecenia, pogoni za wiedzą i pragnieniem odkrywania. Taki efekt chciał osiągnąć pomysłodawca muzeum: kupiec, bankier i filantrop Pieter Teyler van der Hulst (1702–1778). To jego znaczna kolekcja stanowiła podwalinę obecnych zbiorów, skrupulatnie uzupełnianych przez kolejnych dyrektorów muzeum. W testamencie Teyler wyraził pragnienie, by jego wykonawcy stworzyli sanktuarium wiedzy łączące sztukę i naukę; aby książki w bibliotece nie zbierały kurzu, lecz były studiowane. Przyrządy fizyczne wykorzystywano do pokazów, a rysunki były omawiane podczas przeglądów sztuki. Skamieliny i minerały też odgrywały ważną rolę w publicznych lekcjach.

Wśród tego bogactwa, 124-letnie sepiowe druki z zamazanymi, wręcz abstrakcyjnymi kształtami nie rzucają się

→ w oczy. Najstarsze zdjęcia rentgenowskie, które w niczym nie przypominają współczesnych, w tym roku zostały wystawione w muzeum tylko na miesiąc – ze względu na ich wartość i kruchość.

Zdjęcia własnoręczne

Za to wtedy, pod koniec XIX w., robiły furorę. Po raz pierwszy bez rozcinania skóry można było zobaczyć, co kryje się w ludzkim wnętrzu!

Obwoźni artyści szybko zwęszyli interes w budzących sensację zdjęciach. Podczas publicznych demonstracji nowej techniki prześwietlali wszystko, co po drodze: własne ręce, zwierzęta, widzów. Ze skutków nadmiernego wystawiania ciała na działanie promieni X nikt sobie nie zdawał sprawy. Wielu chciało policzyć monety w swojej torebce albo zobaczyć szkielet żaby. Pomysłów nie brakowało, a fotografię można było kupić jako pamiątkę. Na ludzkiej ciekawości dało się nieźle zarobić, ale płacono się za to cenę: artyści nagminnie prześwietlający swoje dłonie borykali się później z chorobami skóry.

Natomiast światem naukowym odkrycie promieni X wstrząsnęło. Po ukazaniu się artykułu Röntgena pt. „Über eine neue Art von Strahlen” (O nowym rodzaju promieni) w naukowym czasopiśmie w Würzburgu wiadomość została podchwycona przez austriacką prasę w styczniu 1896 r. Niedługo potem profesjonalne czasopisma, jak „The Lancet” i „Nature and Science”, informowały czytelników o istnieniu „promieni X”, jak nazywał je na początku Röntgen. Naukowcy prześcigali się w robieniu „własnoręcznych zdjęć”.

Holender Lorentz zareagował bardziej powściągliwie. W liście, w którym fizyk dziękował Röntgenowi za podzielenie się wynikami eksperymentów, wspominał, że „ośmielił się zaprezentować je Akademii Nauk w Amsterdamie”. Pisał, że odkrycie Röntgena wywołało ogólny podziw. „Nie spodziewałem się też innej reakcji” – dodał.

Sam Röntgen, z natury introwertyk ceniący spokój, unikał rozgłosu. Wygłosił tylko jeden publiczny wykład, 13 stycznia 1896 r., w Berlinie – i w obecności cesarza Wilhelma II. Ten uhonorował Röntgena tytułem rycerskim. Uniwersytet w Würzburgu przyznał mu z kolei honorowy doktorat z medycyny. Röntgen opublikował jeszcze trzy artykuły o pro-



Wilhelm Conrad Röntgen, ok. 1900 r.

mieniach X, po czym zaszył się znów w swoim laboratorium. Więcej się na ten temat publicznie nie wypowiadał, a w testamencie (zmarł w 1923 r.) prosił o zniszczenie wszystkich notatek.

Na swoim odkryciu nie miał zamiaru zarabiać. Nigdy go nawet nie opatentował. To na prośbę niemieckiego histologa Alberta Köllikera promienie zostały nazwane od nazwiska odkrywcy promieniami Roentgena. Ale dziś ta nazwa zachowała się tylko w nielicznych krajach, m.in. w Holandii, Niemczech, Czechach i Polsce. W większości języków używa się określenia samego Röntgena: promieniowanie X.

Rewolucja w medycynie

Nie bez powodu amerykański tygodnik „Time” umieścił „Hand mit Ringen” na liście 100 najbardziej wpływowych zdjęć w historii. Odkrycie właściwości promieniowania X przyniosło przełom w medycynie – wkrótce po rozniesieniu się nowiny o ich odkryciu w szpitalach pojawiły się pierwsze lampy rentgenowskie. Już 11 stycznia 1896 r. brytyjski lekarz John Hall-Edwards wykonał próbne prześwietlenie, a w Walentynki jako pierwszy zastosował promienie rentgenowskie podczas operacji.

Lekarze stosowali promieniowanie nie tylko w celu wykrycia *corpora aliena* i złamań, ale też w nowych, dopiero raczkujących dziedzinach medycyny – jak diagnoza i leczenie zaburzeń ortopedycznych, chorób skóry, raka i reumatyzmu. Oprócz tego kwitnął czarny rynek z cha-

łupniczo budowanymi lampami i sprzętem pozyskiwanym z szemranych źródeł.

Pierwsze badania odbywały się bez żadnej ochrony ciała, o negatywnych skutkach promieniowania na organizm nie było jeszcze wiadomo. Niektórzy operatorzy po pewnym czasie rezygnowali z pracy z powodu opuchniętych rąk i zaczerwienień. Ci, którzy pracę kontynuowali, cierpieli z czasem na nowotwory.

Skloniło to do podjęcia systematycznych badań. Dość szybko wprowadzono więc osłony, głównie ołowiane (tzw. konstrukcja Coolidge’a z 1913 r. pozostała do dziś).

Nie oznacza to, że prześwietlenia nie stanowią już dla zdrowia żadnego ryzyka. Duże dawki napromieniowania zwiększają ryzyko uszkodzenia DNA i nowotworów. Ogólnie przyjęta zasada jest taka, by naświetlać się tylko w niezbędnych przypadkach.

Dlatego np. belgijska służba zdrowia od niemal dekady organizuje kampanie nawołujące pacjentów do umiarkowania w naświetlaniu się: rodzinka szkieletów z wielbłądem i piramidą w tle, „maskotki” akcji „Promieniowanie z umiarem”, przestrzega przed negatywnymi skutkami. Według danych Eurostatu z 2016 r., Belgia zajmuje czwarte miejsce w Europie pod względem wykonanych tomografii komputerowych na 100 tys. mieszkańców. Przetwarzają Luksemburg, Islandia i Francja.

Przyszłość radiologii

Pierwsze prześwietlenia czaszki trwały około godziny. Dziś pacjenci wychodzą z gabinetu po kilku minutach. Radiologia wciąż się rozwija. W zakres diagnostyki obrazowej wchodzi cała gama badań: ultrasonografia, tomografia komputerowa, rezonans magnetyczny.

Jaka przyszłość czeka tę dziedzinę medycyny? Brytyjski „Royal College of Radiologists” podaje, że sztuczna inteligencja stanie się częścią codziennej praktyki radiologów: „AI ma potencjał do przesiewania ogromnej ilości danych w ciągu kilku sekund, pomagając w ten sposób radiologom w ustalaniu priorytetów i wystawianiu diagnoz. W ten sposób radiolodzy będą mieć więcej czasu na bezpośrednią opiekę nad pacjentem i niezbędne badania”.

A wszystko zaczęło się 124 lata temu, od dłoni Anny Berthy Röntgen.

© ULA IDZIKOWSKA

Medal Św. Jerzego A.D. 2019



REDAKCJA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” od 26 lat przyznaje Medale Św. Jerzego, honorową nagrodę za „zmaganie ze złem i uparte budowanie dobra w życiu społecznym”.

W tym roku kapituła Medalu (ks. Adam Boniecki, Piotr Mucharski, Władysław Stróżewski, Andrzej Zoll) przyznała go ks. prof. Tomášowi Halíkowi za walkę ze smakiem bałwochwalstwa oraz prof. Barbarze Engelking za walkę ze smakiem nieczułości i ignorancji.

„Powierz Panu swą drogę, zaufaj Mu, a On sam będzie działał. On sprawi, że Twa sprawiedliwość zabłyśnie jak światło, a prawda Twoja jak blask południa” – tak brzmią słowa Psalmu 37. w tłumaczeniu Marka Skwarnickiego, wyryte na Medalu.

Medale Św. Jerzego w poprzednich latach otrzymali:

- ks. Arkadiusz Nowak (1993)
- Janina Ochojska, Jacek Kuroń (1994)
- Jerzy Adam Marszałkowicz (1995)
- s. Małgorzata Chmielewska, Marek Nowicki (1996)
- Zofia Tetelowska, ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, Jerzy Owsiak (1997)
- Krystyna Mrugalska, bp Tadeusz Pieronek (1998)
- Marek Edelman, abp Alfons Nossol (1999)
- Krzysztof Czyżewski, Tadeusz Mazowiecki (2000)
- Zbigniew Gluza, ks. Jan Sikorski (2001)
- Ewa Woydytło-Osiatyńska, Leon Kieres (2002)
- Adam Michnik, Václav Havel (2003)
- Stana Buchowska, Norman Davies (2004)
- prof. Barbara Skarga, abp Józef Życkiński (2005)
- prof. Leszek Kołakowski, Anna Dymna (2006)
- Anna Otfinowska, rabin Michael Schudrich (2008)
- Krystyna Starczewska, Leszek Balcerowicz (2009)
- ks. Wacław Hryniewicz, Aleksander Gurjanow (2010)
- prof. Jerzy Jedlicki, o. Ludwik Wiśniewski (2011)
- Danuta Wałęsa, ks. Andrzej Augustyński (2012)
- Agnieszka Holland, ks. Michał Heller (2013)
- ks. Jan Kaczkowski (2015)
- Giusi Nicolini, Karol Modzelewski (2016)
- Maria Dąbrowska-Majewska, Adam Strzembosz (2017)
- Ewa Błaszczak, abp Wojciech Polak (2018)

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

GŁÓWNY MECENAS

MANTA
Polska firma rodzinna

PARTNERZY UROCZYSTOŚCI

Kraków

FCA
FIAT CHRYSLER AUTOMOBILES

Jeep
THERE'S ONLY ONE

ZAIK
Stowarzyszenie Autorów

GOŁOŚNIA
100 LAT

ST
Akademia
Sztuk
Teatralnych

Belle Epoque
Residence

**Exploring
Around**

MODERN
CATERING

GEERS
DOBRY SŁUCH

60
znaki

Czyń zaczyn

TOMASZ MAĆKOWIAK

Ks. Tomáš Halík, funkcjonujący od zawsze w Kościele mniejszościowym, uważa, że to jest sytuacja naturalna.

CZESI, W BREW TEMU, CO SĄDZĄ SAMI Co sobie, nie są społeczeństwem ateistycznym ani tym bardziej – jak uważa część Polaków – protestanckim. Badania religioznawców wykazują, że cechują się ogromną nieufnością wobec instytucji religijnych – Kościołów, Zborów, Cerkwi. Mają też prawdziwą, silną tradycję antykatolicką, która okrzepła w czasie I Republiki Czechosłowackiej.

Ks. Tomáš Halík urodził się, wychował i działa w takim społeczeństwie, będąc jednocześnie katolickim księdzem i jednym z najciekawszych myślicieli współczesnego Kościoła i współczesnego Zachodu.

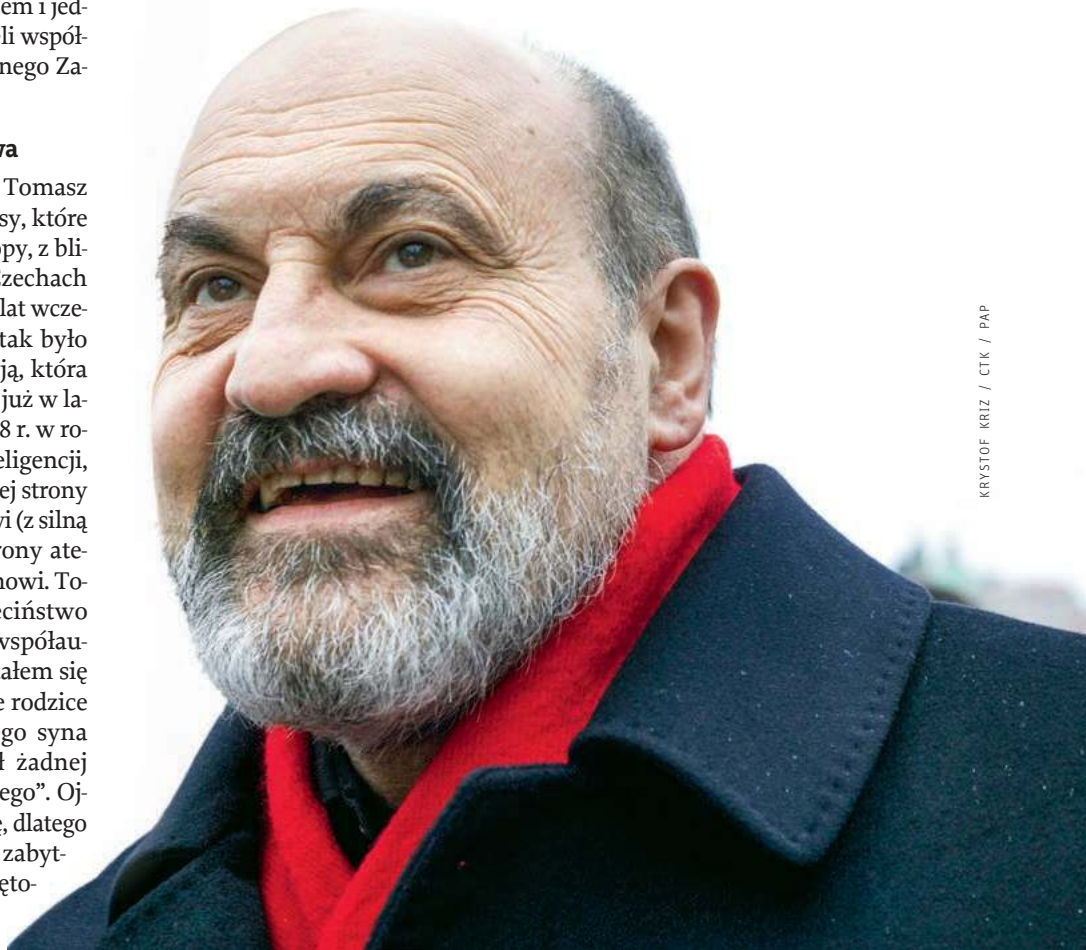
Msza nieobowiązkowa

Ks. Tomasz Węclawski (dziś Tomasz Polak) napisał kiedyś, że procesy, które zmieniają duchowy obraz Europy, z bliżej nieznanych powodów w Czechach zaczynają się o wiele dziesiątek lat wcześniej. Tak było z Reformacją, tak było też w XX wieku z sekularyzacją, która nad Wełtawą święciła tryumfy już w latach 20. Halík urodził się w 1948 r. w rodzinie tradycyjnej praskiej inteligencji, co oznaczało środowisko z jednej strony bardzo niechętne komunizmowi (z silną wzajemnością), a z drugiej strony ateistyczne i niechętne katolicyzmowi. Tomáš Halík wspomina to dzieciństwo w wywiadzie rzece (którego współautorem jest Jan Jandourek) „Pytałem się dróg”. Wiadomo o nim tyle, że rodzice nie praktykowali, ale jedyne go syna ochrzczili. Tomáš nie odebrał żadnej formy „wychowania katolickiego”. Ojciec jednak dbał o jego edukację, dlatego razem zjeżdżili kraj, oglądając zabytkowe klasztory i kościoły, świętowali w tradycyjny sposób Boże Narodzenie i Wielkanoc.

Halík jako licealista dużo czytał, chodził do teatru i kina, na studenckie spotkania kółek naukowych i podobnie, z ciekawości, trafił do górującego nad rynkiem praskiego Starego Miasta kościoła Panny Marii przed Tynem. W komunistycznej Pradze było to miejsce wyjątkowe: w parafii urzędował ksiądz Jiří Reinsberg – jeden z całej galerii czeskich katolickich oryginałów i nonkonformistów. Jeszcze przed II Soborem Watykań-

skim wprowadzał do liturgii współczesną muzykę, otaczali go stołeczni artyści, literaci, aktorzy. Wielokrotnie kuszony i straszony przez tajną policję, pozostał nieugięty, a mimo to nie stał się obiektem szykan. Prawdopodobnie władza chciała w centrum stolicy zachować jedną – jego – parafię jako dowód na rzekomą wolność religijną.

Reinsberg, zamiłowany skaut i żartowniś, miał niekapłański styl bycia i ceniał autentyczność. Sumę potrafił zacząć poirytowanym pytaniem: „Mam nadzieję, że nie przyszłście tu spełniać jakiegoś obowiązku religijnego?”. Msze się zaczynały z opóźnieniem, bo w konfesjonale potrafił długo rozmawiać z penitentami. Pokuty zadawał niestandardowe: „Zamiast tych zdrowasiek lepiej teraz zrób dla rodziców coś miłego, obiad im ugotuj albo zajmij się rodzeństwem”. Podobno udzielał potajemnie ślubów i chrzczył dzieci komunistycznym dygni-





tarzom – ale jeśli to prawda, tę tajemnicę zabrał z sobą do grobu.

Niereligijny student Tomáš Halík na początku stał pod chórem, ale stopniowo, przez kolejne tygodnie i miesiące przesunął się bliżej ołtarza. A potem poznał samego Reinsberga, pod którego kierownictwem przez kolejne lata prywatnie studiował katolicką teologię i filozofię, aż w końcu razem ze swoim przewodnikiem duchowym podjął decyzję o kapłaństwie.

To już była jednak inna epoka. Halík do tynskiego kościoła trafił jako nastolatek, w latach 60. Po drodze był na studiach w Anglii, w czasie ich trwania jego kraj najechały wojska Układu Warszawskiego. Wrócił do Pragi pod koniec roku 1968, dobrowolnie i świadomie, przekonany, że będzie potrzebny w kraju. Pewnie jak wszyscy w tym czasie nie zdawał sobie sprawy, że czekają go dwie dekady izolacji i ubeckich szykan.

Papieski calvados

Jako jeden z najważniejszych momentów życia wspomina pogrzeb Jana Palacha, studenta, który w 1969 r. w centrum Pragi oblał się benzyną i podpalił w proteście przeciw moralnej kapitulacji przed okupantami. Halík mocno przeżył tę śmierć, z grupą studentów organizował obrzędy pogrzebowe, a w żałobnym pochodzie, który przeszedł przez most Karola, niośł pośmiertną maskę Palacha. W jednym

z wywiadów opowiedział, jak po drodze prowadził wewnętrzną rozmowę z niezującym kolegą ze studiów: „Obiecałem mu wtedy rzeczy, które w dorosłym życiu będę zawsze robił, i takie, których nigdy nie zrobię. Że zawsze będę mówił i pisał tylko to, co naprawdę myślę”.

Pośmiertną maskę zaniósł do budynku Wydziału Filozoficznego i postawił ją w niecce, z której wcześniej ktoś pośpiesznie wyjął popiersie Lenina. Oczywiście szybko zniknęła, a Lenin wrócił. Od 1990 r. maska jest wmurowana w tablicę upamiętniającą studenta na ścianie budynku Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Karola. Halík mija ją codziennie w drodze do pracy.

Po najeździe i okupacji Sowieci mianowali nowym przywódcą Gustáva Husáka. Władcy socjalistycznego państwa uznali, że to, co działo się od połowy lat 60. do chwili najazdu, było nienormalne, i energicznie zaczęli przywracać to, co sami uznawali za normalne. Proces ten nazwali „normalizacją”. W praktyce oznaczał likwidację wszelkich ośrodków wolnej myśli, samoorganizacji, niezależności. Masowo zmuszano do podpisywania lojalek oraz masowo wypychano na margines życia społecznego tych, którzy podpisania odmówili. Z tego marginesu, ze środowisk wykluczonych, z artystycznej bohemy i katolickich działaczy w II połowie lat 70. powstała czeskosłowacka opozycja – Karta 77.

Zbuntowanego studenta Tomáša Halíka jednak wśród tych ludzi nie było. Konwertyta, bierzmowany w 1967 r. przez ówczesnego biskupa Františka Tomaška, zdecydował się na inną drogę. Od początku lat 70. związał się z Kościołem Podziemnym – środowiskiem świeckich i duchownych, którzy wobec prześladowań przez milicję i tajniaków rozwijali życie religijne w ukryciu. Były to czasy, kiedy oficjalnie pracujący ksiądz musiał mieć zgodę na pracę od partii. Wystarczyło, że taki kapłan za bardzo przyciągał młodzież, aby tę zgodę stracić. To z kolei oznaczało groźbę aresztowania i wyroku więzienia za jakąkolwiek działalność.

Halík wiedział, że nie ma szans w tym systemie politycznym na normalne święcenia kapłańskie. Dlatego w podziemiu, z grupą katolickich duchownych i świeckich intelektualistów spotykali się do

mowych seminariach samokształcących, wydawali tajne czasopisma i powielali książki, tajnie udzielali też sakramentów.

W komunistycznej Czechosłowacji nawet udzielenie ostatniego namaszczenia umierającemu w szpitalu było łamaniem prawa. Działający w podziemiu księża, często w swetrze, udając przyjaciół, szepcząc na szpitalnej sali spowiadali i przygotowywali na ostatnią drogę konających katolików.

Środowisko podziemnego Kościoła towarzysko często splatało się ze środowiskiem opozycji politycznej. Halík tych ludzi znał, ale nigdy nie podpisał Karty 77. Zabraniały tego zasady przyjęte wewnątrz Kościoła Podziemnego. Czescy katolicy mieli w pamięci lata 60., kiedy całkiem realnie groził im brak duchownych. Zasady konspiracji były nieubłagane: członkom Kościoła Podziemnego nie wolno było angażować się w żadną działalność polityczną, bo ewentualna wpadka byłaby zagrożeniem dla ściśle utajnionej struktury Kościoła.

Już po upadku komunizmu, po otwarciu archiwów tajnej policji okazało się, że taktyka ta była skuteczna: tajniacy kilkakrotnie wzywali i przesłuchiwali Halíka z powodu jego kontaktów z opozycją i kardynałem Tomašiem, ale do końca nie wiedzieli, że mają do czynienia z tajemnie wyświęconym księdzem katolickim. Z charakterystyczną dla władzy manią prześladowczą podejrzewali, iż jest tajnym agentem jezuitów.

Studia teologiczne odbywał w prywatnych mieszkaniach, pod okiem najwybitniejszych przedstawicieli czeskiej inteligencji katolickiej. Święcenia przyjął jednak jesienią 1978 r. w Niemieckiej Republice Demokratycznej, w Erfurcie. Stało się to w tajnym obrzędzie w domowej kaplicy tamtejszego biskupa Hugo Aufderbecka. Halík wyjechał i wrócił do domu prywatnie, jako turysta.

Jeszcze przed wyjazdem był w mieszkaniu swojego spowiednika na całonocnej spowiedzi. Po rozgrzeszeniu, na stoliku w jadalni przygotowali mszę, ale zanim rozpoczęli, na chwilę włączyli radio, by posłuchać dziennika z Radia Watykańskiego. Był 16 października 1978 r. To wtedy usłyszeli, że papieżem wybrano biskupa z Krakowa, Karola Wojtyłę. „Potem poszedłem szybko do swojego



→ przyjaciela, który był nieco wcześniej tajnie wyświęcony w Krakowie. (...) Znałem od niego setki historyjek o oryginalnym, dzielnym i bardzo nonkonformistycznym arcybiskupie z Krakowa. Mój przyjaciel tej fantastycznej wiadomości dotąd nie słyszał, ale zareagował natychmiast: »Zawsze dla kardynała Wojtyły woziłem w prezencie z Moraw domowej produkcji calvados. Miałem jechać za miśsią, ale butelki już mu do Watykanu nie przemyce, więc wypijmy ją razem za jego zdrowie. Jesteśmy tak pijani z radości, że jedna flaszka już tu niewiele zmieni«. Kiedy wychodziłem, miałem ochotę napisać łotrzykowskie opowiadanie pod tytułem »Jak wypilem papieżowi gorzałkę«.

Halík na Hrad!

Święcenia w Erfurcie to nie był przypadek. W komunistycznej NRD Kościół katolicki działał jednak nieporównywalnie swobodniej niż w Czechosłowacji. Ponadto Halík jest wielbicielem niemieckiej teologii i duchowości, szczególnie Mistra Eckharta, a także mistyków hiszpańskich. To akurat bardzo czeskie: podkreśla bardzo dobitnie, że jest człowiekiem Zachodu, i religijnie, i kulturowo, i cywilizacyjnie. Do wschodnich inspiracji podchodzi z szacunkiem, ale nigdy nie traci świadomości, skąd sam pochodzi. A w czeskiej kulturze politycznej „katolik” znaczy prawie tyle samo co „Niemiec”, a nawet – jeśli mówią ekstremiści – „niemiecki element w słowiańskim ciele narodu”.

W Niemczech powstają jego teksty i książki, które w Polsce, Czechach, na Słowacji, w Niemczech i Stanach Zjednoczonych stają się bestsellerami. Halík ma gdzieś w Nadrenii zaprzyjaźniony klasztor, który nazywa pustelnią. Każdego roku zamyka się tam na kilka tygodni, oddając się tylko dwóm czynnościom: pisaniu i modlitwie. W przypływie szczerości wyznał kiedyś, że część jego tekstów powstaje dosłownie na klęczkach, przed wystawionym na ołtarzu Najświętszym Sakramentem. Ale gdzie to się dzieje – tego nie wie nikt.

W Pradze mieszka w starej kamienicy, przy jednej z uliczek blisko mostu Karola. Kiedy w ciemnym garniturze idzie do pracy, nie sposób rozpoznać w nim księdza. To też bardzo czeskie – księża pra-

cują tam często w cywilnych zawodach, nie stanowią odrębnej, wyizolowanej klasy. Praca duszpasterska to niedziele i czas poza pracą.

Tomáš Halík od 30 lat prowadzi duszpasterstwo akademickie w kościele Najświętszego Salwatora, z którego wręcz wchodzi się na most Karola. W kraju, w którym katolików jest 10 proc., jest to jeden z nielicznych nabitych po brzegi kościołów, w dodatku zdecydowana większość to młodzież.

Halík z nimi rozmawia, spowiada, głosi kazania, udziela ślubów, chrzci – jak każdy normalny ksiądz.

W ciągu 30 lat jego działalności do chrztu i bierzmowania przystąpiło prawie 1500 osób, przy czym w dużej mierze byli to ludzie dorośli, wychowani w nieregulacyjnych rodzinach, bez kontaktu z jakąkolwiek formą katolickiej tradycji.

Polakowi może się wydawać, że to niewiele. Tomáš Halík, człowiek funkcjonujący od zawsze w Kościele mniejszości-

wym, uważa, że to sytuacja naturalna: jeśli Kościół ma być zaczynem, to przecież zaczynu jest ledwie parę kropel w wielokrotnie większej ilości mąki. A jednak to ten zaczyn decyduje, że mąka staje się chlebem.

Czeską specyfiką jest też jego rola w życiu publicznym. Tomáš Halík od pierwszych dni wolności wypowiada się na tematy publiczne, a nawet wręcz polityczne. Bywa bardzo ostry w ocenach i nie waha się krytykować po nazwisku. Prezydenta Miloša Zemana nazwał klaunem, o nim i jego prawniczym *alter ego* Václavie Klausie powiedział: „znerwicowani, zgorzkniali starcy”. Wdaje się w publiczne spory z czeskimi populistami, ekstremistami, rasistami i jednocześnie jest przez te kręgi z wyjątkową nienawiścią atakowany. Już w połowie lat 90. można było od grup starszych wiekiem aktywistów na ulicach Pragi dostać ulotki, w których opisywano go jako massona i germanofila.

Halík potrafi takie teksty publicznie cytować i wyśmiewać, ale nie da się nie zauważyć, że publiczna działalność go pochłania. Kiedy po roku 2000 było już wiadomo, że za kilka lat skończy się ostatnia kadencja prezydenta Václava Havla, ktoś rzucił pomysł: „Wybermy na prezydenta Halíka!”. Sam Halík nie odrzucił tych spekulacji, a nawet wspominał, że na czas urzędowania zwierzchnicy mogliby go zawiesić w kapłaństwie.

Ostatnio o nim coraz głośniejsze, bo w 2017 r. wraz z wiedeńskim profesorem Paulem M. Zulehnerem zainicjował petycję poparcia dla papieża Franciszka, wobec ataków na głowę Kościoła płynących coraz częściej z jego wnętrza. Petycję podpisały dziesiątki tysięcy katolików na całym świecie, także w Polsce. Pisał też ostro o nieoficjalnej kościelnej Grupie Wyszehradzkiej, która zaprzecza papieżowi, uprawiając „katolicyzm bez chrześcijaństwa”.

Nieco słabiej – a szkoda! – rezonują jego wypowiedzi na temat sytuacji, w jakiej żyje: katolickiego księdza w mocno niekatolickim społeczeństwie. Halík nie mówi tego wprost, ale z jego wypowiedzi można wywnioskować, że uważa tę sytuację za rodzaj laboratorium przyszłości. I zapewnia, że nie powinniśmy się tej sytuacji bać, mając w pamięci przypowieść o zaczynie. © TOMASZ MAĆKOWIAK

KS. PROF. TOMÁŠ HALÍK

jest filozofem, teologiem i socjologiem. Po ukończeniu studiów w komunistycznej Czechosłowacji odmówiono mu prawa do pracy naukowej – został terapeutą środowiskowym osób uzależnionych. W 1978 r. tajnie wyświęcony na księdza, do 1989 r. jedna z najważniejszych postaci podziemnego Kościoła w Czechach, później m.in. doradca prezydenta Václava Havla, wykładowca Oksfordu, Cambridge i Uniwersytetu Karola, duszpasterz akademicki. Laureat Nagrody Templetona. Autor kilkudziesięciu książek, tłumaczonych także na język polski, m.in. „Co nie jest chwiejne, jest nietrwałe”, „Przemówić do Zacheusza” i „Nocy spowiednika” oraz „Cierpliwości wobec Boga. Spotkania wiary z niewiarą”.



MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”

Poza słowami

MICHAŁ OKOŃSKI

Barbarze Engelking nie chodzi o nasze samopoczucie. Nie chodzi też o „wizerunek Polski”. Chodzi o empatię wobec tych, którzy zginęli. O otwartą postawę wobec ich cierpienia. I mówienie o nim tak, by ludzie byli zawsze ważniejsi od liczb.

TEGO SIĘ CHYBA NIE DA POWIEDZIEĆ prościej: Zagłada Żydów, choć wydarzyła się na polskiej ziemi i w polskiej obecności, w świadomości historycznej przeważającej części Polaków nie należy do historii Polski, ani też nie stanowi części polskiego losu. „Uważamy, że należy to zmieniać” – napisali członkowie Centrum Badań nad Zagładą Żydów w deklaracji założycielskiej. I od dwudziestu blisko lat, znosząc niejeden atak i niejedno oskarżenie, zmieniają.

Zgrozy całej nam nikt nie opowie

Zaznaczmy na wstępie: kwestia roli Polaków w Zagładzie nie jest tematem tekstu. Pytanie, co mają z tą historią zrobić dzieci czy wnuki świadków (albo sprawców), jest oczywiście ważne, trudno też lekceważyć znaczenie udzielanych na nie odpowiedzi np. dla polskiej polityki wewnętrznej i międzynarodowej. Zapewne istotne są także – choć z góry skazane na niepowodzenie – próby ustalenia dokładnej liczby tych żydowskich obywateli II Rzeczypospolitej, którzy zostali zamordowani przez swoich polskich współobywateli albo zginęli na skutek ich donosu.

Mimo wszystko są to jednak sprawy drugorzędne, bo przenoszące na dalszy plan tej historii tych, którzy powinni pozostać w centrum: ofiary. To ich losem – mówi Barbara Engelking, kierująca Centrum Badań nad Zagładą Żydów – powinniśmy się w pierwszym rzędzie zajmować, to im starać się przywrócić podmiotowość. Imiona, nazwiska, życiorysy, twarze.

„Jednej rzeczy pytam się zawsze męża, w jaki sposób my Żydzi się dowiemy prawdę, jak takie akcje lub strzelanina oddzielnie odbywały się – pisała w 1943 r. ukrywająca się w Woli Komborskiej pod Krosnem Fela Fischbein, słysząc o mordowanych w okolicy rodakach. – Nigdy nie będziemy tego wiedzieli dokładnie, tylko z opowiadania Polaków. (...) Zgrozy całej nam nikt nie opowie, nieboszczyk z tamtego świata nie potrafi gadać. Tak to będzie tylko, co Polacy będą opowiadali. To jest jedyne źródło”.



Sny jako źródło badań

→ Fela Fischbein nie miała racji: wiedzy o Holokaucie możemy szukać nie tylko w opowiadaniach Polaków, a członkowie Centrum Badań nad Zagładą Żydów z nowatorskiego podejścia do źródeł uczynili swój znak rozpoznawczy. Nieprzypadkowo jeden z najbardziej poruszających, a zarazem najbardziej inspirujących tekstów będącej psycholożką i socjolożką prof. Engelking nosi tytuł „Sny jako źródło badań nad Zagładą”.

„Jeżeli uznamy, że Holokaust był doświadczeniem wyłącznie historycznym, oddajmy go historykom – mówiła o tym przed laty w wywiadzie dla „Tygodnika”. – Niech stwierdzą, kto podjął decyzję, kto układał rozkład jazdy pociągów do Auschwitz, kto był pasażerem, a kto maszynistą. Pytanie, czy jak już poznamy te wszystkie detale, zrozumiemy coś więcej?”.

Wiedzy o Zagładzie można więc szukać w dokumentach niemieckich i w meldunkach polskiego podziemia, w aktach toczonych po wojnie procesów, w archiwach gminnych i – na ogół zatrzęsniętych na głucho – kościelnych. Obcuje ze wszystkimi tego rodzaju dokumentami, przestrzega prof. Engelking we wprowadzeniu do książki „Jest taki piękny słoneczny dzień...”, trzeba jednak „próbować nie stracić z pola widzenia ludzkiego wymiaru egzystencji i cierpienia, nie redukować ofiar do liczb”.

W pierwszym rzędzie należy słuchać Ocalałych.

Czytać i nagrywać ich relacje. Oraz oddawać głos tym, którzy ocalić się nie zdołali, a przecież także zostawili po sobie dzienniki czy listy. Nie spiesząc się, wracając po wielokroć do tych samych tekstów, aż odsłonią „odpowiedzi na pytania, które dotychczas nie przyszły nam do głowy”. I cały czas pamiętając o tych, którzy żadnego świadectwa nie zostawili, np. o setkach tysięcy ortodoksyjnych Żydów niemających szans na ocalenie, często nieznających polskiego, niegodzących się na zmianę wyglądu czy stylu życia, bo wierność Bogu była dla nich ważniejsza. „Cóż za straszne nieporozumienie, że o takich ludziach mówi się: »szli na śmierć jak barany«. Oni szli z godnością i wiarą, przekonani, że robią słusznie” – mówi Barbara Engelking.

Numerek na życie

„Holokaust – opowiadała Tygodnikowi – to doświadczenie, które mieści w sobie każde ludzkie przeżycie i zachowanie, od lojalności, solidarności, nieprawdopodobnej miłości i poświęcenia, do podłości i zdrady. Wszystko straszliwie zagęszczone, ciężkie do udźwignięcia”. Pytaliśmy ją wtedy o bezradność kogoś, kto chciałby się w to doświadczenie wczuć i używa w związku z tym dostępnych mu słów: „trauma”, „inny”, „wykluczony”, zderzając się w końcu z poczuciem, że one niewiele opisują.

„Nie ma i nie będzie słów, którymi można by to doświadczenie opisać. Wdzieli to już ci, którzy w czasie wojny cierpieli w gettach, a potem siedzieli za szafami, byli zastrzeleni w łóżkach albo ukryci w jakichś leśnych norach – tłumaczyła. – Ale bez słów też można wiele wyrazić. Jeśli się uważnie czyta relacje, można sporo zrozumieć z tego, co się znajduje pomiędzy słowami. Wiem też z licznych rozmów z Ocalałymi, że bardzo dobrym środkiem komunikacji bywa milczenie”.

„Każdy świat odmienny od naszego opisywać można tylko w kategoriach jego własnego języka, który ów świat współtworzy i kształtuje” – zastrzegła we wstępie do swojej pierwszej książki, wydanej w 1993 r. „Na łące popiołów” i zawierającej właśnie rozmowy z Ocalałymi. O tamtych czasach trzeba więc mówić językiem, którego słowami kluczami są: szpera, akcja wysiedleńcza, szopy, Judenrat, numerki na życie, Sonderkommando. Także szmalcownik.

„Pracowałem wtedy w szpitalu – cytowała jedną z relacji. – Pamiętam taką scenę, jak młody lekarz, przyszedłszy do szpitala, pokazał nam swój numerki na życie. Miał tylko jeden. »Panowie – matka czy żona?«” – zapytał”.

Nieprawdą jest, nie spala się ludzi

Milczenie, o którym wspomniała, wybrzmiewa w jej tekstach. Chciałoby się, żeby wybrzmiało też po cytacie z zapisków Mordka Breibarta, który wyskoczył z pociągu do Treblinki i ukrywał się w dziurze pod stodołą w Nowej Wsi, a w 1943 r. zanotował taki oto sen: „W nocy tu kiedyś widziałem dziadka i babcię dziadek tak strasznie płakał całą

noc widziałem tylko starych ludzi widziałem jak ich prowadzono słyszałem jak strzelano widziałem ich blade twarze widziałem i tatusia stał przed dziadkiem słyszałem jak mówił do niego nieprawdą jest nie spala się ludzi a dziadek tak płakał całą noc tak strasznie się męczyłem”.

W niedawnym wywiadzie dla „Krytyki Politycznej” prof. Engelking opowiedziała o Michale Berwergu, warszawiaku, który mieszkał w kamienicy przy Garwolińskiej ze swoją partnerką Polką i trójką dzieci. Ktoś z sąsiadów na niego doniósł, więc trafił do getta, w trakcie akcji wysiedleńczej uciekł jednak i wrócił do rodziny. Mieszkańcy kamienicy uznali, że im zagraża, i zażądali, żeby odszedł, zniknął więc na parę dni, ale nie miał dokąd pójść. Wrócił i się powiesił, jednak jeden z sąsiadów odciął go. Znow zniknął na parę dni, znow wrócił, znow próbował się powiesić i znow został odcięty przez sąsiada, aż wreszcie ktoś wezwał Niemców i go zabrali.

Zeznająca w powojennym procesie partnerka Berwerga powiedziała sądowi, że po ucieczce z getta „nie wychodził z domu, był przygnębiony, niewiele mówił”. „Co on przeżył w getcie, co tam zobaczył, co tak na niego wpłynęło, że »właściwie nic już nie mówił«?” – pyta Barbara Engelking. A na sugestię, że może opisać jego historię, odpowiada: „Przecież ja nie wiem, co on przeżył. Skąd mam wiedzieć? Dla mnie jest ważne to, że milczał. Przeszedł takie doświadczenie, taki rodzaj spotkania ze złem, które powoduje, że człowiek milknie”.

W rozmowie z „Tygodnikiem” przyznała, że zdarzyło się jej kiedyś rozplakać przed grupą studentów. Że poczuła się tym zawstydzona i uznała, że taka emocjonalność stanowi dyshonor dla nauczyciela akademickiego. Potem jednak powiedziała studentom, że nad Holokaustem trzeba płakać; że to naturalna reakcja na taką kumulację zła. „Łzy są wyrazem współczucia dla ich osamotnienia i cierpienia, są też przejawem naszej bezradności”.

Wydawało mi się, że coś rozumiem

Czyli tego doświadczenia nie da się ani zrozumieć, ani opowiedzieć? Kiedy dziennikarze „Krytyki Politycznej” do-



pytywali o jakieś próby definicji zawarte w „Na łące popiołów”, przyznawała się do pychy: „Wymyślałam jakieś terminy, wydawało mi się, że coś rozumiem. Szukałam jakichś znaczeń w Zagładzie, szukałam sensu, porządku, a tymczasem to mnie całkowicie przerastało”.

Może dlatego właśnie kilkanaście lat później podjęła się analizy Zagładowych snów. „Być może właśnie sny z okresu Holokaustu – oraz empatia ich odbiorców – mogą stanowić sposób na zbliżenie się do niewyrażalnego” – pisała.

Trudno tu postawić kropkę. Umysł się broni, wciąż szukając jakichś ukrytych znaczeń i metafor. Sam usiłowałem wydobyć przed laty z książek wydawanych przez Centrum nie tylko historię Jasia i Małgosi (gospodarz wyprowadza żydowskie dzieci do lasu i tam je porzuca), ale także opowieść ewangeliczną, w której jakaś chłopka ukrywa Reginę Kempieńską z dzieckiem w stajence, w żłóbku na sianie. W swoim „Betlejem” Regina z córeczką mogą zostać ledwie tydzień (prof. Engelking wykreśliłaby pewnie słowo „ledwie” – jej empatia obejmuje także tych, których nie stać było na heroizm pomagania ściganym, nie razi ją też np. pomoc za pieniądze, o ile pomagający wywiązywał się z umowy).

Zapraǳiałem tak mocno żyć

Tak, przy każdej kolejnej lekturze szukam jasnych punktów: opowieści o bliskości, miłości, przywiązaniu. Czy listy Lutka Orenbacha, pisane z getta w Tomaszowie do Edith Blau, nie stanowią dowodu, że można przezwyciężyć terror i strach? „Sny mówią nam także o tym, że miłość jest silniejsza niż śmierć – nie przestajemy kochać kogoś tylko dlatego, że nie żyje” – napisała prof. Engelking. Jest też autorką „Tajemnicy Hesi”, tekstu o miłości w warszawskim getcie, a cytowane w nim listy Liljany Lipes i Ludwika Schönfelda mogłyby wyjść spod pióra każdego zakochanego nastolatka na świecie. „Teraz zapraǳiałem tak mocno żyć, jak jeszcze nigdy. Moje serce biło teraz tak szybko, to była wielka miłość, co najdziwniejsze, że rozszalała się w poczekalni rzeźni” – przywołuje wspomnienia Mietka Pachtera o spotkaniu z Dziunią, w budynku przy Umschlagplatzu, gdzie czekali na podstawienie wagonów do Tre-

blinku (jemu udało się przeżyć, ją zagazowano następną nocą).

Z drugiej strony jednak w jej tekstach znajdziemy tak wiele opisów doświadczenia „wyrzucenia poza nawias człowieczeństwa, pozbawienia prawa przynależenia do gatunku ludzkiego i prawa do braterstwa”, że trudno o nadzieję. W rozmowie mówi wprost: zło jest silniejsze od dobra, oto czego dowiaduje się człowiek z badań nad Zagładą. „Często ludzie, szczególnie młodzi, zaczynający zajmować się Zagładą, oczekują, że jest w niej ja-

kaś mistagogia, wtajemniczenie – mówi. – Nie ma. Jedyna rzecz, jakiegoś człowieka się uczy, to jest cierpienie. I zrozumienie, że to cierpienie było po nic. Jedni ludzie zadali je innym ludziom, a my zostaliśmy z tym cierpieniem, z pamięcią o nim. Oto cała tajemnica”. „Nic z Holokaustu nie wynikało, żadna lekcja, żadna przestroga, żadna nadzieja – dopowiada w innym momencie. – Nic. To jest cierpienie, które poszło na marne”.

No i co teraz? Jak żyć w czasach, w których jeszcze – jak zauważyła szefowa Centrum Badań nad Zagładą Żydów – „Holokaust robi się strasznie przegadany”? Jak nie mnożyć wokół niego słów fałszywych, banalnych albo tanich, jak choćby te, które wypowiedział niedawno premier naszego rządu, o „setkach tysięcy Polaków, którzy ratowali Żydów w czasie drugiej Apokalipsy”? Jak pamiętać?

Troska to coś więcej niż pamięć

„Pamięć jest dziś odmieniana przez wszystkie przypadki – to słowo już nic nie znaczy. Potrzebujemy troski o Żydów, a to coś więcej niż pamięć. To żal, smutek, płkanie z kimś. Prawdziwą troskę okazuje przyjaciel, który jest przy nas w chwili rozpacz czy zamętu, trwa w ciszy, będąc bezradny w obliczu naszej żałoby czy cierpienia. Umie je udźwignąć, potrafi znieść własną niemoc i niezdolność uleczenia. Nie ucieka od bólu – po prostu jest blisko, jego milczenie oznacza: »nie rozumiem, nie wiem, co zrobić, ale jestem przy tobie«. Akceptuje, że cierpienie może pójść na marne, ale trzeba przy nim trwać” – mówi Barbara Engelking.

W zakończeniu „Tajemnicy Hesi” padają zdania Janusza Korczaka, zanotowane w dzienniku 21 lipca 1942 r., na dzień przed rozpoczęciem wywózki Żydów z warszawskiego getta do Treblinky: „Ciężka to rzecz urodzić się i nauczyć się żyć. Pozostaje mi o wiele łatwiejsze zadanie: umrzeć. Chciałbym umierać świadomie i przytomnie. Nie wiem, co powiedziałbym dzieciom na pożegnanie”.

„I ja nie chcę wiedzieć – jeszcze nie teraz – co Stary Doktor powiedział dzieciom na pożegnanie” – pisze Barbara Engelking. Bardzo za to „nie chcę wiedzieć”, a może bardziej za to „jeszcze nie teraz” dziękuję.

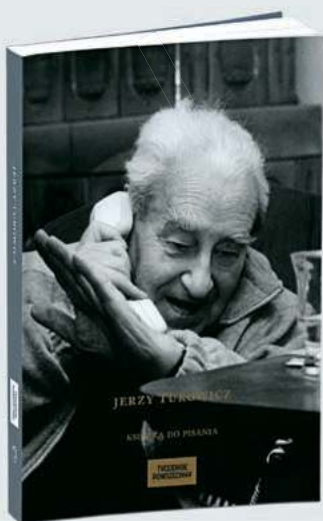
© © MICHAŁ OKOŃSKI

PROF. BARBARA ENGELKING

jest psycholożką i socjolożką, współzałożycielką i kierowniczką Centrum Badań nad Zagładą Żydów, działającego przy Instytucie Filozofii i Socjologii PAN; po śmierci Władysława Bartoszewskiego była też szefową Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej. Autorka i współautorka wielu książek, wśród których najważniejsze to „Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście”, „»szanowny panie gistapo«. Donosy do władz niemieckich w Warszawie i okolicach w latach 1940–1941”, „Jest taki piękny słoneczny dzień... Losy Żydów szukających ratunku na wsi polskiej 1942–1945”. Redaktorka i autorka wydawanych przez Centrum opracowań „Prowincja noc. Życie i zagłada Żydów w dystrykcie warszawskim”, „Klucze i kasa. O mieniu żydowskim w Polsce pod okupacją niemiecką i we wczesnych latach powojennych, 1939–1950” oraz „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski”. Edytorka wielu świadectw ofiar i ocalałych z Holokaustu.

weź, czytaj!

Zamów prenumeratę „Tygodnika Powszechnego” – tylko do 30 listopada 2019 w niższej cenie!



W związku z podwyżką cen wprowadzoną przez Poczta Polską jesteśmy zmuszeni do zmiany cennika prenumeraty „Tygodnika Powszechnego”. Do 30 listopada 2019 można skorzystać z cen wyszczególnionych poniżej i zamówić prenumeratę na następny wybrany okres (rok, półrocze lub kwartał). Nowe ceny zaczną obowiązywać 1 grudnia 2019 – od tego dnia wpłaty ze starymi, błędnymi kwotami nie zostaną przyjęte.

Przypominamy, że każda osoba czy instytucja, która zamówi prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego” na 2020 rok, otrzyma jubileuszowy prezent – „Jerzy Turowicz. Książka do pisania. 75 lat Tygodnika Powszechnego” – ilustrowany notes z archiwalnymi fotografiami i fragmentami tekstów wieloletniego redaktora naczelnego pisma (szczegóły obok).

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia**	300 zł	
Karta Dużej Rodziny***	300 zł	



PREZENT!

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	



PREZENT!

* CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ – ważny do 30.11.2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

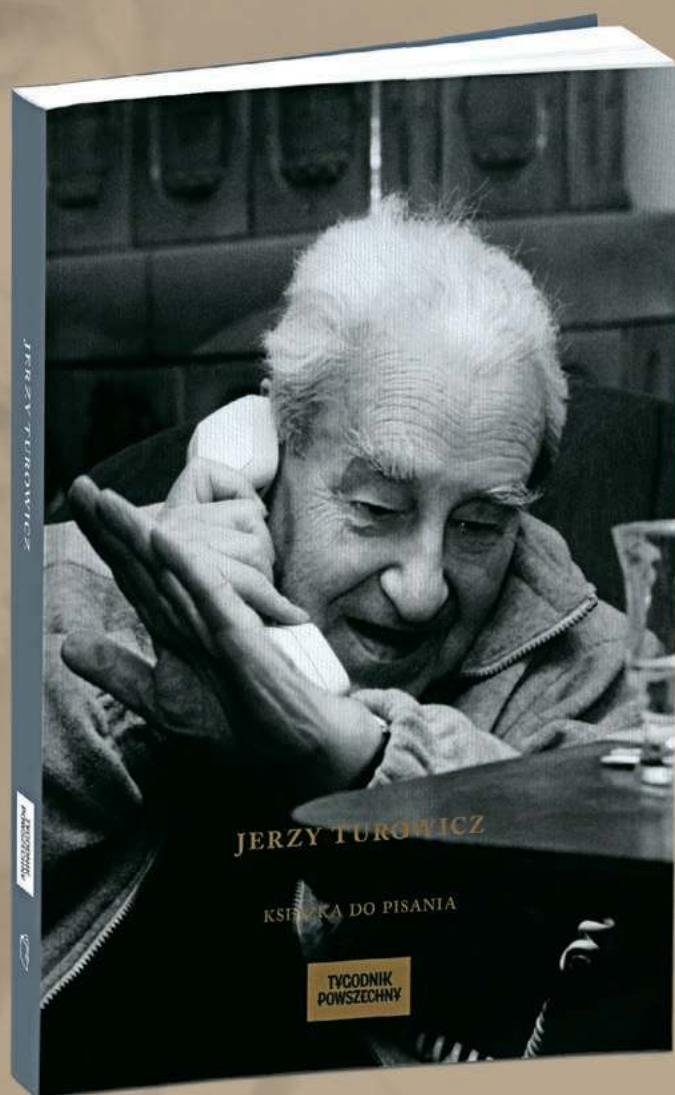
*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

W marcu 2020 r. świętujemy
75-lecie „Tygodnika Powszechnego”

Zaprenumeruj „Tygodnik Powszechny” i otrzymaj jubileuszowy prezent

„Jerzy Turowicz. Książka do pisania. 75 lat *Tygodnika Powszechnego*” – ilustrowany notes z archiwalnymi fotografiami i fragmentami tekstów wieloletniego redaktora naczelnego pisma.



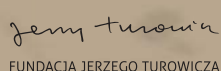
1. **JUŻ TERAZ** zamów lub przedłuż dowolną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego” – roczną, półroczną lub kwartalną.
2. Możesz to zrobić przez stronę powszech.net/prenumeruj lub poprzez wpłatę na konto czy opłacenie w Dziale Prenumeraty „TP” – cennik i zasady szczegółowe opisane są na sąsiedniej stronie.
3. Na przełomie stycznia i lutego 2020 r. otrzymasz „Książkę do pisania” – bez dodatkowych kosztów przesyłki.

Książka jest dostępna wyłącznie w dystrybucji „Tygodnika Powszechnego” – jest to limitowana oferta tylko dla obecnych i nowych Prenumeratorów i Prenumeratorek.

WYDAWCA:



PARTNERZY WYDANIA:



NAJSILNIEJ WIBRUJĄCE „R”

Ostrzegam od razu: to będzie tekst pełen soczystych bluzgów.

Czyste mięso, bez gwiazdek, kropek i zamienników.

Inaczej trudno opowiedzieć o tym, co przekleństwa ujawniają o naszym umyśle.

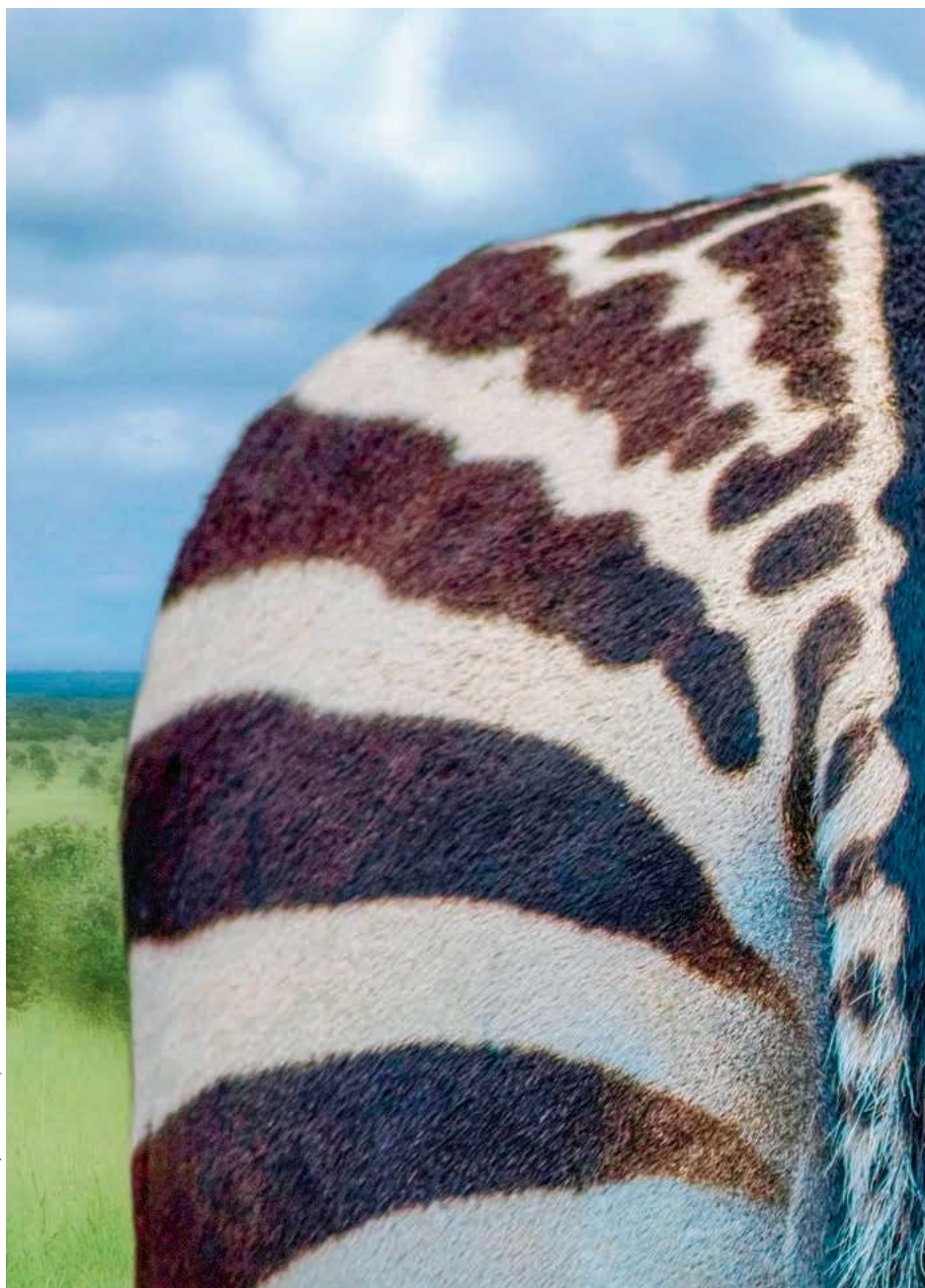
ZUZANNA LAMŻA

KIEDY MOI STUDENCI PO RAZ KOLEJNY wykazują zupełne lekceważenie dla rodzaju rzeczownika hiszpańskiego, wyrzucając z siebie końcówki z taką dezynwolturą, jakby po polsku też było im obojętne, czy mamy *ten stół* czy *tę stół*, sięgam po sprawdzony dydaktycznie przykład z życia. „Szanowni państwo – zaczynam poważnie – rodzaj rzeczownika może być dla państwa sprawą bardzo istotną z praktycznego punktu widzenia. W sklepie spożywczym na przykład. *El pollo* znaczy »kurczak«. *La polla* znaczy »kutas«”.

Zawsze niezmiernie bawi mnie, że ci sami ludzie, którzy jeszcze kwadrans wcześniej w trakcie przerwy między zajęciami bez mrugnięcia okiem stwierdzali, że „tę kobietę chyba do reszty popierdoliło”, słysząc laboratoryjnie wypreparowane z kontekstu słowo *kutas*, pąsowieją jak bohaterka XIX-wiecznej powieści.

Podniesiony puls, spłycony oddech

Choć znam kilka innych sposobów, żeby podnieść studentom puls, sięgnięcie po wulgaryzm jest jednym z najbardziej efektywnych i niezawodnych. Nie ma w tym zresztą nic dziwnego – od dawna wiadomo, że przekleństwa wzbudzają najsilniejszą mierzalną reakcję fizjologiczną spośród wszystkich słów: zetknięcie z nimi automatycznie przyspiesza pracę serca, spłyca oddech i otwiera pory. Co więcej, dzieje się to nie tylko wtedy, gdy po uderzeniu się w palec sami je wypowiadamy lub zostajemy zmuszeni do ich wysłuchiwania w autobusie (według



JAN FIDLER / ALAMY STOCK PHOTO

raportu CBOS z 2013 r. – to w środkach transportu spotyka się z nimi 59 proc. ankietowanych). Jak dowodzą badania wykorzystujące reakcję skórno-galwaniczną (tę samą, na której bazuje wykrywacz kłamstw – bardziej wilgotna skóra lepiej przewodzi prąd), mimowolnie oblewamy się potem już na samą myśl, że nasze usta przez przypadek miałyby skalać niecenzuralny wyraz. Kiedy damy się uwieść grze pójówek i zamiast *chyży rój* przeczytamy... *rudowłosy członek*, nasz wewnętrzny cenzor z całej siły wciska hamulec – co w tym przypadku oznacza uaktywnienie obszaru mózgu zwanego prawym zakrętem czołowym dolnym, odpowiedzialnego za wstrzymywanie ruchu jeszcze przed jego rozpoczęciem.

Używanie wulgaryzmów nie wywołuje jednak w naszym organizmie wyłączanie paniki – czasem wręcz przeciwnie, daje nam siłę. Naukowo potwierdzono np. słuszność powszechnie panującego przekonania, że soczysta *kurwa mać!* rzucana po kopnięciu w krzesło ma działanie uśmierdzające – badani byli w stanie znacznie dłużej trzymać dłoń w lodowatej wodzie, jeśli mówili przy tym *gówno*, w porównaniu z przypadkiem neutralnym, gdy kazano im mówić *drewno*. W innym eksperymencie uczestnikom w różnym wieku kazano pedałowac na rowerku treningowym: wydolność tych, którzy przy tym klęli, była znacznie większa, zwiększała się także siła ich chwytu. Przekleństwa mogą ponadto pełnić swo-

istą funkcję katarsyczną – posługujemy się nimi, kiedy nie możemy poradzić sobie z wzbierającą w nas agresją, bywają więc czymś w rodzaju wentyla bezpieczeństwa. Ponoć już Freud twierdził, że „człowiek, który pierwszy cisnął obelgą zamiast kamienia, był twórcą cywilizacji”.

Kłopotliwe sąsiedztwo

Dlaczego tak przerażają nas i taką władzę nad nami mają akurat te słowa, które zwykło uważać się za semantycznie puste? Wszak według Macieja Grochowskiego, autora PWN-owskiego „Słownika polskich przekleństw i wulgaryzmów”, „przekleństwo to jednostka leksykalna, za pomocą której mówiący może w sposób spontaniczny ujawniać swoje emocje względem czegoś lub kogoś, nie przekazując żadnej informacji” (z wulgaryzmem mamy do czynienia, jeśli dodatkowo łamie tabu językowe). Amerykański psycholog Benjamin K. Bergen w „What the F.”, wydanej niedawno po polsku monografii na ten temat, wskazuje, że kluczem do rozwiązania tej zagadki może być właśnie bliskie pokrewieństwo bluzgów i emocji, bliskie – dodajmy – zupełnie dosłownie.

U większości z nas rejony mózgu odpowiedzialne za generowanie (ośrodek Broki) i rozumienie (ośrodek Wernickego) mowy intencjonalnej zlokalizowane są w lewej półkuli mózgu. Kiedy na skutek urazu czy choroby ulegają one uszkodzeniu, pacjenci mają trudności z wypowiadaniem się (afazja Broki) lub tworzą wypowiedzi brzmiące całkowicie poprawnie, ale pozbawione sensu (afazja Wernickego). Jednak nawet osoby, które niemal całkowicie utraciły zdolność mówienia – cierpiące na afazję globalną – często są w stanie posługiwać się tak zwaną mową automatyczną: wyrecytować dziecięcą wyliczankę, dokończyć dobrze znaną piosenkę, policzyć do dziesięciu. I zakląć. W chwilach wzburzenia i frustracji zupełnie poprawnie rzucają mięsem, choć poproszeni o to, nie potrafią powtórzyć tego samego słowa, które przed chwilą wypowiadali zupełnie spontanicznie. Znany jest nawet przypadek chorego, który prawidłowo artykułował przekleństwa pomimo braku całej lewej półkuli mózgu.

Jak to możliwe? Bergen stawia hipotezę, że mową automatyczną (w tym wulgaryzmami) zarządza inna ścieżka →



→ w mózgu, ewolucyjnie znacznie starsza od tej zajmującej się językiem intencjonalnym, przechodząca przez jądra podstawne. Te podkorowe struktury regulują i częściowo tłumią impulsy motoryczne wywołane przez emocje generowane w ośrodkach do nich przylegających: ciele migdałowatym, hipokampie czy przedniej korze zakrętu obręczy; zaburzenie ich funkcjonowania wiąże się zaś między innymi z zespołem Tourette'a.

Odruchowe przeklinanie miałyby więc powstawać w wyniku bezpośredniego dostępu do pradawnych części mózgu odpowiedzialnych za kierowanie emocjami, bez konieczności odwoływania się do mediacji ze strony ośrodków odpowiedzialnych za racjonalne i celowe planowanie.

Przekleństwa mają zatem kolejną szansę zabłysnąć jako przejaw wolności – do tej pory chętnie wciągali je na sztandary głosiciele potrzeby zerwania z poprawnością polityczną, teraz mogą stać się przyczynkiem w niekończącym się sporze natura *versus* kultura, wyrazem powrotu do naszych pierwotnych, zwierzęcych korzeni.

Pogląd taki odpowiada niewątpliwie powszechnym przekonaniom dotyczącym użycia niecenzuralnego języka. Według cytowanego raportu CBOS-u do przeklinania przyznaje się wprawdzie ośmiu na dziesięciu Polaków, ale 65 proc. zastrzega przy tym, że robi to wyłącznie w afekcie. Nieco inaczej „odruchowość” przekleństw rozumie natomiast janKominikant – wrocławsko-łódzki zespół badawczy stojący za wydanym w 2011 r. „Słownikiem polszczyzny rzeczywistej”. Tutaj jest ona emblematem negatywnie ocenianej *mindlessness*: komunikacji bezrefleksyjnej definiowanej w opozycji do *mindfulness*, czyli uważności.

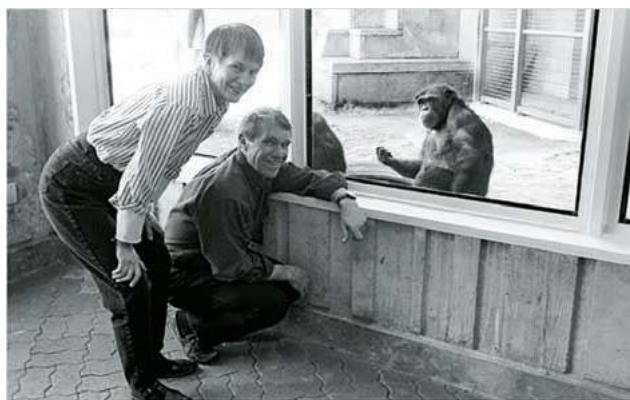
Być może to właśnie *mindlessness* – obok wtórnej oralności tego medium – tłumaczy oszałamiającą karierę wulgaryzmów w internecie. Jedną z cech komunikacji „bezmysłnej” jest bowiem zanik rozmowy rozumianej jako spójne następstwo wypowiedzi: każdy uczestnik aktu komunikacyjnego wyrzuca z siebie pojedyncze, zamknięte, niezwiązane ze sobą ani treściowo, ani gramatycznie kwestie, dążąc przy tym do nadania im jak najsilniejszego ładunku emocjonalnego i kom-

pletnie nie zważając na potrzeby – czy też w ogóle istnienie – drugiego. Podobna bezrefleksyjność jest również charakterystyczna dla komunikacji internetowej: tweety i komentarze pod postami na Facebooku rzadko bywają zaproszeniem do dyskusji.

Nie przy dzieciach!

Z tej perspektywy – jeśli przyjmiemy, że wulgaryzmy rzeczywiście są częścią języka w pewnym sensie najbliższą naszej zwierzęcej naturze – fakt stale ponawianych uporczywych prób ich instytucjonalnego stłumienia, ograniczenia i zohydzenia nabiera posmaku niemal orwellowskiej represji.

Zgodnie z Ustawą o języku polskim z 1999 r. jesteśmy zobowiązani przeciwdziałać wulgaryzacji języka, polskie prawo prasowe nakłada na dziennikarzy konieczność unikania przekleństw, według kodeksu wykroczeń zaś grzywna za używanie „słów nieprzyzwoitych” w miejscu publicznym może wynieść do 1500 zł. Mimo to próżno byłoby szukać jednoznacznej listy wyrażen, które należy wyrugować. Poza Rosją, gdzie słowa



Deborah i Roger Foutsowie z Washoe, 1995 r.

Przeklęte dziedziny

PRAWDOPODOBNIE nie ma języka, w którym nie pojawiają się przekleństwa – wliczając w to języki migowe – i całkiem możliwe, że w każdym z nich słowa uważane za wulgarne bądź łamiące tabu przyporządkować można do którejsz z czterech kategorii: wiążą się z religią czy *sacrum*, seksem,

wydalaniem lub inwektywami. Pierwsze wywodzą się z bluźnierstw, których przykładem jest m.in. użycie imion świętych w „świeckim” kontekście („Aj, Jezus, Maria!” – jak krzyczą komentatorzy piłkarscy). Inne przekleństwa odnoszą się do części ciała zaangażowanych w prokreację albo do

samego stosunku – analogicznie jest z defekacją i układem wydalniczym. Jeszcze inne używane są po to, by kogoś obrazić – mogą mieć jednak rozmaite historie i inspiracje. Benjamin Bergen w książce „What the F.” nazywa to zjawisko prawem *Rany boskie, jebany, zasrany, pedał*. Nie mamy zbyt wielu danych pochodzących z systematycznych badań (w tej dziedzinie nietatwo jest napisać wniosek o finansowanie, który nie zostanie odrzucony z oburzeniem...), ale wygląda na to, że różne grupy językowe w różnym stopniu czerpią z tych kategorii. W kanadyjskim francuskim – jak zauważa Bergen – najwięcej jest bluźnierstw, słowa takie jak *tabarnak* (tabernakulum) są uważane za znacznie bardziej wulgarne niż np. *fourte* (jebać). W rosyjskim czy kantońskim najcięższe przekleństwa nawiązują do sfe-

ry seksu; w niemieckim znaleźć można sporo wulgaryzmów z kategorii „zasranych”. Co ciekawe, wydaje się, że nie tylko ludzie sięgają po wulgaryzmy. Małpy uczone języka migowego, takie jak szympanse Washoe czy Lucy, podopieczne Rogera Foutsa, używały znaku Amerykańskiego Języka Migowego „brudny”, którym początkowo nazywały to, co robiły do nocnika. Zaczęły go jednak spontanicznie łączyć z innymi znakami, gdy chciały ujawnić swoją irytację: smycz, którą im zakładano na spacer, nazywały czasem „brudną (lub gównianą) liną”, a gdy zezłościły się na swojego opiekuna – odnosiły się do niego *per* „brudny (gówniany) Roger”. Wygląda więc na to, że także Washoe i Lucy konstruowały swoje wulgaryzmy zgodnie z tym samym prawem, które obowiązuje w przekleństwach ludzkich. © P Ł K

„niedopuszczalne w mediach” i wykluczone w 2014 r. przez Władimira Putina iście carskim gestem z literatury, teatru, filmu i muzyki określono nader dokładnie („nieprzyzwoite oznaczenie męskiego narządu płciowego, nieprzyzwoite oznaczenie żeńskiego narządu płciowego, nieprzyzwoite oznaczenie procesu kopulacji i nieprzyzwoite oznaczenie kobiety o rozpustnym zachowaniu, a także wszystkie jednostki językowe pochodzące z tych słów”, czyli znane nam skądinąd *chuj*, *pizda*, *jebał* i *blad*), w wielu krajach sytuacja wygląda podobnie. Nakładają one na swoich obywateli i nadawców ograniczenia w tym względzie, jednakże kryteria, jakimi odpowiednie instytucje państwowe posługują się przy uznawaniu danej treści za wulgarną, są w najlepszym razie niejasne. Najwyraźniej bluzg jaki jest, każdy widzi, choć lepiej byłoby nie oglądać go wcale.

Przede wszystkim zaś nie powinny oglądać go dzieci.

Przekonanie, że wulgarny język krzywdzi najmłodszych, jest bardzo głęboko zakorzenione w kulturze. Nawet ci, którzy klną nagminnie i z fantazją, zwykle starają się nie robić tego „przy dzieciach”. Nie chodzi jedynie o złamanie pewnych obowiązujących norm społecznych. Już w 2011 r. Amerykańska Akademia Pediatryczna ostrzegała, że przekleństwa torują drogę przemocy słownej i zwiększają poziom agresji u nieletnich, stępując przy tym ich normalne reakcje emocjonalne – innymi słowy, są dla nich szkodliwe.

Bergen po kolei obala wszystkie te twierdzenia. Argumentuje, że żadne z nich nie zostało wystarczająco poparte badaniami empirycznymi: nie ma przekonujących dowodów na to, że wulgaryzmy prowadzą do agresywnych zachowań czy zobojetnienia. Co więcej, ograniczenie ich użycia w domu nie sprawi, że nasze potomstwo nie posłuży się nimi w przedszkolu czy szkole. Dzieci nie są ani głuche, ani głupie.

Potwierdzenia w wynikach eksperymentów nie znajdują również inne powszechnie panujące negatywne przekonania dotyczące przekleństw. Użycie wulgaryzmów nie świadczy wcale – twierdzi Bergen – ani o ubogim słownictwie, ani o lenistwie umysłowym, ani o ogólnej niewydolności intelektualnej. Czy językoznawczy biją więc na alarm bezpodstawnie? Czy profesor Miodek przesadza, mówiąc o „bardzo nieprzyjemnej

Osoby z afazją często są
w stanie posługiwać się
mową automatyczną:
wyrecytować dziecięcą
wyliczankę, dokończyć dobrze
znaną piosenkę,
policzyć do dziesięciu.
I zakląć.

i niepokojącej sytuacji językowo-stylistycznej w Polsce” czy też, mniej eufemistycznie, o „przerazającej fali wulgarności i schamienia językowego”? Czy rzeczywiście mamy tu do czynienia jedynie z kulturowym tabu i tak naprawdę wszystkie „brzydkie” wyrazy są zasadniczo niewinne?

Badania pokazują, że istnieje namacalna granica, po przekroczeniu której słowo może wyrządzić faktyczną krzywdę. Nie biegnie ona jednak między *bulwa nać* a *kurwa mać*, lecz między *O, kurwa!* a *Ty kurwo!* Wulgarnie inwektywy nie tylko obrażają tych, do których są skierowane – sprawiają też, że osoby postronne stawiają się w opozycji do oczernianej grupy i łatwiej jest im dyskryminować jej członków. Obelgi, zarówno te „zezwierzęcające” (*Ty suko!*), jak i te uprzedmiotawiające (*Jesteś pizdą!*) są skutecznym i potężnym narzędziem dehumanizacji. Okazuje się, że od znieważanych ludzi odruchowo dystansujemy się zresztą również zupełnie dosłownie. Uczestnikom jednego z eksperymentów przez ułamek sekundy – zbyt krótko, by byli je w stanie świadomie przeczytać – wyświetlano jedno z trzech słów: *gej*, *pedał* lub *dupka*. Następnie proszono ich o ustawienie krzeseł dla siebie i Marka, przedstawiciela uczelnianej społeczności homoseksualnej, z którym mieli rozmawiać. Osoby torowane podprogowo *pedałem* siadały o 10 cm dalej od rzekomo geja.

Lizanie rany

Skrajny przykład amerykańskiej fobii dotyczącej *the N-word* (Słowa-na-N), którego w Detroit urządzono nawet oficjalny pochówek (w kondukcje pogrzebowym szedł burmistrz miasta), pokazuje jednak nieefektywność rozwiązań

dążących do delegalizacji języka. Podczas gdy niektórzy przedstawiciele społeczeństwa USA są karani zwolnieniem z pracy nawet za posłużenie się wyrazem ledwie podobnym do *nigger* (jak *niggardly*, „skąpo”, którego użycie doprowadziło do dymisji asystenta burmistrza Waszyngtonu), inni, należący do określanej nim grupy (czyli Afroamerykanie) i posługujący się nim na co dzień, uważają próby zakazania go za „niemal rasistowskie”. Nawet tak zaciekły przeciwnik bluzgów jak profesor Miodek przyznaje, że represjonowanie mowy nie jest skuteczne, bo „za język karać nie można”. Bergen dopowiada, że owszem, można, czasem bardzo dotkliwie, ale zupełnie mija się to z celem – to właśnie tabuizowanie i arbitralne ograniczanie zasięgu wulgaryzmów jest jednym ze źródeł ich potęgi. Według profesora Bralczyka „potępienie wulgaryzmów zwiększa zainteresowanie nimi”. Czynnie tłumiąc przekleństwa, zachowujemy się więc jak pies, który zaognia sobie ranę, bezustannie ją liżąc.

Słowa się wycierają. Zakłęcia używane zbyt często i zbyt lekkomyślnie przestają działać. *Kiep*, niegdyś bardzo obelżywy i budzący oburzenie, dziś w najlepszym razie budzi uśmieszek, dla większości jednak jest już tylko niezrozumiałym archaizmem. Angielskie *sounds* i *swive* ustąpiły dobrze nam znanym *cunt* i *fuck*. Kiedy słów *shit* czy *zajebisty* użyto na antenie telewizji po raz pierwszy, przed odbiornikami zawrzało. Dziś stały się tak powszechne, że wielu nawet ich nie zauważa. Tolerancja na dosadny język wzrosła, klniemy dużo i coraz bardziej otwarcie – mięsem rzucają publicyści i politycy, lekarze i profesorowie wyższych uczelni. *Kurwa* jest na ustach wszystkich.

Może więc jednak warto ograniczyć przeklinanie? Nie ze względu na mieszczańską moralność czy napomnienia (odwołujących się do chyba nieco dziś anachronicznej i coraz bardziej obciążonej „elitarności”) autorytetów, lecz... z miłości do języka? Byłoby szkoda, gdyby najsilniej wibrujące r w języku polskim straciło swoją moc.

© ZUZANNA ŁAMŻA

Autorka jest filologką hiszpańską, pracuje w Zakładzie Badań Iberyjskich i Latinoamerykańskich na Uniwersytecie Śląskim. Książka Benjamina Bergena „What the F.” ukazała się w jej tłumaczeniu nakładem wydawnictwa Copernicus Center Press.



OBYWATEL CZYTELNIK

RYSZARD KOZIOŁEK, PISARZ I LITERATUROZNAWCA:

Sami sobie z naszym codziennym gadaniem nie wystarczamy.
To powieści potrafią zintegrować globalną wiedzę o świecie
i nasz indywidualny los.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Co Pan sobie pomyślał, kiedy gruchnęła wieść o Noblu dla Tokarczuk?

RYSZARD KOZIOŁEK: Poczułem spokojną radość. Jej nazwisko powtarzało się od tygodni na noblowskiej giełdzie i to na bardzo wysokiej pozycji. Już wtedy pomyślałem, że taki werdykt ucieszyłby wiele osób na świecie, rozczarowanych aferami i skandalami toczącymi Akademię Szwedzką. Kompromitacja sprzed dwóch lat była ogromna i obawiałem się, że odbudowywanie rangi i zaufania do tej instytucji zajmie dużo czasu. Nie, nie byłem zaskoczony, również z tego powodu, że tydzień przed werdyktem „Tygodnik” zamówił u mnie tekst na tę okoliczność.

To jasne. Ale czy wybór Tokarczuk pomógł samej Nagrodzie?

Tak. Można nawet powiedzieć, że nadszła reputacja jury sprawiła, że Nobel literacki potrzebował takiej pisarki; jakby jasność i szczodra różnorodność jej literatury usunęły nieco cień, który na Nagrodę rzuciły postęпки kilku członków Akademii.

RYSZARD KOZIOŁEK (ur. 1966) jest pisarzem, literaturoznawcą, wykładowcą akademickim związanym z Uniwersytetem Śląskim, stałym współpracownikiem „Tygodnika Powszechnego”. Właśnie ukazała się jego nowa książka eseistyczna „Wiele tytułów”.

Większość czytelników – poza tymi, którzy nie doczytują jej książek do końca – przyjęła decyzję entuzjastycznie jako oczywistą i słuszną. Jej proza ma w sobie wszystko, czego oczekujemy od literatury nagradzanej najważniejszymi wyróżnieniami. Mówi o sprawach istotnych, jest świetnie napisana i do tego powszechnie czytana, co przecież wcale nie jest oczywiste, jeśli przypomnimy sobie nazwiska wielu laureatów, często nieznane nawet literaturoznawcom. W tym przypadku głosy czytelników i wielu krytyków literackich spotkały się szczęśliwie z głosami członków Akademii Szwedzkiej.

Dlaczego właściwie Nobel literacki jest taki ważny?

Rozmyślałem o tym sporo, kiedy Nagrodę otrzymał Bob Dylan, który pogrywał sobie z członkami Akademii, a nawet chyba świadomie ich drażnił. W końcu jednak spełnił wymagania i Nobla przyjął. Długo nie rozumiałem jego zachowania, teraz jednak myślę, że dał „rock-and-rollową” nauczkę sprzedajnym ludziom, ale jednocześnie oddał hołd Nagrodzie, której ponadstuletni autorytet jest czymś dużo większym niż pojedyncze, czasem nietrafione decyzje jej administratorów.

Wyjątkowość tej nagrody wynika z faktu, że Alfred Nobel umieścił literaturę w szeregu najważniejszych dla ludzkości dyscyplin. Wynika to wprost z przekonania, że literatura i nauka wspólnie objaśniają nam, jaki jest świat i żyjący

w nim człowiek. To jest – moim zdaniem – fundament autorytetu Nagrody Nobla w dziedzinie literatury, którego ranga i wymowa będą zawsze większe od kontrowersji wokół niektórych werdyktów.

Pan, u którego kupuję masło i sery na targowisku, przywitał mnie dzień po ogłoszeniu werdyktu uśmiechem i słowami: „No to mamy Nobla”. Po czym dodał: „Ja co prawda czytam tylko gazety, książek nie, ale cieszę się bardzo”. Do nas, ludzi zawodowo pracujących przy literaturze należy, aby tę euforię przekuć w coś większego niż kilkutgodniowy karnawał czytelniczy.

To po co nam literatura?

Po to, żeby umieć żyć z innymi w demokratycznym społeczeństwie, gdzie nikt nie ma ostatecznej racji, a sprawy, o które się spieramy, są wieloznaczne, czyli dyskusyjne. Ten, kto chce nadać ostateczne i jedyne znaczenie słowom takim jak: wolność, Bóg, życie, prawo, Polak, kobieta, mężczyzna i innym, ten chce być panem języka i kontrolować jego używanie. Mówiąc inaczej – pragnie tyranii. Tymczasem w demokratycznym społeczeństwie znaczenie ważnych pojęć jest efektem negocyjacyjnego sporu.

Tylko literatura, jej czytanie, rozumienie i komentowanie przygotowują nas systematycznie, od najmłodszych lat, do życia w obrębie demokratycznej polityki wieloznaczności. Wszystkie inne przedmioty szkolne dążą do jednoznaczności, do wykrycia prawa, zasady, rozwiązania, słowem: szukają ostatecznego →

→ rozstrzygnięcia problemu. Nikt nie rozstrzygnie, co oznacza Chochół w „Weselu”. Dopóki jednak będziemy czytać dramat Wyspiańskiego, dopóty spierać się będziemy o znaczenie Chochóła, ćwicząc się tym samym w cywilizowanym sporze. A żeby to ćwiczenie mogło się udać, literatura najpierw musi mnie uwieść, czyli sprawić, żebym się emocjonalnie przejął i przyjął punkt widzenia, z którym w świecie pozaliterackim nie chcę mieć nic wspólnego. Za sprawą swojej atrakcyjności – tematycznej, fabularnej, językowej – opowieść lub wiersz kapują nas na moment dla swojej sprawy.

Z tym że nie musi to być wcale dobra sprawa.

Niekoniecznie. Literatura pociąga nas nie tylko w dobrą stronę. Jak nie chce zapalić gauloisa po przeczytaniu „Gry w klasy” Cortáзара lub nie zapragnąć kieliszka calvadosu po lekturze „Łuku Triumfalnego” Remarque’a? Ale czy to robimy? No właśnie. To nie jest łatwo uchwytne proces. Nie musi być tak, że po przeczytaniu „Prowadź swój pług przez kości umarłych” Tokarczuk zostanę weganinem i będę protestował przeciwko polowaniom. A jednak nawet obca ideowo czy politycznie literatura zakrzywia ścieżki moich przekonań i przynajmniej w czasie lektury jestem mniej pewny siebie. Z tego krążenia między światem tekstowym i rzeczywistością rodzi się nowy podmiot – czytelnik, a według mojej koncepcji czytelnik-obywatel, którego życie publiczne, czyli rozmowa z innymi, zajmuje, ulega dzięki czytaniu systematycznemu ulepszaniu.

Zdarzają się autorzy skrajnie niebezpieczni. Miałem tak z Zacharem Prilepinem, genialnym pisarzem, a jednocześnie prokremlowskim neonazistą. Gdy się czyta jego powieści o wojnie w Czeczenii, można się z przerażeniem złapać na kibicowaniu złu.

Dlatego musimy zerwać ze szkolnym komunalem, że każde czytanie jest dobre. Literatura to najbardziej wyrafinowana forma organizacji języka. Nikt nie potrafi zrobić tego ze słowami, co może genialny pisarz, a że przy okazji przekonuje nas do spraw z gruntu złych, jest tego mrocznym rewersem.

Weźmy choćby ważnego dla mnie Sienkiewicza. W Trylogii kibicujemy

Literatura pociąga nas nie tylko w dobrą stronę.

Jak nie chce
zapalić gauloisa
po przeczytaniu
„Gry w klasy”?

Podbicie czy Wołodyjowskiemu, mimo że robią wiele potwornych rzeczy. Trzeba uczyć dziecięcych i młodych czytelników, jak za sprawą języka i wyobraźni powstaje w umyśle ten stan fascynacji ścinaniem głów czy nabijaniem ludzi na pal. Kluczowe jest zawsze myślenie krytyczne.

To zależy od samego tekstu, czy raczej sposobu, w jaki go czytamy?

Literatura jako byt niezależny nie istnieje. To, co rozumiem tu przez literaturę, czyli pewien język w działaniu społecznym, powstaje na styku trzech elementów – tekstu literackiego, kompetencji krytycznych czytelnika oraz jego indywidualnych doświadczeń, lekturowych i życiowych. Dlatego tak ważną rolę odgrywają instytucje literatury, które powinny dbać o nas, żebyśmy mieli co czytać oraz potrafili rozumieć i mówić o tym, co przeczytaliśmy. Jeśli ta edukacja się powiedzie, wtedy nasze życie podłączy się do literatury, jak do niezbędnej protezy ludzkiego istnienia, które potrzebuje sensu i piękna.

Istnieją jednak teksty, z których niewiele da się wyrzesać, nawet przy olbrzymich kompetencjach czytelników.

Bo ja wiem? Pewnie są takie, na które szkoda czasu, ale jeśli już je przeczytaliśmy albo są przerabiane w szkole, to całkiem sporo mogą nas nauczyć. Generalnie jednak trzeba trenować na tekstach wymagających i nie zrażać się naszym – uczniów – marudzeniem. Więcej okazji do ćwiczenia już nie będzie, chyba że ktoś zostanie zawodowcem, czyli filologiem.

Dobrze jeśli pisarz, który zbudował wielką publiczność, jak Olga Tokarczuk, poddaje ją kolejnym eksperymentom: zmienia temat, epokę, konwencję

gatunkową, styl, ryzykując nawet zerwanie porozumienia z odbiorcą, które to ryzyko autorka podjęła w „Księgach Jakubowych”. Co równie ważne, czytając taką powieść, zostajemy wciągnięci w spór z narratorem i postaciami. Jest ich tyle, że nigdy nie zgodzimy się ze wszystkimi. Ćwiczmy zatem dialog ze znakomitym sparingpartnerem, którego na dodatek jeszcze zaczynamy lubić. Załóżmy na chwilę, że pan reprezentuje zupełnie inny światopogląd niż ja i zaczynamy się kłócić o, powiedzmy, prawa zwierząt. Inaczej będzie on przebiegał, gdy moim partnerem będzie autor i jego książka, niż gdybyśmy, my dwaj, dyskutowali ze sobą w Sejmie czy nawet przy piwie.

Dlaczego?

Powodów jest mnóstwo, ale podam jeden rozstrzygający: nigdy nie słuchałbym pana dobrowolnie i w milczeniu przez kilkanaście godzin, czyli tyle, ile wymaga przeczytanie takiej powieści jak „Prowadź swój pług”...

Muszę się z tym zgodzić, ale przecież myślenie krytyczne nie pojawia się znikąd. Czy może się wyrobić od samego czytania?

Zależy, co czytamy. Jeżeli jesteśmy wystawieni tylko na jeden rodzaj podobnych do siebie opowieści – na przykład kryminałów, romansów czy fantasy, to zdobycie się na krytyczną perspektywę jest utrudnione. Ponieważ w ten sposób utwierdzamy się nie tylko w jednym rodzaju przyjemności, ale też w wizji świata sformatowanej gatunkowo w bardzo określony sposób. Trochę jakbyśmy należeli do jednej partii, z której programem zgadzamy się absolutnie. Trzeba więc zmieniać gatunki i style, choćby po to, aby w ich lustrze zobaczyć swoją ulubioną książkę.

Jak rozwijać te krytyczne kompetencje, nie będąc jednocześnie zawodowym czytelnikiem?

Nie ma lepszego ćwiczenia w krytycznej lekturze niż rozmowa z innymi czytelnikami. Każdy ma za sobą inne doświadczenia lekturowe, a dyskusja to okazja do ich wymiany. W ten sposób wychodzimy z klatki własnych wrażeń i przemyśleń, budując w sobie naturalne nastawienie literaturoznawcze. Lektura indywidualna, którą się nie dzielimy, jest niepełnowartościowa, ułomna wręcz.

Najważniejszy efekt lektury objawia się w jej społecznej funkcji, czyli kiedy coś się dzieje z nami po zakończeniu czytania książki.

I co się dzieje?

Lektura – przynajmniej w założeniu – powinna kształtować socjopatów. Jest jeśień, obaj jesteście przeziębieni, coś więc lepszego, niż zamknąć się w pokoju, zasłonić okna, zaszyć się w łóżku z herbatą i książką? Najlepiej grubą, żeby mieć na ładnych parę godzin spokój od wszystkich. I już grozi nam zerwanie więzi z resztą świata.

Z ratunkiem przychodzi wtedy rozmowa, która przerzuca pomost między życiem i literaturą. Jedno napędza drugie, a przy okazji doskonalimy nasze kompetencje językowe, ulepszymy argumentację, poszerzamy słownik, retoryczną sprawność, co przekłada się na kształt naszej debaty publicznej.

To piękna wizja, ale nasza mowa publiczna w ostatnich latach raczej uległa pogorszeniu...

Jest coraz bardziej nędzna. Słyszał pan polskiego polityka, który używa literatury w argumentacji, a nie jako pustego ornamentu? Boją się nawet zostać przyłapanymi z książką w ręce, żeby nie wyjść na elitarystę. Elity rządzące, i nie mam tu na myśli żadnej konkretnej partii, po prostu nie czytają. Albo, co jeszcze gorsze, kryją się z tym.

„Ufam bardziej Sienkiewiczowi niż Schetyń” – pisze Pan w „Wielu tytułach”, swojej najnowszej książce.

Jak i każdemu innemu politykowi, ponieważ Henryk Sienkiewicz manipulując i uwodząc mnie nie tylko nic ode mnie nie chce, ale wie, że ja wiem, że to, o czym mówi, to zmyślenie, które nie podaje się za prawdę. Dlatego bardziej ufam nawet takiemu populiście jak autor Trylogii, bo on jako pisarz wyznaje: „To wszystko nieprawda, ale sprawię, że poczujesz się, jakby ten świat istniał naprawdę”.

Na tym polega fundamentalna różnica między fikcją i kłamstwem. Fikcja zrobi wszystko, żebym w nią uwierzył, ale nigdy mnie nie oszuka, nie będzie mi wmawiać, że jest prawdą. Na tym polega jej uczciwość.

Brakuje nam dziś fikcji w życiu publicznym?

Myśl krytyczna i podejrzliwa jest niezbędna dla demokracji.

Ale musi być uzupełniona narracją nadziei i pozytywnego planu.

Zdecydowanie. Bez niej nasze spory polityczne stają się wulgarną wymianą ciosów i kłamstw, wzajemnym okładaniem się przy pomocy nagich słów, które udają, że są rzeczami i faktami. A przecież musimy mówić także o tym, czego nie wiemy, nie kłamiąc jednocześnie. Polityk bez umiejętności operowania fikcją nie jest w stanie wyobrazić sobie lepszego świata, do którego mógłby przekonać innych.

Polskiej prawicy udało się w końcu zbudować przekonującą dla wielu opowieść o świecie. Jest wulgarna, pełna przemocy i wykluczenia, ale wygrała walkowerem.

Ta słabość w konstruowaniu opowieści po liberalno-lewicowej stronie jest zastanawiająca. Dlaczego tak trudno zbudować tam retro- i prospektywny mit, czyli krzepiącą życie publiczne opowieść o przeszłości i przyszłości? Myśl krytyczna i podejrzliwa jest niezbędna dla demokracji. Musi być jednak kompensowana narracją nadziei, marzenia, pozytywnego planu, inaczej ludzie nie uwierzą, że przyszłość może być dobrem wspólnym, a nie należeć tylko do grupy szczęściarzy lub cwaniaków. Bez tego przyszłość daje się pomyśleć tylko jako katastrofa lub trwanie tego samego.

To kolejny dowód, że literatura jest wciąż potrzebna?

Pod warunkiem, że nie sprowadzamy literatury wyłącznie do czegoś, co jest napisane na papierze, oceniane przez krytyków, opisywane przez literaturoznawców, przeznaczone do bibliotek i szkół oraz do czytania w samotności. Jeśli jednak widzimy literaturę wszędzie tam, gdzie rozkwitają narracja i metafora, to łatwo pojąć, że ten sposób kreowania wypowiedzi i używania jej bynajmniej nie umiera, ale rozwija się nieprzerwanie,

choćby w postaci technologicznego odnowienia literatury oralnej.

Sami sobie z naszym codziennym gadaniem nie wystarczymy. Wielkie narracje powieściowe potrafią zintegrować globalną wiedzę o świecie i indywidualny los człowieka. Dla przykładu, polski czytelnik w latach 80. XIX w. miał do dyspozycji trzy kompletnie różne powieści: „Lalkę”, „Nad Niemnem” i Trylogię, które dostarczały mu kapitalnych modeli przedstawiania sobie: skąd pochodzi? kim jest? dokąd zmierza? Nie musiały mu te odpowiedzi pasować, ale dzięki pracy Prusa, Orzeszkowej i Sienkiewicza mógł zobaczyć nawet swoją nieobecność w ich opowieściach lub snuć kontrnarrację.

Jeżeli zakładamy, że literatura zanika, to równocześnie twierdzimy, że tego typu pytania straciły na ważności albo odpowiedzi na nie dostarczają inne media. Na pierwsze nie ma sensu odpowiadać – jest retoryczne. Co do drugiego, wydaje mi się, że nie ma w polskim kinie siły Mickiewicza, Sienkiewicza czy Gombrowicza. Tego potencjału uwiedzenia. Ale przemawia przede mną zrozumiała, małostkowa nieco, lojalność wobec literatury.

Tokarczuk swoimi powieściami dostarcza takich XXI-wiecznych matryc rozumienia świata?

Tak, dla wielu czytelników z pewnością jej powieści są rodzajem czasowo-przestrzennej mapy współczesności. Dziś widzimy jasno, jak nas przewidywała już w latach 90., kiedy jej proza wydawała się nieco anachroniczna ze swoją metafizyką natury, etyką protestu, pocieszaniem mitem. Wydawało się, że te historie nie pasują do burzliwych lat transformacji ustrojowej i że ten dziki czas potrzebuje zupełnie innych narracji. Nie minęły dwie dekady, a większość problemów, z którymi borykają się jej bohaterowie, stało się naszym udziałem.

Jak Pan rozumie ten mit?

Wielka kariera nauki i powieści rozpoczyna się w tym samym czasie i biegnie równolegle. Nauka od czasów oświecenia stara się zdetronizować mit i literaturę, aby sama stała się najważniejszą opowieścią o świecie i człowieku. Dziś widać wyraźnie, że mimo gigantycznego przyspieszenia nauk stosowanych, ich efektem nie będzie nowe „W poszukiwaniu straconego czasu” Marcela Prousta. Komputer kwantowy, nawet jeżeli w kilka minut

→ jest w stanie przeczytać wszystko, co ludzkość kiedykolwiek napisała, nie opowie nam zadowalająco o sensie naszego śmiertelnego życia i jego związkach z innymi istnieniami. To ciągle domena człowieka i ludzkich opowieści.

Na spotkaniu podczas Festiwalu Conrada Tokarczuk mówiła, że potrzebujemy przepisać Sienkiewicza i innych XIX-wiecznych pisarzy. Jako autor „Ciała Sienkiewicza” nie poczuł się Pan dotknięty?

Absolutnie nie! Szczerze życzę powodzenia każdemu pisarzowi, który podejmuje się tak karkołomnego zadania.

Na określenie naszego wyobrażenia rzeczywistości Słowacki użył w jednym z listów metafory dywanu – z jednej strony mamy gładki i czytelny wzór, ale kiedy odwrócimy dywanik, to widać wszystkie ścięgi i luźne nitki. Tokarczuk w „Księgach Jakubowych” nie tyle przepisała Sienkiewicza, co właśnie wyrzuciła go na lewą stronę. Skupiła się na tych nitkach, które wiodą do światów i problemów zharmonizowanych w Trylogii „na siłę” – przemocą formy powieściowej, jaką wybrał Sienkiewicz. Tokarczuk to jego zbuntowana wnuczka; dopisała mu brakujące części historii, które odciął tkając swój dywan.

Kafka we wstępie do Pana nowej książki: „Sztuka jest spieszącym się lustrem, podobnie jak zdarza się to niektórym zegarom”.

To zdanie nie przestaje mnie zdumiewać. Mimesis i czas połączone w jednym alegorycznym obrazie sztuki, która naśladuje świat nie ten, jaki jest, ale jaki będzie za chwilę. No bo jak to jest, że niektórzy autorzy towarzyszą nam od wieków? To nie może być tylko efekt szkolnej repetycji. Każemy kolejnym pokoleniom czytać „Makbeta”, jakbyśmy zakładali, że może on się do czegoś przydać, że po tylu wiekach Szekspir wciąż ma coś do powiedzenia o ich świecie. Więcej: że przygotowuje ich na to, co jeszcze nieznane, czego nie potrafimy nawet nazwać. Z czego wynika ta przedłużona data ważności „Makbeta”, opowieści o średniowiecznych arystokratkach i ich morderczych ambicjach? To wielka zagadka genialności literatury, której jeszcze nikomu nie udało się rozwiązać.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Teatr na drugim brzegu

DARIUSZ KOSIŃSKI

Komuna Warszawa to centrum prężnego i wewnętrznie zróżnicowanego środowiska, które najprościej określić mianem „alternatywne”.

DZIESIĘĆ LAT TEMU, W LISTOPADZIE 2009 r. Komuna Otwock ogłosiła zakończenie działalności. Był to zarazem początek Komuny Warszawa – jednego z najważniejszych i najciekawszych ośrodków kultury alternatywnej.

Komuna Otwock – legendarna grupa anarchistyczno-artystyczna, która wyłoniła się pod koniec lat 80. XX w. z działań zbuntowanej młodzieży z podwarszawskiego miasta – postanowiła nie tylko zmienić nazwę. Naprawdę mało kto jest w stanie wyrzec się własnej legendy. Komuna Otwock nie tylko to zrobiła, ale też sama siebie niejako przekreśliła, pisząc w manifestie z 29 listopada 2009 r., że „nie spełniła swej obietnicy bycia rewolucyjno-anarchistyczną wspólnotą działań, która (...) zmienia strukturę, wyobrażenia i praktyki społeczne”.

Manifest zapowiadał także przyszłą działalność, prowadzoną już pod nazwą Komuna Warszawa w siedzibie przy ulicy Lubelskiej na warszawskiej Pradze. Zespół wprawdzie deklarował, że będzie robił „mniej więcej to samo, co Komuna Otwock”, ale zarazem nie ulegało wątpliwości, że między oboma awatarami będzie różnica tak zasadnicza jak między „rewolucyjno-anarchistyczną wspólnotą działań” a „średnio znanym teatrem offowym z siedzibą w Warszawie”. Po dziesięciu latach można powiedzieć, że ta skromna autodefinicja została zdecydowanie przekroczona. To, co w dokonaniach minionej dekady najciekawsze, choć oczywiście dotyczy teatru, nie da się zamknąć w jego granicach, a może wręcz w ich obrębie traci ważną część swoich wartości i znaczeń.

Mikser

Wpływ, jaki w ciągu ostatnich dziesięciu lat wywarła Komuna Warszawa na specyficzny obszar polskiej kultury, obok własnej działalności artystycznej zespołu,

wyrażał się w realizowanych w Komunie i przez ludzi z nią związanych długofalowych projektach łączących koncepcje teoretyczne, czy też zaplecze intelektualne, z praktykami artystycznymi. Modelowy był projekt „Re//mix” zainicjowany w roku 2011. Według jego pomysłodawcy, Tomasza Platy, współcześni przedstawiciele sztuk performatywnych na swój sposób ponawiali, remiksowali ważne (także dla nich osobiście) przedstawienia i postacie z nieodległej przeszłości.

W cieniu smoleńskich miesięczników zwanymi wszak Marszami Pamięci i rosnącej popularności rekonstrukcji historycznych kwitła krytyczna refleksja na temat pamięci i zapomnienia. Plata z innymi intelektualistami, na czele z Dorotą Sajewską, która w tym czasie pisała swój znakomity „Nekroperformans”, budował ramę dla kolejnych przedstawień pokazywanych zazwyczaj bardzo krótko i stonkowo niewielkiej liczbie osób.

Jakość artystyczna poszczególnych remiksów miała mniejsze znaczenie niż cały projekt, widziany jako seria doświadczeń i eksperymentów z różnymi formami ucieleśnionych praktyk pamiętania i gier z przeszłością. Podsumowany w wydanej w 2014 r. książce, zredagowanej przez Sajewską i Platę, do dziś stanowi przedmiot analiz i powraca przy różnych okazjach jako ważny punkt odniesienia.

„Re//mix” zmienił status Komuny. „Średnio znany teatr alternatywny” stał się jednym z najważniejszych i najmodniejszych ośrodków poszukiwań. Artystki i artyści regularnie pojawiający się na małej scenie przy Lubelskiej (m.in. Wojtek Ziemilski, Anna Nowak, Anna Karasińska, Agnieszka Jakimiak, Weronika Szczawińska czy Anna Smolar) w skromnych warunkach, ale zarazem z lekkością i swobodą, bez dźwigania nadmiernego ładunku programowych deklaracji i spektakularnych eksperymentów



PATMIG / KOMUNA WARSZAWA

Emilia Korsak, Łukasz Wójcicki i Anna Andrzejewska w spektaklu „Loop”, 14 listopada 2019 r.

demontowali najbardziej oczywiste oczywistości czczone w oficjalnym obiegu.

Ich przewrotną demonstracją był jeszcze jeden zaproponowany i kuratorowany przez Platę projekt: „Mikroteatr”, realizowany w latach 2016-17. Powstające w jego ramach przedstawienia miały trwać nie dłużej niż 16 minut, a realizowano je przy zachowaniu ścisłych ograniczeń wykonawczych, technicznych i budżetowych. Do legendy środowiskowej przeszedł „mikroteatr” Anny Smolar, w którym Jan Sobolewski (*nomen omen*) streścił błyskawicznie „Dziady”, kpiąc dodając, że niektórzy potrzebują 12 godzin.

Zrób centrum

I ten, i inne cykle realizowane w Komunie Warszawa, wraz z efektami kolejnych rezydencji artystycznych i zwyczajem udostępniania przestrzeni zespołom w potrzebie, sprawiły, że scena przy Lubelskiej stała się w pewnych kręgach szalenie modna, by nie powiedzieć – modna hipstersko. Komuna jest dziś centrum prężnego i wewnętrznie zróżnicowanego środowiska, które najprościej chyba określić mianem „alternatywne”.

Ten przymiotnik był w latach 80. i 90. ubiegłego wieku tak szalenie nadużywany, że jeszcze dziś wywołuje wzrusze-

nie ramion. Jeśli go przywołuję, to nie dlatego, że właśnie z dekad alternatywnej muzyki, alternatywnego teatru i marzeń o alternatywnym społeczeństwie wywodzi swój rodowód Komuna, a już zupełnie nie dlatego, że i dla mnie był to czas formacyjny. Te motywacje także działają, bo od swojej młodości odciać się nie sposób, ale zasadniczy powód jest inny. Warto dzisiaj odkurzyć przymiotnik „alternatywny”, przemyśleć jego historyczne znaczenie i zastanowić się, czy nie warto do niego wrócić.

W latach 80. „alternatywny” funkcjonował jako nazwa obszaru, który pozostawał w opozycji do wszystkiego, co jest oficjalnie i powszechnie akceptowane. W Polsce wyłonił się on przy tym z podwójnej porażki: kapitulacji kontrkultury, która po bojowych i mitycznych latach 60. została wchłonięta przez masowy przemysł kulturowy, oraz z klęski stanu wojennego, który przeszedł w przedłużającą się na lata wielką smutę, zarażającą niewiarą w prawdziwą niezależność i możliwość rewolucyjnej zmiany.

„Alternatywny” oznaczało w tym kontekście: wytwarzający w istniejących warunkach i z dostępnych materiałów swoje własne, mniej lub bardziej chwilowe mikroświaty, gromadzący się w niszach, by

od czasu do czasu wyruszać z nich na kłusowanie po terenach opanowanych przez System albo wyszydząć go, przejmując jego wytwory. Kultura alternatywna nie była kontr- czy anty-kulturą. W swojej praktyce, bardziej niż w ideologiach i manifestach, stosowała niedozwolone użycia, parodystyczne przejęcia, podstępne kamuflaże i partyzanckie wypadki na terytorium opanowane przez wroga. Jego zdobycie nie wchodziło w grę, ale na jego obrzeżach, w jego puszczech i jaskiniach budować można alternatywne enklawy.

Komuna Otwock wywodziła się z punkowo-alternatywnego rodowodu, a – mimo demonstracyjnej zmiany nazwy – w praktyce jest mu wierna do dziś. To w końcu on decyduje o jej specjalnej pozycji, która jednocześnie jest na marginesie i w centrum, przy czym tę swoją centralność Komuna ustanawia sama, sama z siebie czyniąc ośrodek przyciągania. I właśnie to jest sednem realizowanej z pożytkiem postawy alternatywnej: nawet jeśli nie da się zmienić świata, można zmienić własne „okoliczności założone”.

To, co czujesz – to, co wiesz

Ostatnio Komuna dokonała desantu na centrum. Częściowo za sprawą międzyludzkich sojuszy, częściowo za sprawą →

→ kolejnego jubileuszu (jego hasłem „Nie obchodzimy trzydziestolecia, bo nie mamy czasu”) Komuna pojawiła się w samym sercu Warszawy: w oddziale Muzeum Sztuki Nowoczesnej i w Teatrze Studio, by jeszcze raz przypomnieć swoje najważniejsze rozpoznania i przewrotne, ale precyzyjne diagnozy.

Wystawa w MSN formułuje je już samym swym tytułem: „Brak zaangażowania w praktykę wytwarza teoretyczne halucynacje”. To jedno z kilku haseł – syntez, które pojawiają się w niewielkiej przestrzeni obok zapętlonych i zmontowanych fragmentów z przedstawień zespołu.

Wypisane na białym tle czarnymi literami są jak ponowoczesne koany – paradoksalne aforyzmy mające inspirować do medytacji nad tym, co zawęża nasz zwykły sposób myślenia i działania. Ani one, ani pojawiające się na ekranie fragmenty dawnych przedstawień nie głoszą żadnej rewolucji – głoszą raczej jej niemożliwość, ale zarazem pozwalają wymknąć się prostej opozycji, w której przeciwieństwem radykalnej zmiany jest również radykalny konformizm. Pozwalają odzyskać poczucie skuteczności tego, czym rewolucja gardzi nazywając półśrodkami, a z czego przecież budujemy swoje codzienne życie.

W nieodległym Teatrze Studio lider Komuny, Grzegorz Laszuk przygotował przedstawienie „Złota Skala” (premiera 20 września), będące – jak wiele spektakli zespołu – teatralnym esejem, którego celem jest zadawanie pytań w taki sposób, by jak najbardziej zmuszały do przemyślenia nie problemu podejmowanego przez przedstawienie, ale siebie poprzez problem, temat czy bohatera.

W „Złotej Skale” tym bohaterem jest Robert Brylewski, legendarny muzyk, współzałożyciel punkowych zespołów Kryzys i Brygada Kryzys, potem grający m.in. w Izraelu i Armii. Konsekwentnie pozostał na marginesie rynku, stając się alternatywnym centrum i punktem odniesienia. Zginął pobity – jak się później okazało na skutek absurdałnej pomyłki, nawet w śmierci – jakkolwiek dziwnie to brzmi – wymykając się modelowym narracjom.

Przedstawienie Laszuka pokazuje go na trzy zasadnicze sposoby: przez przearanżowane piosenki wykonywane na żywo; przez dialogi młodego Brylewskiego ze starym, odgrywane przez dwie ogromne maski/kukły oraz przez wypowiedane

Komuna nie rzuca nam w twarz oskarżeń,

nie oczekuje, że wpłynie
na nasze postawy.

Chce wspólnie z nami
przemyśleć niezmiennność,
wpisaną w same
podstawy życia.

i odgrywane w ciałach rozważania o Brylewskim jako człowieku wiernym utopijnej, nieco mistycznej duchowości. Wszystko to służy budowaniu „świątyni Roberta Brylewskiego”, w którą na czas przedstawienia zamienia się Teatr Studio.

Świątynia ta jest jak kościół ponizony rodem z Gombrowicza – niby deklaruje się tu jakiś kult, ale można odnieść wrażenie, że jego wyznawcy sami nie do końca poważnie traktują to, co głoszą. Całkiem serio wydaje się tylko bluźnierca (Bartosz Porczyk), który zadaje wprost pytanie, czy uporczywa wiara w jakiś „inny świat” nie była po prostu głupotą? Sam jednak odpowiada, że nawet jeśli tak, to głupota ta była i nadal jest czymś pożądanym.

W efekcie przedstawienie o Brylewskim staje się jakby rozmową alternatywnego artysty (już nie tylko Brylewskiego, ale i Laszuka) z samym sobą. Jej najważniejsze pytanie brzmi: jak można być wiernym sobie, skoro nie jest się już tym samym i samemu sobie się nie wierzy?

Laszuk nie ukrywa słabości Brylewskiego i postawy alternatywnej, nie do wartościuje jej na siłę. A jednak jest w tym przedstawieniu coś, co nie wprost wytwarza silne poczucie afirmacji: muzyka. Gdy aktorzy zaczynają grać „Centralę”, „Święty szczyt” czy „To, co czujesz”, publiczność przenika wibracją, która nie jest tylko nostalgią, ale też czymś w rodzaju odnalezionej ciągłości. Jeśli nawet my nie możemy być wierni sobie, to muzyka może.

Czy teatr też?

Sekcja wyobrażeń

Komuna Warszawa i Grzegorz Laszuk komponują przestrzenno-głosowe, minimalistyczne przedstawienia, których chłód i bezpośredniość zakłócają funkcjonowanie mechanizmu oswojeń i uspra-

wiedliwień. Banalne sformułowanie „dać do myślenia” okazuje się tu precyzyjne i nadszpodziewanie głębokie. Dowodzi tego ostatnie przedstawienie zespołu „Loop” (premiera 14 listopada), stworzone na motywach powieści Kurta Vonneguta „Pianola”.

Powracając do ulubionych tematów: niezmienności podstawowych pragnień, nieuchronnej klęski i równie nieuchronnego powtarzania rewolucji, Laszuk znów uruchamia procedurę chłodnego rozmontowywania idei, w których gęstościach tak lubimy się nurzać. Laszuk i Komuna grają ogołoconymi z ozdobników rozpoznaniem, zmieniając ich układy i relacje między nimi w taki sposób, że pozornie proste i nieefektywne kompozycje teatralne osadzają się w myśli i brzmia wręcz natrętnie jeszcze długo po wyjściu z teatru.

„Loop” to rozpisana na głosy, obrazy, napisy i proste, w swej prostocie chwilami wręcz zabawne działania. Refleksja nad końcem i powtórzeniem, a przede wszystkim nad tym, co dla Komuny od trzydziestu lat wydaje się najważniejsze: zmianą i wyjaśnieniem jej niemożliwości.

Chwilami wydaje się wręcz, że Laszuk tak wiele uwagi poświęca zrozumieniu, dlaczego prawdziwa zmiana jest niemożliwa, bo właśnie tego nie może zrozumieć nie na poziomie teoretycznym, ale praktycznym. Nie rzuca nam w twarz oskarżeń, nie oczekuje, że wpłynie na nasze postawy przez pokazywanie skutków zaniechań czy propagowanie pozytywnych projektów, ale chce wspólnie z nami przemyśleć niezmiennność, która jest wpisana w same podstawy życia. Zmienia perspektywę oglądania mitu prometejskiego w taki sposób, że widzimy go zarówno z perspektywy „orla czy też sępa”, jak i wątroby. Nie ma w tym wielkich wstrząsów, emocjonalnych „jazd” czy malowniczo depresyjnej rezygnacji. Jest niemal laboratoryjna sekcja naszych wyobrażeń, której wyjątkowo sprzyja skromność i ubóstwo środków, a nawet niewielka liczba osób na sali.

Premierowy wieczór nie ma nic z odbywającej się w innych teatrach fety. Wychoodzimy jak po spotkaniu grupy realizującej jakiś niszowy projekt badawczy. Ale właśnie dlatego dawno nie miałem poczucia, że jestem w miejscu, w którym tak dosłownie robi się teatr i kultura.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI



S-NET

GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ Z SIECI ILE SIĘ DA

Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*Innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator

Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl

Wśród mrocznej ciszy

DOROTA KOZIŃSKA

Ostatni, kilkusetmetrowy odcinek trasy trzeba przejść ścieżką wśród sosen, stojących po pas w wilgotnym runie i obwieszonych budkami dla ptaków. Na końcu ścieżki – Centrum Arvo Pärta.

MROCZNA CISZA CIĄGNIE NIEPOSTRZĘ-
żenie przez las, światło gwiazd
dźwięczy delikatnie w moich oczach...
Ciało przenika dreszcz, sny pierzcha-
ją spłoszone – w duszę wkrada się zew
wieczności” – tak brzmi dosłowne tłu-
maczenie krótkiego, dwuzwrotkowego
wiersza Ernsta Enno (1875–1934),
estońskiego symbolisty, którego twór-
czość w równym stopniu przepęnia
duch buddyzmu, pierwotnych wierzeń
bałtyckich i zachodniego mistycyzmu.
Wiersz powstał w 1903 r. Prawie sto lat
później estoński kompozytor Erkki-
Sven Tüür, urodzony w 1959 r., doko-
nał wyboru z poezji Enno, zespolił tek-
sty w całość i napisał „Rändaja õhtulaul”
(Pieśń wieczorną wędrowca) na chór
mieszany a cappella. Ta muzyczna opo-
wieść o podróży z mroku w światło, po
krajnie, gdzie orły latają między niebem,
ziemią a podziemiem, bagna mają duszę,
a kamienie ciało, znalazła się w progra-
mie koncertu zorganizowanego w nie-
zwykłym miejscu i w niezwykłym cza-
sie: w środku nadmorskiego sosnowe-
go lasu, 2 listopada – tuż po nocy daw-
nych słowiańskich Dziadów, w Zadusz-
ki i w pierwszy dzień Hingedeae, ob-
chodzonego przez pełne dwa tygodnie
estońskiego czasu umarłych.

Wyciszenie

Sosnowy las rośnie na malowniczym
półwyspie wdzierającym się w Zatokę
Fińską, niespełna 40 kilometrów na po-
łudniowy zachód od Tallina. Gospodarz
miejsca nazywa się Arvo Pärt i jest nie
tylko najwybitniejszym żyjącym kom-
pozytorem estońskim, ale też jednym
z najlepiej rozpoznawalnych twórców
muzyki współczesnej na całym świecie.

Kiedy był młody, przyjeżdżał tutaj na
motocyklu, w odwiedziny do Heino El-
lera, ukochanego profesora z konserwa-
torium w Tallinie, który miał domek we
wsi Heliküla, czyli „wiosce dźwięków”.
W sąsiedztwie leży inna miejscowość,
o melodyjnej nazwie Laulasmaa, co po
estońsku oznacza „śpiewającą ziemię”.
Mistrz i uczeń chodzili na długie spacer-
y po sosnowym lesie, a potem odpoczywali
na puszczuteńkiej, pokrytej śnieżnobiałym
piaskiem plaży. Siadali na wielkich po-
lodowcowych kamieniach, które miały
ciało, i wpatrywali się w światło gwiazd,
które miały duszę.

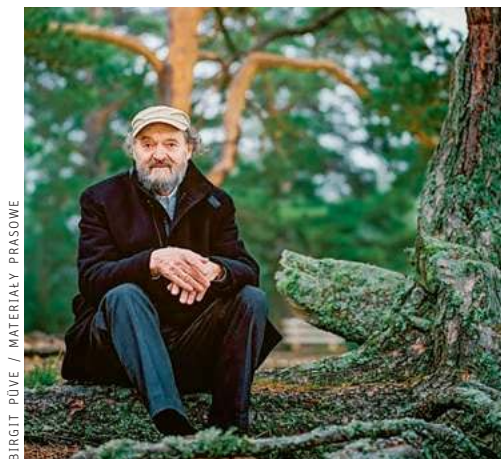
We wczesnych kompozycjach Arvo
Pärta było jeszcze sporo zgłębku. Dopóki
przypominały utwory Sergiusza Proko-
fiewa i Dymitra Szostakowicza, nikomu
to specjalnie nie przeszkadzało. Kiedy
Pärt podjął eksperymenty z dodekafo-
nią, dostało mu się od Tichona Chrenni-
kova, sekretarza generalnego Związku
Kompozytorów Radzieckich. Na przeło-
mie lat 60. i 70. ubiegłego wieku, po nie-
równej walce z cenzurą kompozytor za-
milkł. Poświęcił się dogłębnym studiom
nad monodią liturgiczną, średniowiecz-
nym chorałem i polifonią wczesnego
renesansu. Przeszedł z luteranizmu na
prawosławie. A potem zaczął kompono-
wać muzykę surową jak krajobraz pół-
nocnych torfowisk, wypełnioną dłu-

gimi epizodami ciszy, pełną struktur po-
wtarzalnych jak rytm drzew w nadmor-
skim lesie sosnowym. Najpierw napisał
„Für Alina” (1976), utwór na fortepian,
dedykowany córce przyjaciół, która po
rozwodzie rodziców wyemigrowała z oj-
cem do Anglii – a tak naprawdę przezna-
czony dla jej matki, usychającej z tęsk-
noty w Estonii.

W ten sposób otworzył nowy rozdział
w swojej twórczości: wypracował tech-
nikę, którą sam nazwał tintinnabuli – od
łacińskiej nazwy dzwoneczków zatkniętych
na drzewcach i umieszczanych w kato-
lickich bazylikach na znak więzi z papie-
żem. Zredukował swoje kompozycje do
postaci dwóch głosów prowadzonych
w swoistym kontrapunkcie: wędrują-
cego wokół określonego centrum głosu
melodycznego oraz głosu „dzwonecz-
ków”, eksponującego poszczególnie skła-
dowe triady harmonicznej. Odkrył mu-
zyczną ascezę, nową prostotę, czasem nie-
słusznie utożsamianą z minimalizmem.
Niesłusznie, bo jej istotą nie było powta-
rzanie wzorca, tylko stopniowe odejmo-
wanie materiału muzycznego – na po-
dobieństwo mistycznego „wyciszenia”,
praktykowanego przez prawosławnych
mnichów-hezychastów. Ten styl także
nie znalazł uznania radzieckich cenzo-
rów. Wzbudził za to niekłamany zachwyt
w zachodnim świecie muzycznym.

Przez las

W styczniu 1980 r. Pärt wyemigrował
wraz z żoną Norą i dwójką synów do
Wiednia. Otrzymał obywatelstwo au-
striackie, po czym przeniósł się z rodziną
do Berlina. Wrócił do Estonii w 1992 r.,
dzieląc odtąd swój czas między mieszka-
nia w Niemczech i Tallinie. Po upływie
kolejnych 12 lat Pärtowie wynajęli pokój



BIRGIT PÜVE / MATERIAŁY PRASOWE



Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia
Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika
Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
| Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój
– 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane
– 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
| Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



KAUPO KIKKAS / ARVO PÄRT CENTRE

Centrum Arvo Pärta nad Zatoką Fińską (fotografia kompozytora na sąsiedniej stronie).

hotelowy w Laulasmaa i rozpoczęli pracę nad uporządkowaniem i digitalizacją archiwum kompozytora. Potem wprowadzili się do własnego domu na półwyspie i nazwali go Alina.

W 2010 r. zinstytucjonalizowali swoje działania, powołując do życia Centrum Arvo Pärta. Zyskali pokaźne wsparcie finansowe ze strony państwa, także ze względu na zbliżające się stulecie powstania niepodległej Estonii. Zamarzyło im się stworzenie nowoczesnego ośrodka, który łączyłby funkcje badawcze i naukowe z działalnością informacyjną, edukacyjną oraz koncertową. Mieli do dyspozycji ponad 8 milionów euro. Rozpisali otwarty konkurs architektoniczny na nową siedzibę Centrum, która miała wkrącać się niepostrzeżenie w leśny krajobraz półwyspu.

Konkurs wygrało hiszpańskie biuro Nieto Sobejano Arquitectos, którego współzałożyciele – Fuensanta Nieto i Enrique Sobejano – zakochali się już wcze-

śniej w muzyce Pärta. Nazwali swój projekt „Tabula”, nawiązując do tytułu innego utworu skomponowanego z użyciem techniki tintinnabuli – podwójnego koncertu „Tabula rasa”, na dwoje skrzypiec, fortepian preparowany i orkiestrę kameralną (1977).

Niski przeszklony budynek miał wśliznąć się zygakiem między drzewa w nadmorskim lesie i zlać się z nim w jedną całość. Nieregularny rytm elewacji miał naśladować zarówno graficzny zapis kompozycji Arvo Pärta, jak i rytm rosnących wokół sosen. Obok gmachu zaplanowano strzelającą wprost w niebo, prześwieconą słońcem wieżę. Wewnątrz znalazło się miejsce na bibliotekę, salę koncertową na 150 miejsc, sale wykładowe, przestrzeń ekspozycyjną, pokój filmowy, kawiarnię i niewielką kaplicę, ozdobioną bizantyjskimi w stylu freskami.

Nowe Centrum otwarto 17 października ubiegłego roku. Od tamtej pory

przyciąga tłumy turystów, badaczy, muzyków i melomanów. Szosa z Tallina nie dociera pod sam gmach: ostatni, kilkusetmetrowy odcinek trasy trzeba przejść ścieżką wśród sosen, stojących po pas w wilgotnym runie i obwieszonych budkami dla ptaków. Na końcu tej ścieżki czeka nas widok, od którego ciało przenika dreszcz, a sny pierzchają splecione. Zaskakująco lekka konstrukcja z betonu, szkła, drewna dębowego i stali sprawia wrażenie, jakby tam była od zawsze. Tchnie ciepłym światłem nawet w deszczowy Dzień Zaduszny, zaprasza do środka na muzykowanie, w którym zderzą się i pogodzą wszystkie mistyczne porządki świata.

Usłyszałem głos

Tak właśnie było tamtego wieczoru, na koncercie zorganizowanym we współpracy z Instytutem Adama Mickiewicza, w obecności 84-letniego gospodarza Centrum. W programie – oprócz wspomnianego już „pogańsko-buddyjskiego” utworu Erkkiego-Svena Tüüra – znalazło się także pięć nowszych kompozycji chóralnych Pärta, który jakiś czas temu porzucił technikę tintinnabuli i znów skłonił się w stronę rozmaitych tradycji muzyki chrześcijańskiej, od „prawosławnego” „Alleluia-Tropus” (2008) po „luterzańskie” „Ja ma kuulsin hääle” do tekstu z Apokalipsy św. Jana (2017); oraz dwa utwory Pawła Łukaszeńskiego – poświęcone pamięci Jerzego Semkowa „Corpus Christi Responsoria” (2018) i wykonane po raz pierwszy impropéria „Popule meus”, powstałe w ramach zamówień kompozytorskich IAM: przykłady tak zwanej tonalności odnowionej, zgodnie z intencją twórcy zdolnej przemówić do każdego spragnionego *sacrum* słuchacza.

Za sprawą świetnego estońskiego chóru Collegium Musicale pod dyrekcją Endrika Üksvārava kompozycje Pärta, Łukaszeńskiego i Tüüra przemówiły nawet do tych, którzy świętości nie potrzebują albo nie chcą mieć z nią nic do czynienia. Wśród mrocznej ciszy, w przytulnym cieple wyłożonej drewnem sali, w dobiegającym nie wiadomo skąd zapachu kadzideł – wszyscy po swojemu przeżyli ten czas umarłych. Bo po śmierci każdy pada w czarną ziemię jak ziarno i zaczyna rosnąć od nowa – jak w innym wierszu Ernsta Enno, ujętym przez Tüüra w kolistą formę „Pieśni wieczornej wędrowca”. ©

Teren zabezpieczony

ANITA PIOTROWSKA

Zarówno w „Polsce A”, jak i w „Polsce B” trudno znaleźć uczciwych i niewinnych. Ale debiut Kruhlika nie stanowi epigońskiego wcielenia tzw. smarowszczyzny czy szumowszczyzny.

WLETNI NIEDZIELNY PORANEK NA wiejskiej drodze spotykają się Polski różnych prędkości i posiadające różne prawa jazdy. Reprezentacyjny samochód na warszawskich numerach uderza w matkę z dziećmi, sprawca ucieka z miejsca wypadku, a akcji ratunkowej towarzyszy inna, nie mniej nerwowa: tuszowania sprawy przed opinią publiczną. Kierowca jest bowiem znanym politykiem, w dodatku rzecz dzieje się na dwa miesiące przed wyborami.

Brzmi to sucho, tendencyjnie i jakże znajomo? Bynajmniej nie na ekranie. Debiutujący w kinie Bartosz Kruhlik (rocznik 1985), zachowując jedność czasu,

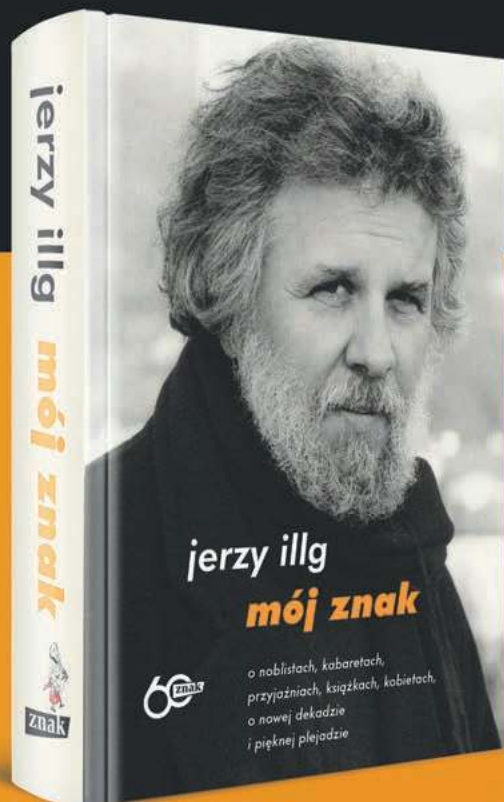
miejsca i akcji, nakręca w „Supernovej” skomplikowany mechanizm dramatyczny. Robi to powoli i metodycznie, w wymiarze indywidualnym, jak i zbiorowym. Aż do finałowej eksplozji, czy raczej implozji sugerowanej w samym tytule.

Przy niewielkim budżecie, w 70 raptem minutach akcji, zagęszczone zostaje nie tylko kilka godzin dramatycznych wydarzeń, ale i cała wściekłość prowincji „zza siódmej miedzy”. I cała arogancja tych, którzy będąc u władzy korzystają z bezkarności. Tragedię na drodze poprzedza jednak nieubłagany ciąg przyczynowo-skutkowy. Coś przecież musiało spo-

wodować, że w niedzielę rano Iwona (Agnieszka Skibicka) pakuje się, zabiera dzieci i opuszcza Michała (Marcin Zarzeczny). Coś zapewne sprawiło, że ten jest znowu pijany w sztok. Z jakichś powodów kierowca stołecznego audi (Marcin Hycnar) odmawia mu podwózki, a zdesperowany małżonek raczy go pijackim „pawiem”. Kruhlik po aptekarsku dawkuje nam informacje, nieśpiesznie odsłaniając rzeczywiste powiązania między postaciami, ich motywacje i zazwyczaj niskie ambicje.

Bo trudno tutaj znaleźć całkowicie uczciwych i niewinnych. „Polska B” jest spuchnięta od alkoholu, rozmodlona w myśl zasady „jak trwoga, to do Boga”, z pięściami zaciśniętymi w beznadziejnym gniewie, który może znaleźć ujście jedynie w spontanicznym samosądzie. „Polska A” jest niby schludna i nowoczesna, ale reprezentuje ją zdegenerowany, tchórzliwy „ciulas z telewizji”. Znaleziony w jego samochodzie plastikowy kucyk Pony ukrywa w swoich trzewiach torebkę z kokainą, a święty obrazek okazuje się ulotką reklamującą agencję towarzyską. Nawet policjanci, zamiast prowa-

REKLAMA



Nowe, poszerzone wydanie

bestsellerowej pozycji
na 60. urodziny
Wydawnictwa Znak.



rys. Maria Makuch



CELESTYNA KRÓL / STUDIO MUNK S.P. / MATERIAŁY PRASOWE

Marek Braun jako aspirant Sławek Makowski w filmie „Supernova”

dział „czynności”, myślą głównie o awansie czy rychłej emeryturze – chyba że w grę wchodzi sprawa bardzo osobista. „Supernova” nie stanowi jednak epigonijskiego wcielenia tak zwanej smarowszczyzny czy szumowszczyzny. Celowo angażując do filmu aktorów mało znanych, głównie teatralnych, za to wiarygodnych niczym rasowi naturalszczycy, Kruhlak każdemu z bohaterów daje ludzką twarz i żywe emocje.

Z bezlitosną przenikliwością, ale i nutą empatii przygląda się tym postaciom dramatu niby-dokumentalna kamera Michała Dymka („Słodki koniec dnia”). Z początku uważna, prawie nieruchoma, nieingerująca w bieg wydarzeń, z czasem staje się ruchliwa, wszechdobylska, zgodna z rytmem narastającego z wolna kontrolowanego chaosu. Twórcy zreżymowani sterują filmowym napięciem, lecz nawet, gdy indywidualna rozpacz i zbiorowy gniew osiagają punkty krytyczne, próżno czekać na oczyszczające wyładowanie. Próżno szukać też moralnych zwycięzców czy neutralnych obserwatorów. Wszyscy są tu jakoś umoczeni i stanowią jeden organizm, oddychający tym samym powietrzem. Kiedy policja zabezpiecza teren wypadku, kiedy gdzieś daleko w stolicy działa sztab kryzysowy, a miejscowi tworzą zbiegowisko, komentujące zdarzenie niczym grecki chór, na zablokowanej szosie rośnie kolejka aut. Zniecierpliwieni kierowcy i zmęczeni czekaniem pasażerowie zdają się nie należeć do żadnej z tych dwóch Polsk: elitarniej i plebejskiej. Są tu jedynie przejazdem, załatwiają swoje mniej lub bardziej ważne sprawy, większość pewnie zmierza w stronę pobliskiej autostrady. Ale z powodu zablokowanej drogi tak szybko nie pojadą dalej.

Czy są w stanie zobaczyć coś więcej niż tylko doraźny cel swojej podróży? Czy zapowiadana w radiu śmierć planety oznacza dla tak brutalnie nakreślonego świata jego definitywny koniec? Czy tytułowa supernowa podziała usypiająco czy jednak wybudząco – na nich, na nas? Kruhlak wprowadza tę kosmiczną perspektywę, czerpiąc bardziej z późnego Kieślowskiego niż z braci Dardenne, z którymi czuje powinowactwo. Blisko mu także do Jagody Szela, która w swoim równie świetnym debiucie „Wieża. Jasny dzień” (2017) poszukiwała niepokojących szczelin w tym, co pozornie oswojone. Zresztą już na wstępie twórca „Supernovej” rozbudza podobne oczekiwania, wprowadzając motto z hiszpańskiego pisarza Ramóna Gómęza de la Serny: „Gdybyśmy nie byli śmiertelni, nie umielibyśmy płakać”.

Można by rzec, iż kamera spoglądająca w finale na cały ten ziemski zamęt z wyżyn śmigłowca ratowniczego czy towarzyszące tej metaforze podniosłe wokalizy wprowadzają do opowiadanej historii nazbyt oczywisty naddatek metafizyczny – gdyby nie fakt, że reżyser używa tych wszystkich ornamentów z pełną świadomością i nader oszczędnie. Dzięki takim zabiegom świetnie zainscenizowany incydent na drodze, oparty zresztą na faktach, zaczyna z każdą minutą rosnąć w oczach, promieniować gdzieś dalej, poza znajomy kadr i moralizatorską przypowieść. Ma szansę przekierować uwagę widza ku czemuś większemu niż kotłująca się i zapadająca się w sobie Polska. ©

SUPERNOVA – reż. Bartosz Kruhlak. Prod. Polska 2019. Dystryb. Forum Film Poland. W kinach od 22 listopada.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [23 – 29 XI]

1. Green Book



Komediodramat, reż. Peter Farelly, USA 2018, HBO, 24 XI, 20.10, 25 XI, 14.50, 27 XI, 20.10, 28 XI, 13.50

Dla jednych typowy film oscarowy, poprawiający samopoczucie w niewygodnych kwestiach, dla innych – podana w lekkostrawnej formie ważna opowieść o rasowych i klasowych różnicach. Historia białego szofera (Viggo Mortensen), który pracował dla afroamerykańskiego muzyka (Mahershala Ali), to także przypomnienie postaci genialnego pianisty Dona Shirleya.

2. Wdowy



Kryminalny, reż. Steve McQueen, Wielka Brytania/USA 2018, Canal+, 26 XI, 21.00, Canal+ 1, 26 XI, 22.00

Na początku był brytyjski serial z lat 80. Twórca „Wstydu” i „Zniewolonego” „przepisał” go na historię współczesną, w której znalazło się miejsce nie tylko na wątek sensacyjny z kobietami w roli głównej, ale także na komentarz polityczny dotyczący dzisiejszych USA. Występują m. in. Viola Davis, Michelle Rodriguez, Colin Farrell i Liam Neeson.

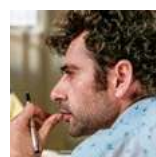
3. Steve Bannon. Czas przełomu



Dokumentalny, reż. Alison Klayman, USA 2019, Canal+ Dokument, 26 XI, 22.10

Jeden z najważniejszych architektów obecnego ładu w Białym Domu ukazany został na tle kampanii przedwyborczej do Parlamentu Europejskiego w 2019 r. Były doradca prezydenta Trumpa podróżuje po starym kontynencie, aby zmobilizować skrajną prawicę. Film stanowi surowy zapis jego „misji”, w której pojawiają się też akcenty polskie.

4. Tel Awiw w ogniu



Komedia, reż. Sameh Zoabi, Luxemburg / Belgia / Izrael / Francja 2019, nc+ GO

Palestyńczyk pracujący na planie arabskiej telenoweli zostaje zatrzymany na izraelskim posterunku. Szef straży, którego żona jest fanką serialu, obiecuje nie czynić dalszych problemów, o ile będzie miał wpływ na scenariusz. Rozpoczyna się tajemna współpraca... Film otrzymał właśnie nominację do Europejskiej Nagrody Filmowej.

Kobieta po przejściach

TOMASZ DOMAGAŁA: „Niebezpieczna gra” Richarda Stockwella – skąd pomysł na wystawienie tej właśnie sztuki? Kto do kogo z nią przyszedł?

MARIA SEWERYN: Wszystko zaczęło się od tłumaczki, Anny Wołek, która jest też dyrektorem Teatru Muzycznego w Toruniu i koproducentem spektaklu, wspólnie z Mazowieckim Instytutem Kultury. Zadzwoniła do mnie i Mirka Zbrojewicza oraz reżysera, Giovanny’ego Castellanos, z propozycją zrobienia tego tekstu. Pierwsza lektura, spotkanie z moją bohaterką oraz perspektywa pracy z Giovannym i Mirkiem sprawiły, że podeszłam do tego projektu z entuzjazmem.

Nie trzeba było Pani namawiać?

Skąd! Sztuka bardzo mi się spodobała. Byłam zaskoczona nagłymi zwrotami akcji. Do tego doszła wielka radość grania w kryminale, zaskakiwania widza, mylenia tropów. Niełatwo dziś grać w teatrze kryminał. Zaprasza się widza do teatru i proponuje mu pewnego rodzaju umowność, na którą musi się on nie tylko zgodzić, ale i w nią uwierzyć. To dla aktorów wyzwanie.

Widzowie uwielbiają kryminały, ale sztuka Stockwella kryje w sobie coś więcej.

Chyba tak. Historia zaczyna się od tego, że Jane, dojrzała kobieta z klasą, orientuje się przy kasie w supermarkecie, że nie ma portmonetki. Tu pojawia się Rick, przystojny gentleman w garniturze, i ratuje ją z opresji. Ona w ramach podziękowań podwozi go do domu, on zaprasza ją na herbatę. Wygląda to na flirt. Tym bardziej że Jane ma w domu spore kłopoty, a on okazuje się ciepłym, empatycznym mężczyzną. Jest to jednak napisane w taki sposób, że widz będzie widział – mam nadzieję – pewne rzeczy, których nie widzi ona, i będzie mówił w duchu: „Nie, dziewczyno, nie! Nie rób tego!”. To największa przyjemność bycia widzem kryminału.

Ostatnio wystąpiła Pani w Teatrze Stu w Krakowie w dwóch spektaklach, których tematem było spotkanie z mężczyzną. W „Truciznie” zagrała Pani kobietę rozliczającą się z życiowym part-

**Niełatwo grać kryminał.
Zaprasza się widza do teatru
i proponuje umowność,
w którą musi uwierzyć.
To dla aktorów wyzwanie.**

MARIA SEWERYN



RAFAŁ LATOSZEK X2

nerem, w „Boże mój” – matkę niepełnosprawnego dziecka, która spotyka mężczyznę podającego się za Boga. A teraz „Niebezpieczna gra”. Czy to zaplanowana seria?

W tym sezonie był jeszcze „Beginning” w reżyserii Adama Sajnuka z Teatru WARSawy, w którym spotykam się z Tomkiem Borkowskim. Kiedy dostałam rolę w „Niebezpiecznej grze”, śmiałam się, że chyba rzeczywiście mam z mężczyznami jakąś sprawę do załatwienia! A poważnie, cieszę się, że otrzymałam szansę zgłębienia tak wielu różnych relacji męsko-damskich. Było to dla mnie niezwykle ważne doświadczenie.

Jakie jest zatem to spotkanie z Rickiem?

Kobiety, które gram w tych spektaklach, są zupełnie różne od siebie. Chciałabym, żeby Jane ze sztuki Stockwella była kimś, kogo cechuje spokój, ale i pewien dystans. A przy tym Rick jest dla Jane mężczyzną bardzo niebezpiecznym. Trudno o tym mówić, bo nie mogę zdradzać szczegółów, ale odwołując się do „Biegającej z wilkami” Clarissy Estés, mogę powiedzieć, że to spotkanie będzie dla Jane zmierzaniem się z mitycznym Sinobrodym...

Jane przybiera różne maski, by na końcu ukazać się w pełnej krasie. Pani musi tworzyć tę postać, znając wszystkie wolty i przemiany bohaterki. Czy to nie przeszkadza w pracy?

Taka nad-wiedza jest pewną trudnością, ale to także fascynujące – zakładanie masek, szukanie dwuznaczności psychologicznej, konstruowanie postaci tak, by była wiarygodna mimo tego, że widz pomyśli sobie: „Jaka ona naiwna!”. W pracy nad Jane oparłam się na jej nieszczęściu, na tym, że doświadcza przemocy. Istotne było też, że w trakcie spotkania z Rickiem mówi o tym pierwszy raz, przekracza własne granice, co sprawia, że traci czujność.

Narracja, którą w sztuce prowadzi Jane, co rusz sprowadza nas na manowce. Czy znalazła Pani pod tymi maskami jakąś prawdę o swojej bohaterce?

Wydaje mi się, że Jane jest tajemnicą do końca. W finale odsłania się przed nami, ale największym sekretem jest dla mnie wciąż jej kondycja w ostatniej scenie. To wprowadzie tylko moment, ale sądzę, że tam właśnie tkwi klucz do tej postaci.

Jaka jest konwencja spektaklu? Eksperymentowanie czy tradycyjny realizm?

Mam wrażenie, że dla Giovanny’ego najważniejsze jest, żeby opowiedzieć tę historię realistycznie, dobrze zmylić tropy. Ta realistyczna forma jest dla nas wyzwaniem, bo dziś widz w teatrze coraz rzadziej się jej podporządkowuje. Tu umówiliśmy się na tak zwaną rodzajowość, wręcz filmową formę, mam nadzieję, że uda nam się ją uwiarygodnić.

Czy Mirosław Zbrojewicz podczas pracy zaskoczył Panią swoją koncepcją postaci Ricka?

Mirek podczas prób ciągle mnie zaskakuje. Często rozmawiamy o tym, czego wzajemnie od siebie oczekujemy. Dzięki temu jestem pewna, że nasz spektakl będzie się rozwijał jeszcze długo po premierze. Zdradzę tylko, że w ramach przygotowań do tej roli spotkałam się kilka razy z mistrzem krav magi (*śmiech*)!

To znaczy, że będzie ostro!

© Rozmawiał TOMASZ DOMAGAŁA

Męczyzna z przeszłością

TOMASZ DOMAGAŁA: Jest Pan specjalistą od twardzieli i gangsterów. Czy po przeczytaniu „Niebezpiecznej gry” Richarda Stockwella pomyślał Pan, że Rick to kolejna taka rola?

MIROSŁAW ZBROJEWICZ: Granie twardego jest bardzo przyjemne, można podawać coś, czego w życiu nie da się praktykować. Tu pojawiło się wyzwanie: poprowadzić tę rolę w taki sposób, żeby nie było wiadomo, czy Rick jest twardzielem. Cała zabawa polega na oszustwie, odwracaniu kota ogonem. Na początku mamy scenę obyczajową, która równie dobrze może pójść w stronę komedii romantycznej i nic nie wskazuje na to, że będziemy mieli do czynienia z opowieścią kryminalną.

Kim według Pana jest zatem Rick?

To facet o trudnej przeszłości, który ciągle się z tą przeszłością zmagają. Punktem odniesienia dla niego jest dawna, niepomieszczona krzywda, a celem po prostu odwet.

Krzywda, która domaga się zemsty, i przemoc domowa to wątki w tej sztuce ledwie zarysowane. Czy pogłębiacie jakoś tę opowieść?

Struktura opowieści kryminalnej jest nienaruszalna, bo jeśli coś zmienimy, piętrowo ułożona intryga może się zawalić niczym domek z kart. Natomiast bonusem jest konstrukcja postaci z dość bogatym backgroundiem. Tu możemy modyfikować, powiedzieć coś więcej.

Wróćmy do Ricka. Wchodzi na scenę, ma swoje plany, swoje zadania, ale rozbija się o maski Jane. Czy Rick też zadaje sobie pytanie: kim ona właściwie jest?

Tak. Rick nie spodziewa się tego, co przynosi mu spotkanie z Jane. Krótko mówiąc: myślał, że będzie prościej. Okazuje się jednak, że ona wnosi ze sobą ogrom kłopotliwego doświadczenia, a on jako facet nie bardzo umie sobie z tym poradzić.

Postać Jane pokonuje w trakcie tego spotkania swoje intymne granice, to przełom w jej życiu. Czy można o przełomie mówić również w przypadku Ricka?

Praca z Marią Seweryn jest fascynująca, ponieważ bardzo się różni. Podczas prób otworzyłem się na tyle, że mogłem to wykorzystać.

MIROSŁAW ZBROJEWICZ



Na pewno jest to dla niego spotkanie traumatyczne, myślę, że nie spotkał dotąd w swoim życiu wielu takich kobiet. Jane jest dla niego ogromnym wyzwaniem – zderzyć się z kimś z zupełnie innego świata, innych kręgów.

Czy Pańska wizja bohatera spotkała się jakoś z pomysłem reżysera na tę postać?

Od początku postawiliśmy na intuicję. Nie było gotowego pomysłu, żadnych abstrakcyjnych obrazów postaci. Nikt niczego nie próbował nam narzucić. Tym bardziej że według nas to nie jest komedia kryminalna. Poszliśmy w historię kryminalną na serio i mamy ogrom zadań, z którymi musimy się mierzyć. Problem z samą konwencją kryminału jest banalny: jest prawdziwy trup i prawdziwy zbrodniarz, a w teatrze trudno w to uwierzyć.

Strój sugerowany Rickowi przez dydakalia nie ma nic wspólnego z jego osobowością.

Istotne jest to, czy ten kostium go buduje. W „Niebezpiecznej grze” nie jest uniformem bez znaczenia. Przyglądaliśmy się mu z autorką kostiumów Wandą Kowalską dokładnie, zadając sobie pytania, co on dla Ricka znaczy, jak ma w nim wyglądać i funkcjonować. To jest bardzo ważne, znam kolegów, którzy od tego zaczynają.

Czy bohaterka, którą wykreowała Maria Seweryn, zaskoczyła Pana na próbach?

Zaskakuje mnie bardzo, gdyż jako „sceniczne zwierzę” dysponuje przede wszystkim odmiennym od mojego temperamentem. Zaskakiwała mnie też swoimi reakcjami na różne moje kwestie – czytając tekst wyobrażałem sobie reakcje Jane w zupełnie inny sposób. Było to fascynujące i mam nadzieję, że na tyle się otworzyłem, że mogłem z tego skorzystać.

Ostatnie pytanie dotyczy nas, widzów. Układacie sobie coś, budujecie – i nagle wkracza publiczność. Jak się próbuje, nie wiedząc, czy zwroty akcji kryminału działają?

Zawsze się próbuje bez widza i zawsze jest ten moment, kiedy się z nim trzeba skonfrontować. W przypadku kryminału ważne są zwłaszcza puenty, zarówno te pośrednie, jak i końcowa. I do momentu, kiedy nie pojawi się widz, nie wiemy, czy te puenty działają. U Stockwella ważne są wszystkie zwroty akcji, ale ich nie sprawdzimy, dopóki publiczność nie przyjdzie i nas... nie zaskoczy!

© Rozmawiał TOMASZ DOMAGAŁA

■ Sztuka Richarda Stockwella już 22 listopada pojawi się na deskach Teatru Mazowieckiego w Mazowieckim Instytucie Kultury.

ORGANIZATOR

MAZOWIECKI
INSTYTUT
KULTURY

JEDNOSTKA
ORGANIZACYJNA
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA
MAZOWIECKIEGO

20 lat Mazowsze

JAN

Klata:

Do boga rzeczy małych



LISTOPAD W POLSCE JEST OWOCNY, PRZYWIEWA moc wrażeń. Małe rzeczy: kolorowe ptaszę (wrobel?!) przymocowane do złączenia krzyża na grobie Andrzeja Żuławskiego w Górze Kalwarii, otwarte molo w Zoppot, życzliwość strażaka (Bóg mu gości pozazdrości!) w Starym Teatrze – prawie wszyscy dodatkowi weselnicy się zmieścili.

Banalność dobra uderza rykoszetem, nie z liścia, nie z laczka, nie z bańki. Jest niczym mistrzowsko wykonany cios wibrującej pięści w splot słoneczny – naprawdę musi zrobić wrażenie, choć nie od razu. Bezmiar bezinteresowności to cel niewątpliwie nieosiągalny, ale przecież – jak to mawiają teatralni koledzy i koleżanki – nie efekt jest ważny, tylko proces.

À propos procesu: podczas piewszej Wielkiej Wystawy Światowej w Londynie (1851) jedną z atrakcji Kryształowego

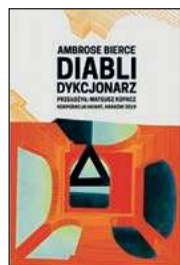
Pałacu była Wenus z Milo – wyrzeźbiona w maśle! Czy to nie piękne? Łezka się w oku kręci, nasz orzeł z czekolady do pięt nie dorasta. Bezinteresowność do kwadratu, po prostu, na wielu płaszczyznach. Coś, co przetrwa, w ludzkiej pamięci się odcisnie.

Listopad w Polsce, kawiarnia nieopodal dworca Sopot Główny, kolejka do kasy, mężczyzna przyjezdny przestępuje z nogi na nogę, a pani przed nim mówi: „Proszę bardzo, może niech pan zamówi, bo widzę, że pana nosi”. Szykowna pani w wieku mojej mamy, z równie szykowną koleżanką, prze-rwała staranny proces wybierania torcików, zorientowała się, że coś z bliźnim nie tak, i przywróciła równowagę świata, z gracją wyszła ze swej – ale co pan, proszę się uspokoić, nie napierać, teraz ja zamawiam! – strefy komfortu i zgasiła pożar w zarodku. Od razu przestałem się śpieszyć (rzeczywiście mnie nosiło, bo zaraz próba), podziękowałem, odmówilem à la „ależ gdzieżbyż”, nawiązał się dialog, przybyło dobrostanu, świat okazał się sensownym miejscem do spędzania czasu, a o to przecież w nim (świecie) chodzi. Mała rzecz, a cieszy, raduje, wiedzie nas wzwyż.

À propos radości: 11 listopada w stolicy, godzina wczesnopopołudniowa, skrzyżowanie ulic w centrum, na skrzyżowaniu sklep monopolowy 24 h. Przed sklepem długa kolejka spragnionych mężczyzn, każdy z biało-czerwoną opaską Polski Walczącej na ramieniu. Ojczyznę wolną racz im wrócić, Panie! ©

Lektor:

Katechizm cynika



■ Ambrose Bierce
DIABLI DYKJONARZ
Przeł. Mateusz Kopacz.
Korporacja Ha!art,
Kraków 2019, ss. 576.

BYŁ DZIESIĄTYM Z TRZY-
naściorga dzieci pary
purytanów, których
przodkowie przybyli do
Ameryki w XVII wieku. Cała
trzynastka nosiła imiona na
A (od Abigail do Aurelii). Do-
rastał w Kosciuszko County
w stanie Indiana, do szkoły
chodził w mieście Warsaw...
Niczego nie zmyślam, choć
sam Ambrose Bierce (1842–
1913?) może się chwila-
mi wydawać postacią wymy-
śloną. Żołnierz, dziennikarz

i autor świetnych opowia-
dań, w których z okrutnym
realizmem pokazał wojnę
secesyjną (walczył po stronie
Unii). Mistrz horroru i czar-
nego humoru, zgryźliwy
impertynent, sceptyk
i cynik. Wypalony i roz-
goryczony, w wieku 71 lat
ruszył w podróż szlakiem
bitew, w których kiedyś
uczestniczył, a w listopadzie
1913 przekroczył granicę
ogarniętego wojną domową
Meksyku. Gdzie, kiedy i jak

zakończył życie, do dziś nie
wiemy, hipotez jest wiele,
Carlos Fuentes poświęcił
jego domniemanym losom
powieść zekranizowaną
w 1989 roku, z Gregorym
Peckiem w roli Bierce'a.
„Diabli dykcjonarz”,
powstający długo i w osta-
tecznej wersji opublikowany
w 1910 roku, jest najważ-
niejszym dziełem pisarza,
w 200-lecie amerykańskiej
Deklaracji Niepodległości
znalazł się na liście „100
arcydzieł amerykańskiej
literatury” jako jedyny
utwór satyryczny. Słowo
„satyra” jest zresztą zbyt
mało pojemne – chodzi
przecież o gorzki owoc cało-
życiowego doświadczenia,
a zarazem dzieło wywro-
towe, rozprawiające się
z ludzkimi ułudami. „Każde
hasło tej książki – pisze
Mateusz Kopacz – ma za
zadanie namieszać w głowie
czytelnika”. Czy dlatego
dotychczas przetłumaczono
na polski jedynie fragmenty?

Kopacz wskazuje inny
powód: trudności przekładu,
w tym niejasne konteksty
historyczne, gry słowne,
stylizacje, kryptocytaty,
a także wiersze wplecione
w niektóre hasła. Przypisy
tłumacza zajmują ponad
150 stron!
Dla zachęty kilka z przeszło
półtora tysiąca haseł: „Cynik
– podlec, któremu wadliwy
wzrok każe widzieć rzeczy
takimi, jakie są, a nie jakimi
powinny być”; „Grób
– miejsce, w którym zmarli
oczekują nadejścia studenta
medycyny”; „Konserwatysta
– polityk rozkochany
w obecnym bezprawiu,
w odróżnieniu od liberała,
który pragnie je zastąpić
nowym”; „Przebaczenie
– podstęp, by uspić czujność
winowajcy i następnym
razem złapać go na gorącym
uczynku”. I jeszcze: „Religia
– córka Nadziei i Strachu,
wyjaśniająca Ignorancji
naturę Niepoznawalnego”.
Owocnej lektury! ©®

PAWEŁ

Bravo:

Acqua alta



4 MILIARDY EURO. A MOŻE BĘDZIE WIĘCEJ, faraonские projekty mają to do siebie, że zasysają coraz więcej, zwłaszcza pod koniec. Pada argument, że tyle pieniędzy już poszło w błoto, w piach czy w beton, że szkoda byłoby zmarnować roboty, nie dosypując paruset milionów na ostatnie niezbędne prace. Faraon tutaj pada nieprzypadkiem, bowiem mowa o „Mojeszku”, systemie wielkich grodzi i śluz, który ma docelowo zatkać ujścia do laguny weneckiej w chwilach, gdy nadchodzi większa fala przypływu. Tylko fakt, iż realizujące pomysł konsorcjum „Venezia Nuova” wiele lat temu sfinansowało konkurs, w ramach którego Josif Brodski napisał „Znak wodny”, ratuje jego kierownictwo przed wiecznym potępieniem w piekle. Jeśli chodzi o kary doczesne, to trzydziestka menedżerów siedzi w pudle za łapówki i malwersacje.

Morze to oddychający stwór, jego brzuch regularnie się unosi i opada. Miłośnicy Dębek czy Międzywodzia nie miają okazji porządnie zaznać, co to znaczy przypływ, ale dobrze wiedzą o tym choćby ci, którzy plażowali nad Atlantykiem. Tabela pływów jest tam bardziej niezbędna od prognozy pogody. Podobnie w Wenecji, zwłaszcza w zimie, kiedy silny wiatr z południa nagania wielkie masy wody do zamkniętego kąta górnego Adriatyku. Jeśli się wybieracie za dwa miesiące na karnawał, sprawdzajcie wykresy *acqua alta*. Powyżej dziewięćdziesięciu centymetrów – na plac Świętego Marka nie wejdzicie suchą nogą, ale pomosty zapewnią wam wygodne przejście. Powyżej stu dwudziestu – na pewno zmoknięcie po kostki, nie wkładajcie paradnych butów. Tyle pociechy, że to wszystko trwa krótko. Po wydechu następuje wdech, brzuch bestii się kurczy.

Te dramatyczne, pełne grozy migawki z telewizji i portali z zeszłego tygodnia trzeba brać właśnie w tym kontekście. To nie był wielki, niespodziewany cios, lecz zjawisko oczywiste i spodziewane. Tyle że w skrajnie intensywniej postaci, wzmocnionej przez wiatr i ulewę. Wody przyszło ciut więcej niż zwykle, ale to „ciut” uczyniło istotną różnicę. Wpiszcie do wyszukiwarki YouTube hasło „Creepy flood warning in the streets of Venice”, czyli „upiorny sygnał ostrzegawczy przed powodzią”. To tylko pół minuty, o tyle uwagi was proszę. Wysokość fali miejski system alarmowy przekłada na liczbę tonów podawanych przez syreny – od jednego do czterech. Na tym wideo usłyszycie ich aż cztery, i jest to progresja harmoniczna godna porządnego kompozytora. Nawet z syreny ostrzegawczej potrafią tam uczynić znak piękna. Ktoś, kto nazwał nagranie *creepy*, musiał być szczególnie tępy, nic tam nie ma upiornego, jest tylko majestat jerychońskiej trąby. Chyba że

się boicie zobaczyć prawdziwe syreny, takie z ogonem, nagrane dźwięki każą się spodziewać spotkania z nimi za następnym rogiem.

Ja się nie boję. Gdyby nie obowiązki redaktorskie, popędziłbym do swojego miasta-z-wyboru, które kiedyś może było kluczowym ośrodkiem handlu, polityki i kultury, ale dziś istnieje tylko po to, żeby na nie patrzeć. Rola ciekawskiego widza nie przynosi tam ujmę, jak np. bycie gapiem powodzi w bardziej normalnym miejscu. „Wenecjanin pada na kolana tylko żeby się modlić” – głosi lokalne powiedzenie, ale jest w nim, oprócz taniego patosu, podkład praktycznej zapobiegliwości, jaką przez stulecia wykazywała się Republika w zapewnianiu sobie świętego spokoju. Sprowadzała inżynierów z najdalszych zakątków Holandii, dbała systematycznie o udrażnianie kanałów, potrafiła przez stulecia utrzymać delikatny system hydrologiczny chroniący miasto przed skrajnościami morza i rzek, które zasilają non stop lagunę. Ale dziś ludzkość potrzebuje zapanować nad przyrodą raz a dobrze. Staromodne wybieranie mułu, koszenie wodorostów, odświeżanie zastawek i mnóstwo równie nieefektywnych czynności ciśnięto w kąt i wszystkie pieniądze poszły na „Mojeszka”.

A potem kiwamy głową, że kataklizm i do tego wina globalnego ocieplenia. Kryzys klimatyczny zaczyna nam nieraz służyć za rodzaj apokaliptycznego alibi: dzieje się źle, no bo „człowiek popsuł planetę”, i dopóki nie zadziałamy na skalę globalną (a wiadomo, że nie zadziałamy), to nic się nie da zrobić. Wenecja będzie tonęła. Szlag mnie od takiego gadania trafia, ręce się trzęsą, aż mi się w zeszłą środę risotto przypaliło i zaciąłem sobie palce, zdejmując błony z wołowych policzków na obiad. Wolę myśleć, że coś się jednak da, tak jak trwamy przez każdy kolejny dzień, od pierwszego łyka wody rano po ostatni kęs wieczornej szarlotki, a nasze życie faluje w nieustannym wdechu i wydechu. Sami możemy być własnym Mojeszem, prowadząc się na drugi brzeg. ©P

Dzwoniłem do dwóch ulubionych weneckich lokali, nie zalało ich, są położone w wyższych partiach miasta, tych akurat mniej turystycznych. Żeby się trochę oderwać od



tych obrazów, pocieszałem się w weekend łatwymi i szybkimi bułeczkami scones, o których pisałem kiedyś w wersji deserowej – ale teraz zacząłem je przyrządzać na słono-słodko. Są na tyle proste, że można je zrobić na śniadanie, wstając tylko pół godziny przed domownikami. 450 g mąki (może być częściowo pełnoziarnista) mieszamy z 6 płaskimi łyżeczkami proszku do pieczenia i łyżeczką soli. Wcieramy w to palcami 75 g pokrojonego na kawałki

zimnego masła. Wkrajamy 125 g pokruszonego niebieskiego sera i dwie garści suszonej żurawiny. Wlewamy 300 ml maślanki. Całość mieszamy płaskim nożem. Kiedy ciasto zacznie się łączyć, przenosimy masę na oprószoną stolnicę i krótko zagniatamy. Szybko formujemy placek o wysokości 2,5 cm. Wycinamy z niego krążki o średnicy ok. 7 cm. Resztki po wycięciu znowu formujemy w placek i dalej wycinamy krążki. Pędzlujemy je maślanką i pieczemy w 200 stopniach ok. 15 minut, aż bułeczki się zrumienią i postukane od spodu, będą wydawać głuchy odgłos.

ZMYŚŁY

MIĘDZY PSEM A WILKIEM

Nasz naród uwziął się na Bieszczady
jak na żaden inny kawałek Polski.

Ich pustkę zamieniliśmy
na natłok emocji i skojarzeń.

ADAM ROBIŃSKI

TATERNIK WŁADYSŁAW KRYGOWSKI (1906-98) ZWYKŁ MAWIAĆ, że bez wyobraźni nie ma co patrzeć na góry. To dzięki niej tworzy się nowy, lepszy, piękniejszy świat. Autorski, taki, jakiego nie zobaczy nikt inny. I dopiero wtedy wiadomo, po co się w te góry poszło. Miał jeszcze kilka innych powiedzonek, którymi szafował, gdy ktoś namawiał go na wspomnienia. Jak to, że „radość ze zjazdu bierze się z trudu podejścia”. Albo że „w góralskich izbach zegary tykają powoli, trochę szybciej na zachodzie gór, ale im dalej na wschód, tym wolniej”. Albo że „niziny rodzą pośpiech, a góry trwanie”. Albo że „jeśli w górach zawołać, to zawsze ktoś odpowie, dlatego żadna górską wycieczka nie jest do końca samotna”.

Kurs na Mordor

Z anegdot Krygowskiego najbardziej lubię jednak tę o kij, który miał tylko jeden koniec. Krygowski szedł kiedyś przez Bieszczady, podpierając się leszczynowym kijem, a kończąc tę wędrowkę na stacji w Zagórz, na chwilę wbił go w ziemię obok płotu znajomych gospodarzy. Przypomnił sobie o nim, gdy pociąg mijał już Sanok. Ale potem pamiętał cały rok. Kiedy kolejnego maja kończył jeszcze jedną bieszczadzką wycieczkę, znów wybrał się do zagorzańskich przyjaciół. Odnalazł to miejsce, ale zamiast kija zobaczył pełnoprawną, żywą, bujnie zieloną roślinę. Jej szczyt wieńczył zwinięty jak muszla listek. Kij zapuścił w bieszczadzkiej ziemi korzenie, jak wielu przed nim i wielu po nim.

Z Krygowskim było trochę jak z Frodo Bagginssem. Kiedy w maju 1950 r., pierwszy raz po wojnie, przyjechał w te strony, a potem szedł z misją na południowy wschód, w nieznane, do jakiegoś Mordoru, w głowie kręciło mu się od zapachów. Czuł węglowy dym, swąd ropy, szalejącą wiosnę z akacjowo-maciejkową nutą i jeszcze smród z przepelnionych klozetów. Kiedy osobowy do Komańczy ruszał na południe, było już dobrze po zmroku. Jego pierwszy opis Bieszczadów siłą rzeczy nie wnosi więc wiele do zasobów sprawozdań krajoznawczych: „Jechaliśmy w ciemnościach, w których jedynymi latarenkami były gwiazdy, iskry z lokomotywy, tu i ówdzie nieśmiałe światełko w oknie, a wewnątrz wagonu rozżarzające się i gasnące błyski papierosów”.

Co to była za misja? Zleciło ją Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, a jej szczegóły zawierały się w stwierdzeniu podbitym okrągłą pieczętką: „Dla zbadania możliwości rozwoju turystyki od Komańczy po Cisną i Ustrzyki Górne”. Być może oprócz tego kwitu miał w plecaku jakąś przedwojenną mapę tych stron, ale i tak szedł na czuja, za sprzymierzeńca mając przesuwające się w przeciwnym kierunku niż on sam słońce. Jego trasa pokrywała się niemal w całości z przebiegiem współczesnego Głównego Szlaku Beskidzkiego, łatwo więc przesyconą przymiotnikami relację z tej podróży przypisać do kolejnych lokacji. Czytelnik wędruje wzdłuż Oslawy do Duszatyna, wzdłuż Olchowatego, przez jeziora do Chrysz-

czatej, grzbietem do przełęczy Żebrak, przez Jaworne, Wołosz, Sasów i Jasiennik do Habkowic i wreszcie baligródzkim traktem aż do Cisnej, a potem pada ze zmęczenia nosem między strony, tak jak Krygowski padł tamtego gwieździstego, majowego wieczoru głową na stół, pijąc herbatę i kurząc papierosy ze starym pracownikiem tartaku w jednej z paru chałup, jakie pozostały po wsi. Poprzedniego ranka Krygowskiego obudził hałas przejeżdżającego przez Komańczę parowozu. Teraz – ostre, czerwone słońce, od którego zapłonęło niebo nad Łopiennikiem.

Upierwotnienie vegetacji

Relacja Krygowskiego trafiła do książki „Wspinaczka po tęczy” (1985). Miało to miejsce, gdy do Cisnej i jeszcze dalej zapuszczały się już setki tysięcy Polaków. Jednak najważniejszym owocem tamtej eskapady była o wiele wcześniejsza, pierwsza powojenna mapa Bieszczadów. Wkład Krygowskiego dotyczył treści turystycznej. Szlaki, zabudowania, przystanki pekaesu, bacówki, schroniska, urzędy pocztowe i niewiele więcej. Kilka czerwono-czarnych piktogramów na niedużej płachcie w skali 1:125 000.

Znalazłem ją na internetowej aukcji. Po długich poszukiwaniach – wyobrażałem sobie, że większość egzemplarzy z wcale nie tak śladowego nakładu dokonała żywota w gó-

rach: rozszarpane przez karpackie wichury, rozmiękczone przez ulewy, zmięte w kule i ciśnięte w krzaki przez sfrustrowanych wędrowców, których wyprowadziły w pole.

Mój, tylko trochę nadgryziony zębem czasu egzemplarz przyjechał z Łodzi. Prezentuje świat w wyblakłych żółciach. Lasy zaznaczono plamami składającymi się z tysięcy drobnych kropek, jakby kartograf chciał nanieść każde drzewo z osobna. Liczne drzewa i potoki tworzą tkankę kostną, pomarańczowe prostokąty ludzkich osad są jak organy wewnętrzne. Lubię trzymać ją do góry nogami i wyobrażać sobie, że jestem pionierem na północnoamerykańskiej prerii. Zostawiam za plecami wschód i cywilizację, a potem idąc w stronę popołudniowego słońca szkicuję rzeczywistość jutra. Toponimy kończą się na ostatnim zgęszczeniu, za którym jest jeszcze dużo pustego. Ta przestrzeń to oczywiście spuścizna po akcji

„Wisła” i wysiedleniu tysięcy osób narodowości innej niż polska. Powojenne przewodniki turystyczne maskowały ją enigmatycznymi frazami o „wtórnym upierwotnieniu vegetacji”.

Bieszczady, które oglądali pierwsi powojenni osadnicy, były pisane małą literą. Bieszczady jako rzeczownik pospolity, jak stepy, tajga czy góry. Najpierw przybyli marzyciele. Garstka dziwaków z głowami w chmurach, romantycy i utracjusze, których skusiła wizja wolnej przestrzeni nieograniczonej regułami. Antropolog Krystian Połomski nazwał ich „opcją wolnościową”. Jeśli tak, to drugą falę stanowiła „opcja nakazowo-administracyjna”. To byli ludzie, którzy przyjechali na skraj Podkarpacia za pracę. Głównie w lesie. Jodły i buki Puszczy Karpackiej miały być budulcem nowej, socjalistycznej Polski. Za nimi jechały kobiety, a z ich miłości



Władysław Krygowski, lata 70. XX w.
Na sąsiedniej stronie: Henryk Victorini
na klaczy Donia, Tworylnie 1959 r.

JANUSZ KONIECZNAK

⇒ rodziły się dzieci. One były już „stąd”, choć wtedy znaczyło to niewiele. Górami interesowali się tylko tacy jak my. My przyjechalśmy na samym końcu.

W czasach, gdy w Ustrzykach Górnych były tylko strażnica Wojsk Ochrony Pogranicza i schronisko PTTK, pierwsi z nas wspinali się przed świtem na Halicz łudząc się, że zobaczą światła Lwowa. A potem zaczęli zadeptywać te góry i opowiadać o nich swoje historie.

W siodle z laborantką

„Ludzie przyjeżdżają w te strony, widzą puste przestrzenie i od razu wydaje im się, że to wszystko należy do nich” – usłyszałem od osiemdziesięcioparoletniego Henryka Victoriniego. Jakby każda pusta przestrzeń wymagała wypełnienia, była tylko stanem przejściowym. Victorini wie, co mówi, bo jako jeden z „wolnościowców” ogląda Bieszczady już od ponad 60 lat. Jego status legendy potwierdza nawet kartografia. Trzeba, idąc wzrokiem południkowo od Teleśnicy, skanować wschodni brzeg Jeziora Solińskiego. Zatoka Victoriniego wcina się w łąd niczym szkocki loch.

Victorini mieszka dziś kawałek dalej, po drugiej stronie góry, której nazwy nikt już nie pamięta. Nie ma prądu, do jego domu nie prowadzi żadna przejezdna droga, a żeby się tam dostać, trzeba parokrotnie brodzić w potoku. W Bieszczadach pojawił się w latach 50. Razem z kolegą wypasali bydło. Od zarządcy pegeeru dostali konie, stary namiot, surowicę na jad żmij, pięćset krów do pilnowania i jedną radę: radźcie sobie sami.

Przyjeżdżali w maju, gdy bieszczadzki świat miał tylko dwa kolory: niebieski jak San i zielony jak wszechobecna świeża trawa. Zostawiali do października, gdy ziemia żółkła, a niebo szarzało. Kiedyś w Krywem Victoriniego spotkał reżyser Wadim Berestowski. Tak mu się spodobały anegdoty zaradnego studenta, że przerobił je na scenariusz filmu „Rancho Texas”. To miał być pierwszy polski western, ale – mówiąc słowami jednej z jego bohaterek: „Bieszczady to nie Teksas, a ja to nie Mary, tylko Agnieszka, laborantka z Krakowa”. Wyszedł więc prosty kryminał o przemytnikach i miastowych naiwniakach, którzy za dużo myślą o kobietach.

Victorini, który świetnie radził sobie z końmi, został najpierw dublerem, a potem – w myśl peerelowskiej propagandy, która poszła za filmowym ciosem – archetypem bieszczadzkiego kowboja. Być może z uwagi na krajobrazowe realia bardziej pasowałby tu osadzony w Argentynie rzeczownik „gauczowie”. Ale z za żelaznej kurtyny nikt przecież nie widział Ameryki Południowej.

„Piszesz o moich ukochanych Bieszczadach?” – słyszałem z kolei na każdym kroku na wieść o tym, że właśnie to robię. „Ukochane Bieszczady”, przemytnicy, kowboje, i jeszcze zakapiory, czyli typy, których wszędzie indziej trzyma się raczej na dystans, a tu, za 50. równoleżnikiem, traktuje jak źródła bezdennej mądrości.

Uwzięliśmy się jako naród na te Bieszczady jak na żaden inny kawałek Polski. Pustkę zamieniliśmy na natłok emocji i skojarzeń. Łatwo się o tym przekonać po drugiej stronie karpackiego wododziału. W słowackich wsiach przylegających do Parku Narodowego Połoniny, który nie ma za południową granicą żadnej marki. Powstał nadludzkim wysiłkiem przyrodników, którzy dziś frustrują się, że w Bratysławie

niekt o nim nie pamięta. Bo co to za góry, takie niskie, zarosnięte lasem, i jeszcze tak daleko na wschodzie. Prawie na Ukrainie. Żeby poczuć tę amplitudę westchnień względem krajobrazu, wystarczy stanąć na głównej grani. Jeden krok na północ – miliony piechurów, rajdy, kowboje, zakapiory, Matka Boska Łopińska, „Szałas na połoninie” i jeszcze kapitan Rebrow z „Watahy”. Krok na południe: „Turyści? Kto by ich tam liczył! Niedźwiedzie? Kto by się tam emocjonował. Atrakcje? Kto by tam szedł”. Kiedy po słowacku mówisz „połoniny”, to raczej myślisz „Pieniny”. A więc Bieszczady jako przeżyczenie.

Tymczasem my, Polacy, w kilka dekad stworzyliśmy fikcyjną krainę, naturalny park rozrywki, turystyczny produkt dopasowany do wszelakich potrzeb. „Jak sprzedać Bieszczady?” – pytali artystów redaktorzy „Dużego Formatu”, przygotowując w 2014 r. numer w całości poświęcony tym góróm (który nieprzypadkowo zbiegł się w czasie z premierą „Watahy” na HBO). W odpowiedzi usłyszeli ten sam ciąg przymiotników: dzikie, bezludne, piękne i niezwykle. Elżbieta Dzikowska mówiła „nie sprzedawać”, ale zaraz potem dodawała, że cudownie, bo „gwiazdy stoją nad górami”. Piosenkarz Stan Borys przyznawał z kolei, że w Bieszczadach czuje się jak w Oregonie. A jak Oregon, to wiadomo: Indianie, mustangi, deszcz i gorączka złota. Tylko dlaczego o Tatrach nikt nie mówi, że to Kolorado?

Zróbmy rezerwat

Był kiedyś taki pomysł – zrobić z Bieszczadów rezerwat, tyle że dla wytrawnych turystów. Po prostu odgrodzić je niewidzialną linią, która biegłaby od Łupkowa, przez Komańczę, połykała pasma Chryszczatej i Łopiennika, potem szła ramieniem z północnym zboczem Otrytu, przed Smolnikiem odbijała na południe, a za Stuposianami na wschód, kończąc w Sanie. To było w latach 30. XX wieku – polska wieś wychodziła z mroków zaborów i naftowych lamp, nowoczesność pukała w karpackie doliny, a kilku geografów zastanawiało się, czy w paru miejscach jej nie wyhamować. Brak infrastruktury ubrać w szczytne hasła, przeznaczyć dla ludzi o wysokim progu odporności na wakacyjny dyskomfort.

Potem wybuchła wojna. Do idei rezerwatu turystycznego powrócono w 1973 r. Opustoszałe bieszczadzkie doliny świetnie nadawały się, by wcielić ją tam w życie. Ale i tak związani ze studenckim ruchem turystycznym autorzy propozycji wiedzieli, że porywają się z motyką na słońce. Pewnie dlatego mówili o „chwili nieuzasadnionej fantazji”. Plan zakładał brak bazy hotelowej i budowę jedynie paru schronisk oraz sieci niezagospodarowanych wiat noclegowych. I skasowanie szlaków – każdy chodziłby tam, gdzie chce, pod warunkiem ustępowania pierwszeństwa przyrodzie. Trudno rozpatrywać ten pomysł inaczej niż tylko w kategoriach utopijnych. Takie były zresztą głosy polemiczne, a „Polityka” pisała o „radikalnej bieszczadzkiej lewicy”. Warto jednak prześledzić późniejszą dyskusję, choćbyśmy mieli z niej wyciągnąć tylko jeden list czytelnika, w XXI wieku dudniący wyjątkowo silnym echem: „Wiadomo, że Bieszczady są ostatnią białą plamą na mapie Polski i trzeba być diabelnie krótkowzrocznym i pozbawionym wyobraźni, by ten skarb zaprzepaszczać. Już nasze dzieci, a tym bardziej wnuki zmęczone cywilizacją, stęsknione za nieskażoną naturą, przeklną naszą lekkomyślność”.

„A może by to wszystko rzucić – pardon, pier... – i wyjechać w Bieszczady?” – brzmi ulubiony ostatnimi laty slogan przepracowanych. Skąd się wziął, wyjaśniłby pewnie Marcin Napiórkowski, ekspert od współczesnych mitologii z Tygodnikowych łamów. Ale dowcip z taką puentą krążył już w PRL-u. Dość powiedzieć, że Bieszczady najczęściej stają się memami po porażkach polskich piłkarzy. Bieszczady zdejmują z człowieka wszelką odpowiedzialność. Bieszczady jako Eden, miejsce, gdzie nie trzeba, a wszystko można. Gdzie nawet jak leje, to jakby przyjemniej. Gdzie błoto uszlachetnia, a bimber nie tyle rozrzedza krew, co przydaje jej błękitu.

A więc dzikość, legenda, mit. „Mit to rodzaj opowieści o świecie uzasadniającej jego początki, wyjaśniającej, jak z chaosu wyłania się kosmos. Tymczasem większość z nas odbiera mit jako coś nieprawdziwego, z gruntu fałszywego, ot, stek bzdur – mówiła w poświęconym Bieszczadom wydaniu „Dużego Formatu” Patrycja Trzeczynska, etnologka i ukrainoznawczyni z Uniwersytetu Jagiellońskiego. – Etnografowie badali niegdyś społeczności, dla których mity – ich opowieści o świętym czasie początku – były wiarygodne. W przypadku Bieszczadów ich odczytanie pomaga wyjaśnić to miejsce. Czasem początku jest jego powtórne zasiedlenie po 1947 r. Zamiast istot nadnaturalnych, bogów i herosów, mamy heroicznych pionierów”.

Etnologka podkreślała, że jeśli w Bieszczadach szukać dziś autentyzmu, to właśnie wśród przaśnych artystów dłubiących w bukowych palikach hinduistyczne bożki wolności. Wśród zakapiorów i kowboi. Bo na pewno nie zostało już w Bieszczadach nic z ich przedwojennego, rusińskiego, a może raczej wielokulturowego oblicza. Z czasów, gdy doliny nie były wyludnione, ale przeludnione, a cerkwie tętniły życiem.

Sama bieda

Jedną ze składowych bieszczadzkiego mitu stał się Edward Stachura (1937-79). Choć był w tych górach tylko raz, a może dwa, pasował do niego ten wolnościowy, kowbojski mit jak do nikogo innego. Napisał kiedyś o godzinie między psem a wilkiem. To ten czas o zmierzchu, gdy trudno odróżnić jedno od drugiego. W Bieszczadach wszystko jest takie między psem a wilkiem. Między prawdą a mitem, między pięknym kłamstwem a ordynarnym oszustwem.

Taka jest właśnie ta bieszczadzka dzikość. Najlepiej wygląda na starannie wyreżyserowanym zdjęciu. Takim, na które nie łapią się ani zręby na zboczach Otrytu, ani padlina, jaką fotografowie wykładają przed swoimi czatowniami dla nęcenia drapieżników. Na którym nie słychać leśniczego, jak z kamerą ugania się za niedźwiedziami, przy okazji płosząc wilki. Może dlatego w Bieszczadach drzewa przeznaczone do wycięcia znakuje się na zielono, a nie na czerwono lub pomarańczowo, jak robi to reszta Polski? Przecież zielony znaczy dziki. „Bieszczadzka dzikość objawia się więc dwójako



TADEUSZ OGONOWSKI / FORUM

Bieszczady, lata 50. XX w.

– w cichej kontemplacji lub ujeżdżaniu bezdroży quadem” – zauważa Trzeczynska. Gdyby nie krępowały jej surowe prawidła naukowego wywodu, napisałaby pewnie, że z tymi Bieszczadami po prostu powariowaliśmy.

Tym bardziej że w tym konglomeracie narracji ginie co najmniej jedna opowieść, jej echa tylko czasem kołoczą w dolinach. Któregoś razu Victoriniego odwiedził w Paniszczowie dawny mieszkaniec tej wsi, wysiedlony potem gdzieś na Dolny Śląsk. Wypili razem herbatę, poszli do starego sadu i na cerkwisko, porozmawiali, a potem gość się pożegnał. Na odchodne rzucił jeszcze: „Wracać? Tutaj? Panie, co to było za życie? Bez prądu, bez kanalizacji, sama bieda”.

To samo usłyszał kiedyś młody Aleksander Fredro od swego ojca, pana na dworze w Cisnej, właściciela jeszcze paru innych podkarpackich majątków. Była pierwsza lub druga dekada XIX wieku, a nastoletni chłopak przyjechał z nim doglądać tamtejszej fabryki. Wyglądało to romantycznie i dziko. Po koronach jodeł ślizgał się dźwięk góralskich trombit, pstrągi można było wyciągać z potoków wiadrami, pasterze częstowali bryndzą, ostrzegając tylko przed niedźwiedziami: miały być wielkie jak stół i jeszcze kilka kopców siana. Ale potem zaczęło padać, wszystko tonęło w błocie, a ojciec, w przypływie szczerości, przyznał: „Prawdziwym jest nieszczęściem w górach to oddalenie od wszelkiego światłego towarzystwa. Poznałem to w najwcześniejszej mojej młodości, dlatego wszelkich sił dołożyłem, aby się z gór wydobyć. (...) Żyłem zawsze z ludźmi i dobrze na tym wyszedłem, bo mogłem wam dać lepsze wychowanie, niż je sam otrzymałem”.

A może by to wszystko rzucić i z tych Bieszczadów uciec?

© ADAM ROBIŃSKI

27 listopada nakładem wydawnictwa Czarne ukaże się książka
„KICZERY. PODRÓŻ PRZEZ BIESZCZADY” Adama Robińskiego.



ADAM ROBIŃSKI będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 20 listopada o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odśłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

STANISŁAW

Mancewicz:

O wstrzymywaniu



OSTATNIE, A W ZASADZIE PIERWSZE GŁOSOWANIE w Senacie o tyle przykuło naszą uwagę, że jedna pani senator wstrzymała się od głosu. Jesteśmy tu najdalsi od roztrząsania jej racji czy tłumaczeń bądź też uważania w tej sprawie czegośkolwiek politycznego. To nie ma oczywiście sensu. Ale zdaje się, ma to

zdarzenie przydatność do rozważań na tematy szersze. Otóż wydaje nam się, że dana tradycyjnie możliwość wstrzymywania się od głosu w parlamencie jest wyjątkowo niefortunna. Jest staroświecka i tym samym nie oddaje aktualnej sytuacji planetarnej. Takie obyczaje można było sobie uprawiać w starożytnej Grecji bądź gdzieś, gdzie ktoś kogoś naprawdę słucha, a takich miejsc jest już niewiele i nie jest to na pewno parlament.

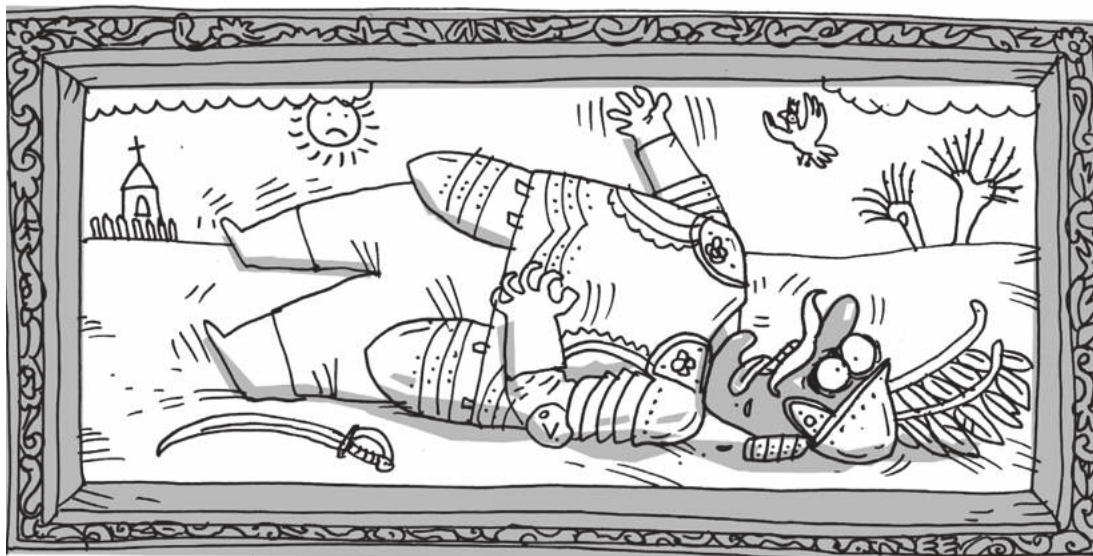
Wyborca szalenie szary, najbardziej nieatrakcyjną szarością listopadową, od dawien dawna wybiera sobie reprezentanta bynajmniej nie po to, by ten nie potrafił podjąć decyzji bądź by w jakiejś sprawie nie miał zdania. Od hamletyzowania to my jesteśmy, tu na ziemi po wielokroć zroszonej. To my także jesteśmy od bezustannego bicia się z myślami, od ważenia racji, dzielenia włosa i tym podobnych zabaw – za przeproszeniem – intelektualnych, co *per saldo* znaczy

tylko, że wstrzymujemy się od głosu właśnie. Ale parlamentarzysta? Skąd? Po co? Dlaczego? Parlamentarzysta nie tylko chyba polski, zważmy, jest figurą z innej niż my bajki. Ma po pierwsze zawsze rację, za którą nie umiera, ma zawsze cementowe zdanie w każdej sprawie, choćby na jakiś temat nic nie wiedział. Iluż ludzi władzy ustawodawczej stanowiło prawo będąc analfabetami na poziomie rozróżniania dobra od zła? Rzesze. Iluż nie umiało bądź nie umie pisać ani czytać? Drugie tyle. Iluż nie umiało policzyć do dziesięciu? Z tych, co mówią o podatkach bądź emeryturach? Tyle samo. Ktoś się zapyta, skąd to niby wiemy. Ano wiemy, bo na parlamentarystę polski patrzymy od trzech dekad codziennie, a nie jak niektórzy, odkąd wykreował tę modę pan K. Słowem, przemawia przez nas znakomite doświadczenie życiowe. Weźmy pod lupę nie tylko tych, których już wybrano. Popatrzmy na kandydatów. Nie jesteśmy sobie w stanie przypomnieć, bowiem jest to po prostu niemożliwe, by jakkolwiek chętny na stanowisko posła bądź senatora głosił kiedykolwiek w kampanii wyborczej, że gdy zostanie wybrany, nie będzie mieć zdania w jakiejś sprawie, że się tu, albo tam, wstrzyma. Jest to – popatrzmy – projekcja komiczna, jest to szukanie kwiatu paproci. Nie ma i nie było tu nigdy ludzi, którzy by na wiecu wyborczym w ten sposób rozdziewali się do rosołu.

Ktoś teraz powie, że narzekania w tym guście to strata czasu i atlasu, że roztrząsanie sensu czynności wstrzymywania się od głosu w parlamencie to temat arcyperyferyjny, że jest to modelowanie rzeczywistości *de facto* poza nią, że wystarczy, iż parlamentarzyści głosują „za” albo „przeciw”. I że to jest temat wielki. To prawda. Historia, nie tylko parlamentarna, bycia w Polsce „za” albo bycia „przeciw” czeka na gibkiego badacza i pisarza. Człowiek ten wejdzie na szczyt, z którego być może uda się mu strącić Gombrowicza. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

NIEZNANE DZIEŁA WIELKICH MALARZY



J. MALCZEWSKI „JĘZYK POLSKI PODSTĘPNIE ZATRUTY FEMINATYWEM”



TELEWIZORY Z FABRYKI W POLSCE



WIELKA WYPRZEDAŻ
FIAT TIPO Z KLIMATYZACJĄ
JUŻ OD **44 400** zł



NIEZAWODNOŚĆ W STANDARDZIE. FIAT TIPO ZOSTAŁ UZNANY ZA NAJBARDZIEJ BEZAWARYJNY SAMOCHÓD W SWOJEJ KLASIE W RANKINGU TOWARZYSTWA NADZORU TECHNICZNEGO GTÜ.



fiat.pl

TIPO. MOŻESZ WIĘCEJ, NIŻ MYŚLISZ.

Fiat Tipo zajmuje pierwsze miejsce w rankingu niemieckiego Towarzystwa Nadzoru Technicznego (GTÜ) w klasie kompaktów (1-3 lata) badanych pod względem bezawaryjności. Podana cena dotyczy Fiata Tipo Sedan 1.4 95 KM z 2019 r. z systemem Start & Stop i oponami przystosowanymi do zwiększonego ciśnienia. Promocja trwa do wyczerpania zapasów. Szczegóły na www.fiat.pl. Prezentacja produktów w reklamie ma charakter wyłącznie poglądowy, rzeczywisty wygląd i cechy samochodów oraz ich wyposażenia mogą się różnić od prezentowanych na zdjęciu. Fiat Tipo Sedan: emisja CO₂ od 105 do 128 g/km, średnie zużycie paliwa w cyklu mieszanym od 4,2 do 6,3 l/100 km. Fiat Tipo Hatchback: emisja CO₂ od 107 do 154 g/km, średnie zużycie paliwa w cyklu mieszanym od 4,2 do 7,0 l/100 km. Fiat Tipo Station Wagon: emisja CO₂ od 106 do 154 g/km, średnie zużycie paliwa w cyklu mieszanym od 4,2 do 7,0 l/100 km. Szczegółowe informacje o odzysku i recyklingu pojazdów, postępie dokonanych w tej dziedzinie, konstrukcji pojazdów zgodnej z przepisami o recyklingu i lista punktów zbierania pojazdów wycofanych z eksploatacji znajdują się na stronie <http://fiat.mopar.eu/fiat/pl/pl/recycling>.

FCA BANK
Polska